

**LEN DEIGHTON**

**TOWARZYSTWO PRANIA MÓZGU**

Przełożył Adam Budzyński

„KB”

*Teraz tajemną otworzę wam księgę, A waszej bystrej odczytam niechęci Rzecz wielkiej wagi, niebezpieczeństw pełną.*

*(William Szekspir: Król Henryk IV, przekład Leona Ulricha)*

*Chociaż trzeba powiedzieć, że każdy gatunek ptaków ma własne zwyczaje, jednak w obrębie większości rodzaju występuje coś, co je odróżnia na pierwszy rzut oka, i rozumnemu obserwatorowi pozwala nader niezawodnie określić dany rodzaj.*

*(Gilbert White, 1778)*

**PROLOG**

Kopia do:	nr 1. 2 kopie
Akcja:	W.O.O.C. /P/.
Pochodzenie	Gabinet
:	
Źródło	PH 6.

informacji:

Uwagi:

Proszę przygotować dla Ministra Obrony wyciąg z akt sprawy M/1993/gh 222223, sporządzony dla sekretarza Parlamentu.

---

Dodzwonili się przez gorącą linię około pół do trzeciej po południu. Minister nie rozumiał paru punktów z wyciągu. Prawdopodobnie zobaczą ministra.

Prawdopodobnie.

Mieszkanie ministra wychodziło na Trafalgar Square i było tak umeblowane, jakby je projektował Oliver Messel dla Oscara Wilde. Gospodarz usiadł w sheratonie, ja w hepplewhite'cie i zerkaliśmy na siebie poprzez liście aspidistra.

- Mój drogi, proszę mi to wszystko opowiedzieć własnymi słowami. Pali pan?

Kiedy zastanawiałem się, jakich słów powinienem użyć, odgarnął liście płaską, złotą papierośnicą. Ubiegłem go, wyciągając pomietą paczkę gauloisów; nie miałem pojęcia od czego zacząć.

- Nie wiem, od czego zacząć - wycisnąłem z siebie. - Pierwszy dokument w dossier...

Minister przerwał mi machnięciem ręki.

- Mój drogi, nie przejmuj się dossier, przedstaw mi własną wersję. Niech pan zacznie od pierwszego spotkania z tym facetem... - zerknął do oprawionego w skórę notatnika - ...Sójką. Proszę mi o nim opowiedzieć.

- Sójka. Zmienia pseudonim na Czwarte Pudełko.- Trudno się w tym połapać - zauważył minister i zapisał pseudonim do notatnika.

- Trudno się połapać w całej tej sprawie. Pracuję w bardzo pogmatwanym interesie - poskarżyłem się władzy.

- To prawda - powtórzył kilka razy minister i pozwolił popiołowi z papierosa spaść na błękitny dywan.

- Byłem u Lederera około dwunastej pięćdziesiąt pięć i zobaczyłem po raz pierwszy Sójkę.

- Lederer? - zdziwił się minister. - A co to jest?

- Nie mogę mówić i jednocześnie odpowiadać na pytania. Jeśli to nie robi różnicy, wolałbym, żeby je sobie pan notował, a ja odpowiem, kiedy już skończę.

- Ani słowa, mój drogi. Daję słowo. Nie przerwał mi do końca ani razu.

## 1

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego). Trudny dzień. Staniesz w obliczu różnorodnych problemów. Spotykaj się z przyjaciółmi i składaj wizyty. Dzięki temu lepiej się zorganizujesz).

Mówcie co chcecie, osiemnaście tysięcy funtów szterlingów to mnóstwo pieniędzy. Brytyjski rząd polecił mi je wręczyć człowiekowi, który przy stole w rogu, posługując się nożem i widelcem, dokonywał teraz rytualnego mordku na kremówce. Rząd nazwał go Sójką. Miał małe świńskie oczka, olbrzymie wąsy i buty, o których wiedziałem, że to dziesiątka. Chodził lekko utykając i miał zwyczaj dotykać brwi wskazującym palcem. Znałem go jak

nikogo, ponieważ od miesiąca w małym, intymnym kinie przy Charlotte Street codziennie oglądałem o nim film.

Nigdy wcześniej o Sójce nie słyszałem. Właśnie dobiegał końca mój trzytygodniowy urlop przed pójściem do nowej pracy. Spędzałem ten czas mało robiąc, albo - jeśli nie jesteście gotowi uważać porządkowania księgozbioru o historii wojskowości za zajęcie godne dorosłego mężczyzny - nie robiąc nic. Niewielu moich przyjaciół było gotowych tak uważać.

Obudziłem się z myślą: - To właśnie ten dzień - ale nie chciało mi się wychodzić z łóżka. Zanim odsunąłem zasłony, usłyszałem bębnienie deszczu. Grudzień w Londynie - na dworze pokryte sadzą drzewo wyginało się jak oszalałe. Szybko zasłoniłem okna, zatańczyłem na lodowatym linoleum, wyjąłem poranną pocztę, usiadłem i czekałem, aż zagotuje się woda w imbryku. Wbiłem się w ciemny, wełniany garnitur i zawiązałem swój jedyny firmowy krawat - jedwabny, niebiesko-czerwony w kwadraciki - ale na taksówkę musiałem czekać czterdzieści minut. Wiecie, nie lubią jeździć na północ, za Tamizę.

Ilekcio mówiłem do taksówkarza: - Ministerstwo Obrony - czułem się nieco zakłopotany. Dawniej, żeby uniknąć wymawiania nazwy tej instytucji, prosiłem o podwiezienie do knajpy w Whitehall, lub instruowałem: - Powiem panu, gdzie się zatrzymać. Kiedy wreszcie wyszedłem na dwór, taksówka podwoziła mnie do drzwi White Palace i musiałem obejść budynek, żeby dotrzeć do wejścia od Horseguards Avenue. Był tam zaparkowany pojazd champa, kierowca z czerwoną szyją mówił do tłustego kaprała w drelichowych spodniach: - Szturchnij jednego. - To samo, stare wojsko - pomyślałem. Długie, przypominające klozety, korytarze były ciemne i brudne, na zielonych drzwiach poprzylepiano wizytówki z precyzyjnymi wojskowymi napisami: GS 3, Major ten, Pułkownik tamten, Panowie. Mieściły się tam też dziwne, anonimowe pokoje, gdzie parzono herbatę, z których wylaniały się - gdy zakończyły już swe alchemiczne praktyki - starsze panie. Pokój 134 był taki sam jak inne: standardowe zielone szafy z kartotekami, dwie zielone metalowe szafki, przy oknie dwa zestawione przodem biurka, a na parapecie pełna do połowy funtowa torebka cukru Tate and Lyle.

Ross, człowiek z którym miałem się zobaczyć, spojrzawszy z przyciągającego jego niepodzielną uwagę od trzech sekund, to znaczy od momentu, kiedy wszedłem do pokoju. Przywitał mnie: - No dobrze, nareszcie - zakasłał nerwowo. Mieliśmy z Rossem układ o kilkuletnim już stażu: postanowiliśmy wzajemnie się nie tolerować. Ów cierpki stosunek, bardzo angielski w swej istocie, objawiał się demonstrowaniem orientalnej uprzejmości.

- Proszę usiąść. No dobrze, zapali pan? - Od dwóch lat, co najmniej dwa razy w tygodniu odpowiadałem mu: - Nie, dziękuję. - Przed oczami przemknęło mi tanie inkrustowane pudełko na papierosy (z singapurskiego handlu ulicznego).

Ross był systematycznym urzędnikiem, to znaczy nie pił dżinu po siódmej trzydzieści i, spotykając panie, nie zdejmował pierwszy kapelusza. Miał długi nos, wąsy jak posypana kłaczkami tapeta, starannie przyczesane włosy i cerę jak skorka chleba od Hovisa.

Zadzwoił czarny telefon. - Tak. Ach, to ty kochanie - Ross wymawiał każde słowo z pozbawioną odcieni obojętnością. - Szczerze mówiąc, miałem zamiar.

Od prawie trzech lat pracowałem w wywiadzie wojskowym. Jeśli dobrze nadstawialiście uszu, to mogliście się dowiedzieć, że Ross jest wywiadem wojskowym. Był stonowanym intelektualistą, szczęśliwym, że pracuje w kagańcu ścisłych rygorów obowiązujących w tym wydziale. Rossowi to nie przeszkadzało. Swój dzień, wypełniony operowaniem gumowymi pieczętkami i kalką, rozpoczynał na piątym peronie Waterloo z pączkiem róży w dziurce od guzika i parasolem trzymanym w pozycji "prezentuj broń". Nareszcie miałem być wolny. Poza wojskiem, poza wywiadem wojskowym, z daleka od Rossa. Miałem teraz pracować jako cywil z cywilami w jednej z najmniejszych i najważniejszych jednostek wywiadu - WOOC/P/.

- A więc zadzwonię, jeśli będą musiał zostać w środę na noc. Dosłyszałem głos w słuchawce: - A co ze skarpetkami? Obok pieniędzy na herbatę leżały trzy kartki maszynopisu tak niewyraźnego, że nic nie mogłem przeczytać (nie mówiąc już o tym, że kartki leżały do góry nogami). Ross skończył rozmowę, a ja napiąłem mięśnie twarzy, żeby wyglądać na człowieka śledzącego każde jego słowo.

Po rozłożeniu na blacie biurka zawartości tweedowej marynarki zlokalizował czarną wrzoścową fajkę. W jednej z szuflad znalazł tytoń. - No dobrze - wtrącił. Zapalił zapalną, którą mu położyłem na skórzanej łacie na rękawie marynarki.

- A więc będzie pan teraz z "prowizorami". - Powiedział to z cichym wstrętem. Wojsko nie lubi niczego prowizorycznego, a zwłaszcza ludzi. Z pewnością nie lubili WOOC/P/, a także - jak sądzę - nie przepadali za mną. Oczywiście Ross myślał o mojej pracy jako o znakomitym prowizorycznym rozwiązaniu do czasu, kiedy już całkowicie zniknę z jego życia. Nie powiem wam wszystkiego, co mówił, bo prawie wszystko było ponure, i wiele z tego jest jeszcze tajemnicą zakopaną w jego precyzyjnie i niepotrzebnie wypełnianych kartotekach. Sporo czasu zajęło mu zapalenie fajki, a to oznaczało, że miał zamiar zacząć całą historię od początku.

Większość ludzi z Ministerstwa Obrony, a zwłaszcza ci z kręgów wywiadu, jak ja sam, słyszało o WOOC /P/ i o facecie nazwiskiem Dalby. Podlegał bezpośrednio gabinetowi. Dalby'ego krytykowały i zwalczały inne jednostki wywiadu, ale mimo to był tak mocny, jak chyba nikt w tym biznesie. Ludzie przydzieleni do Dalby'ego praktycznie wychodzili z wojska, ich nazwiska usuwano z prawie wszystkich rejestrów Ministerstwa Obrony. W rzadkich przypadkach powrotów z WOOC/P/ do normalnej służby, ludzie byli na nowo rejestrowani i otrzymywali nowe numery seryjne z partii zarezerwowanej dla służb cywilnych, stanowiących rezerwę regularnego wojska. Płace ustawiono tu według odmiennej tabeli, a ja zastanawiałem się, jak długo będę otrzymywał stare pensje i kiedy załapię się na nową siatkę.

Po zakończeniu poszukiwań wojskowych okularów w metalowych oprawkach Ross zaczął brnąć w rozwlekłe bajdurzenie, wykazując przy tym namiętą dbałość o szczegóły. Zaczęliśmy od likwidacji tajnej umowy kompensacyjnej, którą podpisaliśmy w tym samym pokoju prawie trzy lata temu, i wymówionej przez niego, kiedy się zorientował, że nie mam kłopotliwych, nie spłaconych długów. To była prawdziwa przyjemność pracować ze mną. Prowizoryczny, biorąc mnie, wykazał bystrość, jemu jest przykro, że mnie traci, mister Dalby jest szczęśliwy, że idę do niego, a wychodząc, czy mógłbym zostawić w pokoju numer 255 tę paczkę? - Widocznie dziś rano nie zastał Rossa goniec.

Biuro Dalby'ego mieści się przy marnej, długiej ulicy w dzielnicy, która mogłaby być Soho, gdyby Soho przebiło się przez Oxford Street. Jest tam też inne, bardzo podobne biuro, nad którym nie mrugający neon świeci się na niebiesko nawet w środku letniego dnia, ale to nie jest siedziba Dalby'ego. Ta mieści się obok. Pomieszczenia są tu brudniejsze niż przeciętne, we wnętrzu wisi mnóstwo dystyngowanych, wytartych mosiężnych tabliczek: "Biuro Zatrudnienia Oficerów Rezerwy. Rok zał. 1917". "Pokoje montażowe Acme Films", "Biuro Śledcze Dalby'ego zatrudniające byłych detektywów Scotland Yardu". Na kawałku poliniowanego papieru ktoś napisał długopisem: "Informacje na drugim piętrze, proszę dzwonić". Codziennie o dziewiątej trzydzieści rano dzwoniłem i, unikając poważniejszych złamań na linoleum, rozpoczynałem wspinaczkę. Każde piętro miało swój charakter, starzejąca się farba od ciemnego brązu przechodziła w brudną zieleń. Drugie piętro było białoszare. Mijałem łuskowatego smoka, strzegącego wejścia do jaskini Dalby'ego.

Zawsze będę sobie kojarzył Charlotte Street z muzyką kopalnianej orkiestry dętej, którą pamiętam z dzieciństwa. Służbowi kierowcy i urzędnicy szyfrowi nie byli zbyt zjednoczeni duchem braterstwa, jaki panował w biurze ekspedycji na pierwszym piętrze. Mieli tam bardzo głośny patefon i byli fanatykami orkiestr dętych. W Londynie jest to dość

ezoteryczna słabostka. Przez wypaczone i pozapadane podłogi dochodziła wypolerowana do połysku muzyka. "Fairey Aviation" znów wygrała w tym roku Otwarte Mistrzostwa i dźwięki próbnego kawałka przenikały do wszystkich pokoi. Dzięki temu Dalby czuł się, jakby oglądał paradę konnej straży, a ja z kolei miałem wrażenie, jakbym znów był w Burnley.

- Halo, Alice! - Kiwnęła głową i zajęte się neską i mocno wyszczerbioną filiżanką z ciepłą wodą. Wszedłem do środka i w głębi za plecami Alice dostrzegłem Chico. Jego neska już się rozpuściła. Chico zawsze wyglądał na zadowolonego, kiedy mnie widział. Zapewniało mi to powodzenie na cały dzień. Przypuszczam, że to wyćwiczył. Wszedł z jednej z tych świetnych szkół, w których spotyka się dzieci mające wpływowych wujków. Myślę, że kiedy się dostał do Konnej Gwardii, a potem do WOOC/P/, musiało mu to przypominać pobyt w szkole. Długie rude włosy zwisały mu obficie z głowy jak nieszczęście w tłusty czwartek. Miał pięć stóp i jedenaście cali w skarpetkach i przybierał często irytującą pozę: kiedy kołysał się w szerokich spodniach, za czerwonymi szelkami trzymał wysoko kciuki. Górował nad otoczeniem zarówno dzięki świetnemu umysłowi, jak i rodzinie, wystarczająco bogatej, by z niego nie korzystać.

Przez biuro Dalby'ego i tylne schody zszedłem na dół. Ponieważ cały dom należał do WOOC/P/, każdy interes na wszystkich piętrach powinien dla naszej wygody mieć własne wejście. Codziennie o dziewiętej czterdzieści wchodziłem do zrujnowanego pokoju projekcyjnego Acme Films.

Chorobliwi słodki zapach kleju do taśmy i ciepłego celuloиду był tak intensywny, jakby go rozpylali. Rzuciłem mój płaszcz rodem z drugorzędnych angielskich filmów na stos kaset z taśmami, zrobiłem sobie miejsce i zapadłem w fotelu. Jak zwykle, było to miejsce dwadzieścia dwa, i, jak zwykle, nie chciało mi się ruszać.

Okropnie hałasował opornik regulacyjny. Światła w pomieszczeniu przygasły i zaklekotał uruchomiony projektor. Krzykliwe białe prostokąty rzucone na ekran ożywiły w moich oczach abstrakcyjne kształty nabazgranych plam, by ściemnieć do szarości flaneli na garnitur.

Surowe litery tytułu informowały: SÓJKA. LEEDS. WARREN THREE (film nakręcono na zamówienie Warren Three). Zaczęła się projekcja. Zatłoczonym chodnikiem szedł Sójka. Miał olbrzymie, pielęgnowane z właściwą mu starannością wąsy. Utykał, ale to mu nie przeszkadzało przedzierać się przez tłum. Kamera zachwiała się i szybko oddaliła. Ruch uliczny zmuszał wóz, gdzie była ukryta, do wyprzedzania Sójki. Ekran pojaśniał i zaczął się nowy odcinek filmu. Oglądałem Sójkę w towarzystwie faceta o pseudonimie HOUSEMARTIN. Miał sześć stóp wzrostu i był przystojnym mężczyzną, ubranym w płaszcz

z wielbłądziej wełny. Jego falujące, wypomadowane włosy były na skroniach trochę za siwe. Nosił garść złotych pierścieni, złotą bransoletę do zegarka i w uśmiechu demonstrował cały garnitur koron.

Chico obsługiwał projektor z determinacją podkreśloną wysuwaniem języka. Od czasu do czasu wpuszczał w program jeden z tych pikantnych filmów z Charling Cross Road, które prezentowały dziewczyny w samej skórze. To był pomysł Dalby'ego, żeby "studenci" nie zasypiali podczas projekcji.

- Znać swoich wrogów - głosiła teoria Dalby'ego. Przeczynał, że gdyby personel zapoznał się wzrokowo z mizerią szpiegowskiej roboty, każdy zyskałby większą możliwość przewidywania własnych myśli. - Montgomery wygrał pod Alamein, bo miał nad łóżkiem zdjęcie Rommla. - Niekoniecznie w to wierzyłem, ale tak mówił Dalby. (Osobiście przypisuję spore znaczenie sześciuset dodatkowym czołgom)

Dalby był wytwornym, flegmatycznym Anglikiem po szkole publicznej, który godzi własne obowiązki z komfortem i zbytkiem. Przewyższał mnie wzrostem, bo miał chyba sześć stóp i jeden cal lub sześć stóp i dwa cale. Miał też długie, wypielęgowane włosy i od czasu do czasu zapuszczał sobie wątle blond wąsy. Ale w tej chwili ich nie nosił. Mimo jasnej karnacji skóry bardzo się opalał, i bardzo to lubił. Na jego twarzy, nad lewym policzkiem, widać było siatkę małych blizn, które miały poświadczać, że studiował na niemieckim uniwersytecie w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku. Było to pożyteczne doświadczenie i w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym umożliwiło mu zdobycie DSO\*<sup>[ DSO - Distinguished Service Order - medal przyznawany oficerom w wojsku i marynarce wojennej.]</sup> oraz belki. Nieczęste w ogóle wydarzenie w jakiegokolwiek sekcji wywiadu, a już zwłaszcza w tej, w której służył. Oczywiście, bez wzmianki pochwalnej.

Był z niepublicznej szkoły na tyle, żeby nosić na prawej ręce mały sygnet i kiedy grymas krzywił mu twarz, co zdarzało się często, brzegiem sygnetu pocierał skórę. Powstawała wówczas mała czerwona pręga, wynik nadmiernej kwasowości naskórka. Było to fascynujące.

Zerknął na mnie znak czubków zamszowych butów, które spoczywały na środku biurka zawalonego ułożonymi w precyzyjne sterty ważnymi papierami. Spartańskie meble (Ministerstwo Pracy, współczesne) dziurawiły tanie linoleum, w powietrzu unosił się zapach tytoniowego popiołu.

- Oczywiście, panu się tutaj podoba? - zapytał Dalby.

- Mam niewinną duszę i czyste serce. Sypiam co noc po osiem godzin. Jestem lojalnym, pilnym pracownikiem i codziennie będę się starał nie zawieść zaufania, jakim mnie darzy ojcowski pracodawca.

- Będę żartował - powiedział Dalby.

- Proszę dalej - wtrąciłem. - Mogę się śmiać, od miesiąca moje oczy obsługiwały dwadzieścia cztery klatki na sekundę.

Dalby mocniej zaciągnął sznurowadła w butach.

- Czy mógłby się pan zmierzyć z delikatnym specjalnym zadaniem?

- Jeśli to nie wymaga klasycznego wykształcenia, mógłbym się wokół tego zakrzętać.

Dalby zaproponował:

- Niech pan mnie zaskoczy i zrobi to bez narzekań i uszczypliwości.

- To nie byłoby to samo - odparłem.

Dalby spuścił nogi na podłogę, stał się powściągliwy i poważny.

- Dziś rano byłem na odprawie starszyny wywiadu. Home Office niepokoi się zniknięciem swoich najlepszych biochemików. Komitety, podkomitety - powinien pan to wszystko tam zobaczyć. Mówią o Dniu Matki w tureckiej łaźni.

- A był tam jakiś inny?

- Dziś rano - ciągnął Dalby - o siódmej trzydzieści pięć jeden wyszedł z domu i nie dotarł do laboratorium.

- Ucieczka?

Dalby skrzywił się i powiedział przez interkom:

- Alice, proszę otworzyć kartotekę i podać mi pseudonim tego "wędrującego wiliego".

- Dalby potrafił wydawać stanowcze, jednoznaczne polecenia. Cały jego personel, a zwłaszcza ja, jako uchodźca z Ministerstwa Obrony, przedkładał je nad mętne, uprzejme pogawędki w większości wydziałów. Głos Alice wydobył się z interkomu jak zakatarzony Kaczor Donald. Na każde odezwanie się sekretarki Dalby odpowiadał:

- Do diabła z tym, co było w piśmie z Home Office. Proszę mnie słuchać. Po chwili ciszy Alice urażonym głosem podała długi numer ewidencyjny i pseudonim KRUK. Ci, którzy od dawna pozostawali pod obserwacją, dostawali nazwy ptaków.

- To dobra dziewczyna - powiedział Dalby czarującym tonem i przez gęgające pudełko usłyszałem podniesiony głos Alice: - Doskonale, sir.

Dalby wyłączył skrzynkę i odwrócił się do mnie. - Wyciszyli sprawę zniknięcia tego KRUKA ale powiedziałem im, że William Nickey dostarczy zdjęcie faceta od redakcji popołudniówek. - Rozłożył na biurku pięć paszportowych fotografii. Kruk był mężczyzną pod



pięćdziesiątkę, miał gęste czarne włosy, krzaczaste brwi i kościsty nos. Stu mu podobnych kręciło się po St. James przez cały dzień.

- To jest już ósme zniknięcie w ciągu - Dalby zerknął do notatnika - sześciu i pół tygodnia.

- Home Office z pewnością nie prosi nas o pomoc - wtrąciłem.

- Pewnie, że nie. Ale jeśli znajdziemy Kruka, myślę, że minister powinien w zasadzie rozwiązać swój skonfundowany wydział wywiadu. Wtedy ich kartoteki moglibyśmy dołączyć do naszych. Niech pan o tym pomyśli.

- Znaleźć go? A od czego zaczniemy? - spytałem.

- A pan od czego by zaczął?

- Nie mam zielonego pojęcia. Pójść do laboratorium, żona nie wie, co go ostatnio napadło, odkryć kobietę o migdałowych oczach. Dyrektor banku zachodzi w głowę, skąd on brał taką kupę pieniędzy. Walka na pięści w zaciemnionym laboratorium. Szalony naukowiec powraca na wolność, trzymając fiolkę, ja zatrzymuję uciekającego. Niech gramy atomów władają Wielką Brytanią.

Dalby spojrział na mnie tak, bym się poczuł jego płatnym pracownikiem, wstał i zbliżył się do wielkiej mapy Europy, od tygodnia wiszącej na ścianie. Podszedłem do niego i zapytałem:

- Myśli pan, że kieruje tym z ukrycia Sójka?

Dalby spojrział na mapę i wpatrując się w nią powiedział:

- To pewne, absolutnie.

Mapa była pokryta jasnym lakierem, pięć małych przygranicznych obszarów od Finlandii do Morza Kaspijskiego zaznaczono czarnym ołówkiem. W dwóch miejscach na terenie Syrii były wpięte czerwone chorągiewki.

Dalby objaśniał:

- Każdy nielegalny, ważniejszy ruch przez te granice zaznaczyłem za aprobatą Sójki. Ważny ruch. Nie chodzi mi o to, że on stoi w pobliżu i kontroluje, czy nicponie przenoszą małe lwiątko. - Dalby postukał palcem w granicę. - Zanim go złapią, musimy tu... - zawiesił głos, pogrążając się w myślach.

- Przechwycić go? - odpowiedziałem nieśmiało. Myśli Dalby'ego pomknęły galopem.

- Jest styczeń. Gdyby tylko nam się udało jeszcze w tym miesiącu - zamarzył.

Styczeń był miesiącem, w którym przygotowywano preliminarz budżetowy. Zaczynałem rozumieć, co miał na myśli. Nagle Dalby znów sobie uświadomił moją obecność i włączył błysk chłopięcego wdzięku.

- Rozumie pan. To nie tylko sprawa dezercji jednego biochemika.

- Dezercji? Myślałem, że specjalnością Sójki w dorywczych pracach jest najlepszej jakości sznur.

- Przechwytywanie! Dorywcze prace! To jest język gangsterskiej dzielnicy. Kłopot polega na tym, że czyta pan za dużo gazet. Wyobraża sobie pan, że przeprowadzili go przez cło i kontrolę paszportów w towarzystwie dwóch typów z wystającymi szczękami i prawą ręką w kieszeni płaszcza? Nie. Nie - łagodnie wymawiał każde "nie" i dodał jeszcze ze dwa razy -... to nie jest emigracja, taka zwykła emigracja, małego chemika. (Dalby mówił to tonem pomocnika sprzedawcy u Boots'a, który przypuszczalnie od lat sprzedawał im materiały). Gdybym miał wybór, nie wiem, czy nie pozwoliłbym mu zniknąć. To oni - ludzie z Home Office - powinni o tych rzeczach wiedzieć wcześniej, a nie żałować po niewczasie. - Wyjął z pudełka dwa papierosy, rzucił mi jednego, a drugim balansował między palcami. - W porządku, jeśli prowadzą oddział specjalny więzienia Królewskiej Mości i inspektoraty ochrony zwierząt, ale gdy tylko wtrąca się do naszego biznesu, mają denne kłopoty.\* Raport Denninga

opublikowany we wrześniu 1963 r. ujawnił, że brytyjski kontrwywiad podlega ministrowi Spraw Wewnętrznych.] - Dalby ciągle robił sztuczki z papierosem, do którego przemawiał.

Po chwili spojrzął w sufit i zaczął mówić do mnie. - Czy uczciwie wierzy pan w to, że gdybyśmy mieli wszystkie kartoteki Wydziału Bezpieczeństwa Home Office, zrobilibyśmy to tysiąc razy lepiej niż oni?

- Myślę, że tak. - Moja odpowiedź tak mu się spodobała, że przestał się bawić papierosem i w przyływie energii go zapalił. Zaciągnął się i nosem wypuścił dym. Zakrztusił się. Czerwień zalała mu twarz.

- Może szklankę wody? - zapytałem, i twarz jeszcze bardziej mu poczerwieniała. Dalby złapał oddech i zaczął mówić dalej.

- Teraz pan rozumie, że nie jest to zwykła sprawa. To jest test.

- Wyczuwam groźbę jezuickiego usprawiedliwienia.

- Właśnie - powiedział Dalby ze złośliwym uśmiechem. Lubił, gdy go przyłapywano jak łobuziaka, zwłaszcza jeśli było to po uczniowsku. - Pamięta pan dewizę jezuitów? - Zawsze był zaskoczony, kiedy się przekonywał, że przeczytałem jakąś książkę.

- Cel uświęca środki.

Rozpromienił się i włożył nos między kciuk i wskazujący palec. Bardzo go uszczęśliwiłem.

- Jeśli to pana tak satysfakcjonuje, przykro mi, że nie potrafię tego sklecić w kuchennej łacinie.

- Dobrze, w porządku. - Obrócił w palcach papierosa i podciągnął się w krzesło do góry, by mieć mnie na widoku. Mówił wolno, dokładnie akcentując każdą sylabę. - Proszę pójść i kupić mi tego Kruka.

- Od Sójki.

- Od kogokolwiek, kto go ma. Jestem tolerancyjny.

- Ile mogę wydać, Tato?

Z głośnym szurganiem przysunął krzesło o cal do biurka. - Słuchaj pan, w każdym punkcie wejściowym jest mocno wetknięta zatyczka. - Zaśmiał się gorzko. - To pana śmiesz, co? Pamiętam, kiedy prosiliśmy w lipcu Centralę o zamknięcie lotniska na godzinę. Przedstawili nam całą listę wymówek. Ale kiedy im ktoś się prześlizgnie między maślanymi palcami, i trzeba im zadawać kłopotliwe pytania, wówczas nie dzieje się nic. Zresztą Sójka jest bystrzakiem i będzie wiedział, o co chodzi. Przez tydzień potrzyma Kruka w niepewności, a potem umieści go w bezpiecznym miejscu. Jeśli w tym czasie złożymy mu przyzwoitą ofertę... - Dalby przycichł z wysiłku -... powiedzmy osiemnaście tysięcy funtów. Wyciągniemy go, gdziekolwiek jest, nie ma dwóch zdań.

- Osiemnaście tysięcy - powtórzyłem.

- Może pan podbić do dwudziestu trzech, jeśli się przekona, że są uczciwi. Ale na naszych warunkach. Płatność po dostawie. W szwajcarskim banku. Żadnej gotówki. I nie chcę Kruka martwego, ani nawet uszkodzonego.

- W porządku. - Nagle poczułem się bardzo mały, młody i wezwany do dokonania czegoś, z czym mogłem sobie nie poradzić. Jeśli w ten sposób mełł młyn pracy w WOOC/P/, jego pracownicy zasługiwali na wysokie płace i zwrot kosztów. - Powinienem zacząć od zlokalizowania Sójki? - Było mi głupio, że o to zapytałem, ale odczuwałem straszną potrzebę posiadania regulaminu.

Dalby machnął ręką. Usiadłem na powrót.

- Zrobione - powiedział. Przetyknął przełącznikiem w gęgającym pudełku. Z pokoju na dole doszedł elektronicznie zniekształcony głos Alice.

- Tak, proszę pana?

- Co teraz robi Sójka?

Kilka trzasków i głos Alice wrócił do pokoju.

- O dwunastej dziesięć był w kawiarni Lederera.

- Dzięki, Alice.

- Zdjąć nadzór, proszę pana?

- Jeszcze nie, Alice. Powiem pani, kiedy. - Potem zwrócił się do mnie: - Więc rozumie pan. A teraz proszę już iść.

Zgasiłem papierosa i wstałem.

- Dwie ostatnie sprawy - dodał Dalby. - Zatwierdziłem panu na wydatki dwanaście tysięcy rocznie. I - tu zrobił pauzę - proszę się ze mną nie kontaktować, jeśli coś będzie nie tak. W ogóle nie chcę o tym wiedzieć.

## 2

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego). W niezwykłym otoczeniu pojawia się sposobność załatwienia interesu, co zachęca do podjęcia ryzyka).

Szedłem Charlotte Street w stronę Soho. Słońce tego styczniowego poranka uwydatniało brudy, nie podnosząc temperatury. Ociągałem się i szukając usprawiedliwienia tego stanu, kupiłem Statesmana i dwie paczki gauloisów, wypilem w "Teraeza" grappę, a potem zaopatrzyłem się w czosnkową kielbasę i trochę normandzkiego masła. W delikatesach pracowała śliczna ciemnowłosa dziewczyna, z którą flirtowałem przez kontuar od dwóch lat. Jak zwykle wymieniliśmy propozycje i, jak zwykle, obie strony ich nie przyjęły.

Chociaż zmitrężyłem sporo czasu, u "Lederera" byłem już o dwunastej pięćdziesiąt pięć. "Lederer" jest kawiarnią w stylu kontynentalnym i kawę podaje się tutaj w szklankach. Gośćmi uważającymi się za klientelę są przymilno-gburowate typki z twarzami jak reflektory, pół tuzina obwieszceń dziesięć na osiem cali i agent. Wszyscy tu mają więcej czasu niż pieniędzy.

Był też Sójka ze skórą jak wypolerowana kość słoniowa, świńskimi oczkami i bujnym zarostem na twarzy. Wokół mnie odbijały się rykoszetami ciche rozmowy, wymienione opinie ścierały w proch.

- Ona jest cudowna w małych kawałkach - mówił zaróżowiony pijaczek. Ludzie rzucali nazwiska, posługując się jednowyrazowymi skrótami z widowisk na West Endzie; próbowali zwiewać, nie zapłaciwszy za kawę.

Sójka olbrzymią głową dotykał czerwonej kłaczastej tapety między obwieszczeniem informującym klientów, żeby się nie spodziewali w wyrobach cukierniczych śmietany, a tym, które ostrzegało przed przyjmowaniem zakładów. Sójka, oczywiście, już mnie dostrzegł. Oceniał mój płaszcz i spod przymrużonej powieki bystro zmierzył dziewczynę w różowej

fryzurze. Cierpliwie czekałem, aż Sójka dotknie brwi wskazującym palcem i wiedziałem, że to zrobi. Dotknął. Nigdy go przedtem nie widziałem, ale rozpoznałem po strzepnięciu palcami. Wiedziałem, że płacił po sześćdziesiąt gwinei za każdy garnitur, z wyjątkiem flanelowego, który dzięki jakiemuś kapryswi krawca, kosztował pięćdziesiąt osiem i pół. Wiedziałem o Sójce wszystko, z wyjątkiem tego, jak go poprosić, żeby sprzedał mi biochemika za osiemnaście tysięcy funtów.

Usiadłem, składając płaszcz w całopalnej ofercie na prętach kominka. Samotna pani pod czterdziestkę, z zakontraktowanym szyderczym uśmiechem przesunęła swoje krzesło o trzy szesnaste cala, by zrobić mi miejsce, i jeszcze głębiej wetknęła nos w "Variety". Nienawidziła mnie, bo próbowałem ją podrywać, chociaż może nie próbowałem, w każdym razie miała swoje powody. Przy drugim końcu stołu Sójki dostrzegłem przystojną twarz Housemartina, owej drugiej gwiazdy filmowego archiwum z Charlotte Street. Zapaliłem gauloisa, wypuszczając kółko dymu. Moja sąsiadka cmoknęła. Zauważyłem, jak Housemartin pochylił się do Sójki i szeptał mu coś do ucha, gdy obaj na mnie patrzyli. Potem Sójka skinął głową.

Do mego stolika podeszła młodo wyglądająca kelnerka w fartuchu poplamionym śmietanką. Moja przyjaciółka od "Variety" wyciągnęła rękę, która była biała i bez życia, jak zwierzęta nie wychodzące na światło dzienne. Dotknęła szklanki z zimną kawą i podsunęła ją kelnerce. Zamówiłem rosyjską herbatę i jabłkowy strudel.

Gdyby tu siedział Chico, zdążyłby narobić zdjęć i wziąć odciski palców Sójki, ale wiedziałem, że zrobiliśmy za nim więcej mil niż MGM podczas kręcenia "Ben Hura", więc siedziałem sztywno i wolniutko kroilem strudel.

Kiedy skończyłem herbatę i ciasto, nie mogłem się już ociągać. Przeszukałem kieszenie, żeby znaleźć kilka wizytówek. Na jednej był wygrawerowany napis "Bertram Loess-Taksator", na drugiej wydrukowano "Brian Serek Agencja Prasowa Inter News", a mały prospekt z imitacji skóry dawał mi prawo wstępu zgodnie z ustawą o ochronie pracy, ponieważ byłem kontrolerem miar i wag. Żadna z nich nie nadawała się do wykorzystania w obecnej sytuacji, więc podszedłem do stolika Sójki i dotykając włosów na czole powiedziałem, co mi ślina przyniosła na język:

- Beamish. - Powtórzyłem: - Stanley Beamish. Sójka skinął głową. Była to nie przyspawana głowa Buddy. - Czy możemy gdzieś tutaj pomówić? - zapytałem. - Mam dla pana finansową propozycję. - Ale Sójka najwidoczniej nie miał zamiaru się spieszyć. Z grubego portfela wyjął biały prostokąt i podał mi. Przeczytałem:

„Henry Carpenter-Import-Export”. Zawsze faworyzowałem obce nazwiska, wychodząc z założenia, że nie ma nic bardziej angielskiego, niż właśnie one. Być może powinienem Sójce o tym napomknąć. Zabrał mi swoją wizytówkę i delikatnie wetknął ją do portfela z krokodylej skóry. Spojrzał na zegarek z tarczą jak tablica rozdzielcza boeinga 707 i wygodnie rozparł się na krześle.

- Musi mnie pan wziąć na lunch - powiedział, jak gdyby wyświadczał mi grzeszność.

- Nie mogę. Od trzech miesięcy nie wypłacają mi poborów, a fundusz na specjalne wydatki zatwierdzili dopiero dziś rano.

Sójkę poraziła ta szczerość.

- Ile? - zapytał. - Ile wynosi ten fundusz na wydatki?

- Tysiąc dwieście.

- Rocznie? - zapytał Sójka. - Tak.

- Nie za dużo - powiedział i szturchnął mnie w piersi, by to podkreślić. - Niech pan spróbuje zażądać co najmniej dwóch tysięcy.

- Tak jest - zameldowałem posłusznie. Nie sądzę, żeby Dalby to poparł, ale nie było sensu sprzeczać się z Sójką na tym etapie rokowań.

- Znam bardzo tanie miejsce - zaproponował Sójka.

Mogłoby się wydawać, że najlepszym dla niego wyjściem z sytuacji byłoby zapłacić za mój lunch, ale wiedziałem, że to mu się nigdy nie zdarzało. Każdy zapłacił za siebie, zabrałem zakupy i cała nasza trójka z Sójką na czele powlokła się Wardour Street. W czasie lunchu ruch uliczny w centrum Londynu zwiększył się. Minęliśmy smutne oblicza żołnierzy na wystawie zakładu fotograficznego. Pomarańczowe wyżymaczki z nierdzewnej stali i obsługiwane przez kretyńców gry hazardowe odmierzały grube plastry nudy słonecznego popołudnia. Weszliśmy w zaczarowaną krainę wewnątrz radioodbiorników, przechodząc od kondensatorów do odbiorników radiolokacyjnych po trzydzieści dziewięć funtów i sześć szylingów. Mijaliśmy plastikowe smażone kurczaki, nagie dziewczyny z ciężkimi brzuchami i napisy „Przyjmujemy kwitki obiadowe”, by się zatrzymać przed szerokim wejściem, gdzie świeżo wymalowany napis zapowiadał „Vicki z Montmartre” i „Striptiz w śniegu”. W słonecznej kurzawie nieprzyzwoicie mrugały żółte żarówki i „Danse de Desir - Non Stop Striptiz”.

Weszliśmy do środka. Sójka uśmiechał się, poklepując Housemartina i jednocześnie podszczypując chichoczącą bileterkę. Dyrektor badawczo mi się przyjrzał i ocenił, że z pewnością nie jestem z centrum West Endu. Prawdopodobnie nie wyglądałem nadzwyczaj zamożnie.

Przymrużyłem na moment oczy, żeby przywykły do półmroku. Po lewej stronie znajdowało się pomieszczenie z około sześćdziesięcioma miejscami i sceną wielkości kominka. W ciemnościach tu panujących wszystko wyglądało na kompletną ruinę. Nie chciałem tego oglądać w pełnym świetle.

Na tekturowym proscenium śpiewała w szalonym zapamiętaniu gruba dziewczyna odziana w czarną bieliznę, co było mało stosowne o drugiej dziesiątce we środę po południu.

- Poczekajmy tu - powiedział przystojny Housemartin, a Sójka wszedł po schodach w pobliże napisu "Tylko dla członków Klubu Barbarossa" i skierowanej w górę strzałki. Czekaliśmy i nikt by nie pomyślał, że załatwiałem sprawę wartą osiemnaście tysięcy funtów. Czosnkowa kielbasa, "Statesman", normandzkie masło zmieniły się w miękką, bezkształtną masę. Nie sądzę, by Daliby wliczył to w moje wydatki, więc po chwili powiesiłem zakupy na wieszaku. Zabębniła perkusja, zadźwięczały talerze i zaklekotały reflektory. Wyłoniły się girlandy. Szczupłe i tłuste, wysokie i niskie. Dziewczyny mniej i bardziej rozebrane; bez przerwy pojawiały się następne. Wyglądało na to, że Housemartin w tym gustuje.

W końcu wyszedł do toalety, usprawiedliwiając się w mało wyszukany sposób. Dziewczyna z papierosami, odziana w garść cekinów, zaproponowała mi kupno programu. Widziałem lepszą drukarską robotę na firmowych torbach, ale program kosztował tylko dwanaście szylingów i był "made in England". Zaproponowała mi też piłśniowego pieska. Grzecznie odmówiłem. Zaczęła porządkować inne rzeczy na tacy.

- Wezmę paczkę gauloisów - powiedziałem.

Skrzywiła się w uśmiechu - miała nierówno pomalowane usta - wyglądało na to, że nie bardzo dawała sobie radę ze sprzedażą. Pochyliła głowę w poszukiwaniu papierosów.

- Czy wie pan, jak wygląda paczka? - zapytała. Pomogłem jej w poszukiwaniach. Gdy jej głowa znalazła się przy mojej, powiedziała z północnym akcentem: - Niech pan idzie do domu. Tu nie ma pan czego szukać. - Znalazła papierosy i podała mi. Wręczyłem jej dziesięcioszylingowy banknot. - Dzięki - powiedziała, nie wydając reszty.

- Nie ma za co. To ja dziękuję. - Patrzyłem za nią, gdy przechadzała się wśród garstki nadzianych facetów w średnim wieku. Kiedy doszła do końca sali, coś sprzedała zażywnemu facetowi przy barze. Potem zniknęła mi z oczu.

Rozejrzałem się wokół; wyglądało na to, że nikt mnie nie obserwuje. Poszedłem na górę. Schody były całe w pluszu i świecidełkach. Na tym poziomie znajdowały się tylko jedne drzwi, i to zamknięte. Wspiąłem się piętro wyżej. Napis głosił: - "Tylko dla personelu". Pchnąłem wahadłowe drzwi. Przede mną był długi korytarz. Czworo otwierających się w prawo drzwi. Żadne w lewo. Otworzyłem najbliższe. Toaleta. Nikogo w środku. Na

następnych drzwiach napis: "Dyrektor". Zapukałem i otworzyłem je. To było wygodne biuro: pół tuzina butelek alkoholu, olbrzymi fotel, kanapa. Telewizor mówił: "...napinamy mięśnie brzucha i odprężamy...

Nikogo tu nie było. Podeszedłem do okna. Na ulicy człowiek układał owoce na tacze. Poszedłem dalej korytarzem i otworzyłem następne drzwi: mięsisty rząd około dwudziestu półnagich tancerek zmieniał skąpe kostiumy. Głośnik przyniósł z dołu dźwięki pianina i perkusji. Żadna z dziewcząt nie wrzasnęła, dwie spojrzały na mnie i kontynuowały rozmowę. Cicho zamknąłem drzwi i podeszedłem do ostatnich.

Było to olbrzymie pomieszczenie z zasłoniętymi oknami, pozbawione mebli. Z głośnika dochodziły te same dźwięki pianina i perkusji. W podłodze znajdowało się sześć szklanych płyt. Światło dochodziło tu z dolnego pomieszczenia. Podeszedłem do najbliższej płyty i spojrzałem w dół. Zobaczyłem mały stolik pokryty zielonym rypsem, zapieczętowane talie kart, popielniczki i cztery pozłacane fotele. Zbliżyłem się do szklanych płyt na środku pomieszczenia. W dole dojrzałem wyraźnie żółte i czerwone cyfry ograniczające czarne prostokąty na zielonej materii. Wesoło połyskiwała wkładka w blacie koło ruletki. Nie było tam nikogo, jeśli nie liczyć bladego człowieka w czarnej marynarce i spodniach w różowe paski, leży jego jak długi na stole gier. To musiał być Kruk.

### 3

(Wodnik (20 stycznia - 19 lutego) Chyba zbyt polegasz na cudzych intencjach i pomysłach. Dobrze ci zrobi gruntowna zmiana).

W pomieszczeniu z zasłoniętymi oknami nie było innych drzwi. Wróciłem korytarzem i zszedłem schodami na dół. Spróbowałem, podobnie jak w drodze na górę, otworzyć drzwi. Delikatnie je pchnąłem i usłyszałem szcęk zasuwki. Uderzając w nie łokciem, przekonałem się, że są masywne. Wbiegłem na górę pomieszczenia obserwacyjnego. Z dołu szkło mogło wyglądać jak lustro, ale stąd każdy świetnie mógł rozróżniać karty w rękach graczy.

Nie przedstawiłem jeszcze Sójce warunków transakcji. Jeśli to był Kruk, powinienem go ocucić, aresztować albo coś w tym rodzaju. Szybko wróciłem do biura dyrektora. Kobieta w telewizji mówiła: - Pochylamy się, jednocześnie... - Wziąłem z biurka ciężką maszynę do pisania i wyszedłem na korytarz. Z garderoby wyłoniły się dwie panienki w niekompletnych strojach; wyższa dostrzegając mnie zawołała: - Dziewczyny, uważajcie na portfele, on znowu tu jest - Jej przyjaciółka na to: - To musi być reporter - Obie zachichotały i zbiegły po schodach. Za taszczyłem ciężką maszynę do pomieszczenia obserwacyjnego akurat w tym momencie, kiedy do pokoju z ruletką weszła jakaś postać. To był Housemartin, miał teraz na



klapie płaszcza tłustą plamę. Wyglądało na to, że jest zgrzany i zmęczony jak ja, chociaż nie miał kłopotów z maszyną i dziewczynami.

Housemartin był dużym mężczyzną. To, że nosił marynarki z ramionami wystającymi sześć cali za kość ramieniową, nie oznaczało, że nie był dość muskularny. Podniósł bezwładnego Kruka ze stołu w kolorze miętowego kremu i wyszedł z nim tylnymi drzwiami. Stękałem pod ciężarem olivetti, ale musiałem już iść. Po płycie długości sześciu stóp szedłem całkiem gładko. Nagle powierzchnia pękła, i przez olbrzymią, okrągłą dziurę, przebijając ruletkę, maszyna spadła na podłogę. Ja również spadłem, czyniąc kurzawę i drąc sobie spodnie na siedzeniu. Podniosłem się i wymacałem dziury w spodniach. Nagle muzyka w głośniku ucichła i usłyszałem, jak jedna ze striptizerek biegnie z krzykiem po schodach. Głos w megafonie ogłosił:

- Panie, panowie, policja kontroluje lokal; proszę pozostać na swoich miejscach.

W tym czasie wyszedłem z pokoju gier tymi samymi drzwiami co Housemartin z Krukiem. Kamiennymi schodami zbiegłem na dół. Było tam dwoje drzwi, jedno z napisem "Wyjście awaryjne". Napałem na nie całym ciałem, ustąpiły o parę cali. Znalazłem się w wysokiej suterenie. W odległości dziesięciu stóp stało na chodniku czterech policjantów w mundurach. Zamknąłem jedno drzwi i podszedłem do drugich. Otworzyły się. W środku było trzech mężczyzn w średnim wieku. Jeden z nich wyrzucał do ubikacji zawartość swoich kieszeni. W sąsiedniej toalecie dwaj pozostali usiłowali prześliznąć się przez małe okienko. Gdy dostrzegłem w nim szpic granatowego hełmu, zawróciłem na schody. Idąc nimi w dół, minąłem jakieś drzwi. Pchnąłem je. Były bardzo ciężkie, ale wolno ustąpiły i znalazłem się w zaułku pełnym skrzyni, mokrych kartonów i drewnianych klatek z napisami "Bez zastawu!" W głębi była wysoka brama z łańcuchem i kłódką. Przede mną znajdowały się drugie metalowe drzwi. Otwierając je, natknąłem się na faceta w zatłuszczonym białym fartuchu.

- Zrób dwa razy spaghetti i frytki - krzyknął. Spojrzał na mnie podejrzliwie i zapytał: - Chce pan coś zjeść?

- Tak - odpowiedziałem błyskawicznie.

- W porządku, niech pan siada. Nie podaję kawy bez konsumpcji. - Skinąłem głową. - Za minutkę podam.

Siadając sięgnąłem do kieszeni po papierosy. W jednej kieszeni miałem trzy i pół paczki papierosów i ćwierć funta czosnkowej kielbasy, w drugiej miękką kostkę masła w folii. Zastanawiałem się wówczas nad słowami dziewczyny z papierosami, która powiedziała: "Niech pan idzie do domu. Tu nie ma pan czego szukać!"

Skorzystałem z zastrzeżonego numeru, żeby się połączyć z naszą tajną centralą "Duch", która była częścią specjalnej centrali rządowej.

Centrala zwykle reagowała z ośmiosekundowym opóźnieniem, żeby zniechęcić osoby dzwoniące przypadkowo, a potem odzywało się hasło - w tym tygodniu "urodziny Michała" - i następowało połączenie z oficerem dyżurnym. Ten z kolei połączył mnie z Dałbym, który mógł być wszędzie, nawet na końcu świata. Przedstawiłem mu całą sytuację bez wdawania się w szczegóły. Czuł, że to był jego błąd i wyraził zadowolenie, że nie wmieszałem się w "tłum niebieskich czubków".

- Będzie pan ze mną pracował w następnym tygodniu. To może być bardzo zawiła sprawa.

- Świetnie.

- Pomówię o tym z Alice. Tymczasem musi pan wymienić papiery. - Odłożyłem słuchawkę. Poszedłem do domu i zjadłem kanapkę z czosnkową kielbasą. - "Tysiąc dwieście" - pomyślałem. Dwadzieścia cztery funty na tydzień.

„Wymiana papierów” jest długim i nudnym procederem. Chodzi o fotografie, dokumenty, odciski palców i liczne komplikacje. Cywilni urzędnicy w małym biurze Ministerstwa Obrony są zajęci przez cały rok, i nic poza tym nie robią. We środę wszedłem do małego wnętrza na najwyższym piętrze, gdzie się mieścił tajny wydział kierowany przez pana Nevinsona. Mała wywieszka w namalowanej na drzwiach ramce głosiła: "Dokumenty. Przekwalifikowywanie Personelu i Zmarli". Pan Nevinson i jego koledzy dysponują najtajniejszymi dokumentami, dotyczącymi pracowników rządowych, i dobrze wiedzą, że sami są pod ciągłą obserwacją. Przez ich ręce stale przechodzą papiery każdego ważniejszego agenta w służbie rządu Jej Królewskiej Mości.

Choćby taki fakt z mojego życia. W lipcu 1939 byłem w piątej klasie i zdobyłem nagrodę za wyniki w matematyce. W The Burnley Daily Gazette z tego powodu ukazała się moja fotografia. W rok później przesłano tam fotografię całej szóstej klasy. Jeśli dziś dojrzyicie w bibliotece czy w archiwum The Burnley Gazette tamte numery, z pewnością nie ujdzie waszej uwadze sumienność pana Nevinsona. Gdy wymieniają ci papiery, przekopują ci całe życie. Naturalnie nowy paszport, ale też nowy akt urodzenia, książeczka opłat za radio i telewizję, świadectwa ślubu. Wszystkie stare dokładnie się niszczy. Zajmuje to cztery dni. Dzisiaj pan Nevinson zaczynał zajmować się mną.

- Proszę patrzeć w obiektyw, dziękuję. Tu podpisać, dziękuję. I tam, dziękuję, i jeszcze tutaj, dziękuję, kciuki razem, dziękuję, palce razem, dziękuję, teraz wszystkie palce razem, dziękuję. Może już pan umyć ręce. Będziemy w kontakcie. Mydło i ręcznik na szafce!

## 5

(Wodnik (20 stycznia - 19 lutego). Nie podejmuj pośpiesznie decyzji, o których myślisz. Różnica zdań stworzy szansę podróży).

W poniedziałek znalazłem się na Charlotte Street o zwykłej porze. Przy krawężniku przycupnął szary, rdzewiejący morris 1000 z Alice za kierownicą. Udawałem, że jej nie widzę, ale mnie zawołała. Wsiadłem do wozu, silnik zwiększył obroty i odjechaliśmy. Po chwili milczenia odezwałem się:

- Tylko zawiesić sobie kamień u szyi.

Odwróciła się, poprawiając makijaż. Ośmielony zapytałem, dokąd jedziemy.

- Założyć przynętę na Kruka.

Trudno to było uznać za odpowiedź. Po kilku minutach znów się odezwała.

- Proszę spojrzeć na to. - Podała mi pilśniową zabawkę, dokładnie taką samą, jakiej przed tygodniem nie chciałem kupić w klubie ze striptizem. - Tam. - Wskazała palcem, jednocześnie prowadząc wóz, rozmawiając i nastawiając radio. Zerknąłem na różowego, pilśniowego pieska w kropki; z łba wystawały mu pakuły. Obmacałem zabawkę.

- Szukał pan tego? - Alice miała w ręku aparat fotograficzny. Cierpko na mnie spojrzała, widocznie nie wyglądałem zbyt mądrze.

- Całkiem zgłupiałem - powiedziałem.

- Niech pan spróbuje inaczej. - Prawie się uśmiechnęła. Gdyby zaczęła w ten sam sposób co ja, szybko by się to zakończyło.

Na Vauxhall Bridge Road dobiliśmy do krawężnika tuż za czarnym wozem marki rover. Alice wręczyła mi grubą, zalakowaną kopertę i otworzyła drzwi. Ruszyłem za nią. Posadziła mnie w roverze na tylnym siedzeniu. Kierowca był krótko ostrzyżony, miał na sobie białą koszulę z czarnym krawatem i błękitny płaszcz przeciwdeszczowy. Alice zasunęła dach wozu. Jechaliśmy przez zaplecze Victorii. Otworzyłem kopertę. W środku znajdował się: nowy paszport, podniszczony, pogięty i antydatowany, dwa klucze: kartka zapisanego na maszynie papieru: trzy zdjęcia i bilet samolotowy pierwszej klasy, wystawiony przez BOAC. Maszynopis zawierał rozkład lotów i napis: "BA 712. LAP 11.25. Beirut International Airport 20.00. Fotografia: Kruk. Szafa grająca. Na górze. Lotnisko BEL Natychmiast spalić!" Nie

było daty. Do jednego z kluczy był przywiązany numer "025". Spojrzałem na fotografię tego człowieka, potem, zaciągając się papierosem, spaliłem maszynopis i fotografię.

Z Beauchamp Place skręciliśmy w lewo na zbyt rozrzutnie zamierzony odcinek drogi, która łączy Maidenhead z Harrods. Kierowca po raz pierwszy odezwał się na lotnisku:

- Przechowalnia bagażu czynna całą dobę jest po drugiej stronie hallu.

Opuściłem wóz i włożyłem kluczyk w ścienną szafkę metalową numer 025. Drzwiczki się otworzyły, kluczyk zostawiłem w zamku. W środku leżała ciemna skórzana walizka i niebieska płócienna torba z wypchanymi bocznymi kieszeniami. Zniosłem bagaż do punktu odprawy mojego lotu.

- Czy to pańskie? - Celniczka podniosła mój neseser, wzięła bilet, poprawiła ramiączko i, trzepocząc powiekami, dała mi kartę pokładową.

Wziąłem neseser i w kiosku kupiłem New Statesmana, Daily Workera i History Today, po czym skierowałem się do mojego wyjścia. Kłębowisko ludzi przy odprawie lotów falowało w pocałunkach, pozdrowieniach i serdecznościach. Ten facet, okutany w brudny płaszcz przeciwdeszczowy, to był Ross. Nie chcieliśmy się spotkać, ale tłum zmusił nas do chwilowego kontaktu wzrokowego. Rozpromieniłem się na jego widok i to go powinno najbardziej zirytować.

Dziewczyna z BOAC dźwięcznym, metalicznym głosem zapowiedziała odlot: - BOAC ogłasza odlot BA 712 do...

Przeszliśmy do wyjścia na płytę lotniska. Przy samolocie kręcili się ubrani na biało mechanicy i ładowacze w niebieskich kombinezonach, udając zapracowanych przed dyżurnym policjantem. Wszedłem na schodki.

Pachniało tapicerką i ciepłym powietrzem. Podałem stewardowi nazwisko, a gdy wziął ode mnie kartę pokładową i brudny płaszcz, mogłem już ze współpasażerami pierwszej klasy przejść do przodu, w stronę szalowej stewardesy. W wąskim przejściu odbywała się przepychanka. Zbliżyłem się do wyglądającej na samotną ciemnowłosej dziewczyny, ale jedynymi mężczyznami, którzy zajmują miejsca obok dziewczyn, są prawdopodobnie faceci projektujący reklamy linii lotniczych. Usiadłem obok ważącego chyba ze trzysta funtów idioty z grubym karkiem. Rozparł się w płaszczu i kapeluszu, których nie chciał oddać stewardowi. Miał przy sobie jakieś pudełka, torby, kanapki. Zapiąłem pasy, a on spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Przykre doświadczenia?

Zerknąłem z ukosa i skinąłem głową, jakbym był pogrążony w myślach. Steward pomógł mi zapiąć pasy, odnaleźć aktówkę, a także zrozumieć, że chociaż samolot leci do

Sydney przez Colombo, on musi wsiąść w Rzymie. Steward pokazał mu, jak się zakłada i zdejmuje kamizelkę ratunkową, jak się zapala światło w wodzie, gdzie jest gwizdek i czym włączać sprężone powietrze. Pokazał mu, gdzie znajduje się mapa i na jakiej wysokości lecimy. (Ciągle jeszcze staliśmy na lotnisku.)

Gdy znaleźliśmy się na początku pasa startowego, samolot zatrzymał się, by pozwolić wylądować DC 8 Alitalii, po czym, zwalniając hamulce, coraz szybciej zaczął toczyć się po szerokim pasie startowym. Minęliśmy budynki lotniska i stojące samoloty, parę podskoków i maszyna zaczęła pewnie unosić się w górę, nabierając szybkości. Zmalały samochody na London Road, w słońcu pośpiesznie połyskiwały tafle licznych zbiorników wodnych wokół lotniska. Dziwne zamczyska i posiadłości baronów ukazują się jedynie wtedy, gdy jesteśmy w samolocie. Zapamiętałem je i znów dałem sobie słowo, że kiedyś tam pojedę.

W pobliżu Guildford stewardesa zaproponowała darmowy alkohol, co razem z dodatkowymi sześcioma calami przestrzeni zwracało koszt biletu pierwszej klasy, jeśli się było w podróży służbowej. Grubas naturalnie zażądał czegoś osobliwego: portwajnu z cytryną. Stewardesa wyjaśniła, że czegoś takiego nie mają. Postanowił:

- Kochanie, zostaw to sobie, nie lecę daleko.

Pojawiły się nasze drinki. Podsunął mi mój kieliszek sherry i nalegał, byśmy się stuknęli jak para żółwi.

- Zdrówko, nasze kawalerskie!

Chłodno skinąłem głową, łyk sherry torował sobie lepką drogę w dół, aż do kostek.- Przez zęby, przez dziąsła, uważać na żołądek, zbliża się - zaintonował, i był w tych swoich dowcipasach tak beznadziejnie hałaśliwy, że w czasie całego lotu wypił jedynie niewielką część drinka. W krzyżówce napisałem: "Roundelays".

- Lecę do Rzymu - odezwał się Gruby. - Był pan tam kiedyś? Kiwnąłem głową, nie patrząc na niego.

- Spóźniłem się na samolot o dziewiątej czterdzieści pięć. To ten, którym miałem lecieć, ale się spóźniłem. Ten nasz nie zawsze ląduje w Rzymie, a tamten o dziewiątej czterdzieści pięć leci bezpośrednio do Rzymu.

Wykreśliłem "Roundelays" i wpisałem "Rondoletto". On ciągle powtarzał, że nie będzie się włączył po Rzymie, i zaśmiewał się chrapliwym chichotem, wykrzywiając nalaną twarz za różowymi okularami bez oprawek. Czytałem właśnie w "Statesmanie" stronę z ogłoszeniami o przetargach, gdy stewardesa zaproponowała wybór grzanek wielkości pensa, ozdobionych wędzonym łososiem i kawiozem. Gruby zapytał:

- Co tam mamy na ząb, złociutka, spaghetti? - Powtórzył to kilka razy, histerycznie zarykując się śmiechem. Na wózku podjechał obiad, więc odmówiłem sąsiadowi zjedzenia kanapek z kielbasą. Zjadłem mrożone kurczę, mrożone pomme parisiennes i mrożony groszek. Zacząłem zazdrościć grubasowi kanapek. Gdy przelatywaliśmy nad przedmieściami Paryża, pojawił się szampan. Trochę mnie zmięczył. Wykreśliłem "Rondoletto" i wpisałem "Dithyrambs", co się zgadzało z dwadzieścia jeden pionowo: Awe" zamiast "Ewe". Wszystko zaczęło się zgadzać. Prześliznęliśmy się przez chmury jak przez pianę na piwie.

- Wylądujemy w Rzymie na lotnisku Fiumicino. Postój będzie trwał czterdzieści minut. Prosimy nie zostawiać w samolocie cennych przedmiotów. Pasażerowie mogą pozostać na pokładzie, ale podczas tankowania nie wolno palić. Do momentu wylądowania proszę pozostać na miejscach. W restauracji na lotnisku są napoje orzeźwiające. Dziękuję.

Niechcący wytrąciłem Grubemu z rąk okulary, szkło zatrzeszczało na podłodze, ale nie pękło. Wzajemnie się przepaszając, wyjrzelśmy przez okno na Wieczne Miasto. Rzymskie akwedukty były tak świetnie widoczne jak portfel Grubego, więc go podniosłem, oferując Grubemu własny fotel.

- Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu... - zaczął mówić, gdy ruszyłem do toalety. "Zajęte". Niech to diabli. Wszedłem do jasnej, chromowanej kuchenki. Zajrzałem do wnęki na bagaże. Przejrzałem portfel Grubego. Zwitek pięciofuntówek, trochę zasuszonych liści, dwie czyste pocztówki z widoczkiem Marble Arch, pięcioszylingowy klaser, trochę wyświechtanych włoskich banknotów i karta Diner's Club na nazwisko HARRISON J. B. oraz jakieś fotografie. Musiałem się spieszyć. Dostrzegłem stewardesę przechadzającą się między fotelami i sprawdzającą pasy bezpieczeństwa. Oświetlenie było włączone. NO SMOKING, FASTEN SEAT BELTS. Już miała mnie wołać. Wyrzuciłem fotografie: trzy paszportowe zdjęcia ciemnowłosego faceta, wyglądającego na maklera - en face, profil i three quarter. Fotografie były różne, ale facet ten sam, mój ulubieniec, tajemniczy Kruk. Pozostałe trzy fotografie, także w stylu paszportowym, ukazywały ciemnowłosego typa z okrągłą twarzą; miał głęboko osadzone oczy pod okularami w rogowych oprawkach, wystającą szczękę i dziurkę w brodzie. Na odwrocie fotografii widniał napis: "pięć stóp i jednaście cali, muskularny, skłonności do nadwagi, bez widocznych blizn, włosy ciemnobrązowe, oczy niebieskie". Jeszcze raz zerknąłem na znajomą twarz. Wiedziałem, że te oczy są niebieskie, choć fotografia była czarno-biała. Widywałem tę twarz; zwykle rano przy goleniu. Uświadomiłem sobie, kim jest Gruby. To ten sam facet, który siedział przy barze w klubie, kiedy dziewczyna z papierosami powiedziała mi: - Niech pan idzie do domu.

Zgarnąłem wszystko i schowałem portfel, uspokajając protestującą stewardesę. Wróciłem na swoje miejsce w momencie, gdy z podwozia wysunęły się koła i samolot zadrżał jak Gordon Pirie wpadający do pokoju wypełnionego pod sufit watą. Gruby siedział znów w swoim fotelu. Na leżącą na podłodze aktówkę spadł mi sweter. Szybko usiadłem i zapiąłem pasy. Najpierw dostrzegłem węzeł kolejowy, a gdy podeszliśmy nisko do lądowania, w sprężynie fotela wbiła mnie litera G. Najpierw pojawił się południowy widnokrąg, a po chwili nad jasnożółtymi kabłąkami Shell Aviation błysnęły skrzydła Grunmana S2F-3 z podwójnymi silnikami. Był pomalowany na biało, napis NAVY biegł kwadratowymi czarnymi literami pod amerykańskimi insygniami. Koła dotknęły asfaltu. Pochyliłem się, by podnieść swój sweter. Jednocześnie starannie wepchnąłem pod fotel Grubego jego własny portfel. Dojrzałem wtedy na spodniej części mojej nowej aktówki wyraźne nacięcie nożem, ale aktówka nie była otwarta. Nacięcie nie z tych długich, amatorskich, ale małe, profesjonalne. Akurat, żeby przeszukać zawartość. Wyprostowałem się. Gruby poczęstował mnie miętowym cukierkiem.

- Postępuj jak Rzymianie - mówił, uśmiechając się przez popękane szkła.

Lotnisko Fiumucino w Rzymie jest prostobocznym tworem "współczesnej ekonomii". Podeszedłem do głównego wejścia; na lewo była restauracja, schody na prawo prowadziły do urzędu pocztowego i kantoru wymiany walut. Spędziłem minutę, oglądając paperbaki, gdy nagle usłyszałem ciche wołanie:

- Halo, Harry.

Nie jestem Harrym, ale w naszym biznesie trudno spamiętać, czy kiedyś nim nie byłem. Odwróciłem się do wołającego - mój kierowca z Londynu. Miał twardą kościstą czaszkę z rzadkimi włosami pofarbowanymi Brylcreem'em. Ciemne oczy głęboko osadzone po obu stronach twarzy jak gniazda karabinów maszynowych. Od wiatru, deszczu, monsunów i po czterdziestu latach golenia się pod włos zsiniały mu policzki. Założył czarny krawat do białej koszuli oraz błękitny płaszcz przeciwdeszczowy. Jeśli był członkiem załogi, musiał zdjąć insygnia z naramienników i gdzieś zostawić służbową czapkę. Jeśli nie, było już mniej dziwne, że wybrał sobie nie przybrany insygniami mundur załóg wszystkich linii lotniczych świata. Jego oczy czujnie lustrowały moje ramiona. Przeciągnął skroń dłonią prawej ręki, by przygładzić i tak już przygładzone włosy.

- Miejsce dziewiętnaste...

-...martwi się - dokończyłem, posługując się słownictwem naszego wydziału. Wyglądał na nieśmiałego. - Teraz pan mi podpowiedz - odezwałem się zirytowany. - On już zdążył pokroić majchrem mój bagaż.

- Jak dotąd, puszka jest w aktówce - powiedział.  
- Puszka jest w środku - potwierdziłem. Potarł w zadumie szczękę.  
- Niech pan czeka w Bejrucie. Proszę to zostawić. - Obaj spojrzeliśmy na walizeczkę.  
- Ja ją przeniosę przez kontrolę celną. - Pożegnał się i odszedł, ale jeszcze wrócił pocieszyć mnie. - Dla dziewiętnastki przygotowujemy ręczny bagaż.

Kiedy mu dziękowałem, z głośnika rozległ się głos:

- British Overseas Corporation denuncia che departe dela Comet volo BA712a Beirut, Bahrain, Bombay, Colombo, Singapore, Jakarta, Darwin and Sydney a tutto passagere...

Utonęło za nami Koloseum, bolący ząb Rzymu, białe, upiorne i porażające. Spałem do Aten. Gruby nie wrócił na pokład. Byłem zmęczony i przegrany. Znów zasnąłem.

Obudziłem się na kawę, gdy przelatywaliśmy nad brązowym wybrzeżem Libanu. Cienkie prążki białych krzyży odbijały się od błękitu morza. Zauważyłem, że od pierwszej mojej bytności podczas wojny pobudowano tu wiele wysokich białych budynków\* [ Patrz. Dodatek: Medway

II, str. 214].

Podczas okrążania leżącego blisko wybrzeża lotniska samolot dostaje drgawek, a tuż za pasami teren zamienia się w poszarpane zielone wzgórza. Wszystko jest tu gorące, pełne złych przecuć i bardzo wiekowe.

Uprzejmy urzędnik w mundurze khaki napisał coś w paszporcie po arabsku, z lewa na prawo, i przybił pieczętkę. Przeszedłem cło i kontrolę paszportów.

Po przepuszczeniu dwóch taksówek wrzuciłem walizkę z ubraniami do mercedesa-taxi, dałem kierowcy parę libańskich funtów i powiedziałem po angielsku, żeby poczekał. Był wyglądającym na łobuza muzułmaninem w brązowym kapeluszu, jasnoczerwonym rozpinanym swetrze i tenisówkach. Wbiegłem na górę. Obok grającej szafy pił kawę "kierowca". Oddał mi aktówkę, ciężką brązową paczkę, i obrzucił mnie nie mniej ciężkim spojrzeniem. Zniosłem to wszystko w spokoju. Podał adres hotelu w mieście. Kiedy wyjechaliśmy z gęstego lasu pełnego wysokich sosen, na nowoczesnej szosie do miasta mercedes zaczął pruć siedemdziesiąt pięć mil na godzinę. Na górskich stokach rosły cedry, drzewa będące narodowym symbolem i od ponad pięciu tysięcy lat przedmiotem eksportu. "Wytnijcie cedry Libanu" rozkazał Salomon i zbudował z nich świątynię. Ale mojego taksówkarza wcale to nie obchodziło.

## 6

(Wodnik (20 stycznia - 19 lutego)/ Czyjaś przezorność sprawi, że zaskoczysz rywala).



Zerkając spomiędzy listewek szerokich żaluzji, żółto-pomarańczowe domy ze stiukami dumwały, jak zasłonić morze. W południowym żarze jakiś czarnowąsy łobuz przyciskał sygnał w różowym cadillacu. Przyczyną jego irytacji był dzieciak prowadzący wielbłąda, który wykazywał zainteresowanie drzewami akacji. Przy drodze siedziało na składanych krzeselkach dwóch grubasów. Pijąc arak z czegoś się zaśmiewali; z pewnością nie z wiszącej nad ich głowami kolorowej litografii Nasera. W kawiarni o oszczędnych wymiarach i tak pomyślanych drzwiach, by zachować we wnętrzu absolutną ciemność, podają oszczędną kawę i egzotyczne ciasteczka oblane miodem i posypane orzechami. Klientela - młodzi Turcy i Grecy ubrani jak intelektualiści o lewicowych ciągotach - odnajduje przy świetle grającej szafy krzesła. Na zewnątrz, w oślepiającym słońcu, starożytne tramwaje wypływają ruchome cele dla mercedesów-taxi. Śniadoskórzy młodzieńcy z długimi włosami paradują po wybrzeżu w slipach, które ledwo zakrywają im owłosienie. W dole ulicy dwóch chłopaków na zardzewiałych rowerach utrzymuje między sobą w równowadze stolnicę z ciastem na chleb, i o mało nie przewraca ich oszalały ze strachu i wściekłości pies. Mieszkańcy pustyni przechadzają się wśród sprzedawców dywanów i końskich, wielbłądzich i rowerowych siodeł. W pokoju 624, zamówionym dla mnie przez wydział Dalby'ego, była łazienka, lodówka, waga, wspaniałe lustro, jeden telefon przy łóżku i drugi przy wannie. Hotelowy dywan pokryły pasma słonecznych promieni. Radio huczy muzyką ze starych płyt, zdarty głos Sinatry tłumią hałasy urządzeń klimatyzacyjnych.

Wypiłem kolejną filiżankę czarnej kawy i postanowiłem przeszukać bagaż. Odsunąłem suwak przy niebieskiej torbie na ubranie i zobaczyłem wymięty garnitur z niebieskiego samodziału oraz lekką marynarkę z kory, a także więcej niż potrzeba wewnętrznych kieszeni. Były w nich poukładane białe lub utrzymane w jasnych odcieniach jedwabne koszule, parę jasnych krawatów, jeden wełniany, jeden jedwabny, włoski skórzany pasek i czerwone szelki; pamiętajcie o zwyczajach Alice. Zaczynała mi się podobać praca w WOOC/P/. Wewnątrz aktówki znajdowała się ciężka puszcza. Spojrzałem na etykietę z napisem "WD 310/213. Bomba". Ciężki bagaż, który mi dał facet w niebieskim przeciwdeszczowym płaszczu był pakunkiem z wodoszczelną torebką w środku. Na coś takiego można się natknąć podczas poszukiwania zapalek w kieszeni samolotowego fotela. Wykorzystują to załogi samolotów, ładowacze i technicy do przewożenia swoich "znalezisk". Wszystkie linie lotnicze wyrzucają za burtę ciasta, kurczęta, długopisy, talie kart, masło. W środku znalazłem bezodrzutowy pistolet smith and wesson z bezpiecznikiem w uchwycie, i pięć magazynków z nabojami. Próbowałem sobie przypomnieć zasady obsługi nie znanego mi pistoletu\*<sup>[ / Patrz Dodatek, str. 214].</sup>

W załączonym pudełku mieściło się dwadzieścia pięć naboju, dwa zapasowe magazynki (amunicja mocno trzymała się w gęstym smarze) i kabura na pistolet. Opasałem się pasem. Przylegał bardzo dokładnie. Przeffilowałem przed lustrem, strojąc rozmaite miny i dopiłem kawę. Już wkrótce powinien przyjść rozkaz. Rozkaz, by po raz ostatni spróbować przyskrzynić biochemika Kruka, nim wymknie się nam na dobre z rąk.

Szosa z Bejrutu w głąb kraju wiję się serpentynami wśród gór. Po obu jej stronach do oliwkowych drzew przytulają się piaszczyste wioski. Po rdzawych zboczach osuwają się skały, w dole leży Zatoka Świętego Jerzego, gdzie smok stał się tym, czym był później. Wyżej, gdzie prawie przez pół roku leży śnieg, góry są porośnięte białymi alpejskimi kwiatami, żółtym żarnowcem i, gdzieś tam, dziką lukrecją. Po minięciu szczytu droga nagle opada, zanurza się w dolinie i dobiega do następnego pasma - Antylibanu, za którym rozpościera się pięćset mil graniczących z Persją piasków. O wiele bliżej, prosto tą szosą, jest Syria.

W wielu miejscach szosa ścina zakręty i nad jezdnią zwisają skalne półki. Dorosły człowiek, jeśli zachowa spokój, może się usadowić w znanym mi miejscu między dwiema skałami. Kiedy spojrzeć stamtąd na wschód, widzi się szosę na przestrzeni ponad stu jardów. Patrząc w kierunku Bejrutu, widać jeszcze dalej, bo na odległość ponad trzystu jardów. Co więcej, przez lornetkę można obserwować skrzyżowanie dróg w górach. Jeśli ma się przyjaciół na drodze i radio, można się z nimi porozumieć. Chociaż nie powinno się tego robić bez przerwy, kiedy rozmowę podsłuchuje policja. O pół do czwartej nad ranem człowiek z tego miejsca liczy widoczne przez lornetkę gwiazdy, o mało nie spadając ze skały. Metal radiowego aparatu będzie mu boleśnie ziębił ręce i uszy, aż w końcu zacznie sporządzać listę przyjaciół, którzy mogliby mu pomóc w znalezieniu innej roboty, i nie mam zamiaru mieć mu tego za złe. O trzeciej trzydzieści dwie zauważyłem zjeżdżające z góry reflektory. Przez lornetkę dojrzałem, że wóz miał szerokość i sylwetkę amerykańskiego krążownika. Włączyłem radio i w momencie, gdy połączyłem się z Dałbym, dostrzegłem ruch na szosie.

- Jeden wóz, ponad tysiąc jardów od nas. Na drodze żadnego ruchu. Wyłączam się. -  
Dalby chrząknął.

Rozpoznałem wojskowe pasy, pode mną prześlizgnął się szary pontiac, obmacując reflektorami pobocza szosy. Snop światła przeszedł nad głową Dalby'ego. Wyobraziłem go sobie, jak tkwi nieruchomo przykucnięty. W tego rodzaju sytuacjach Dalby, poddając się podświadomości, przysiadł; nie musiał myśleć, był urodzonym zabijaką. Wóz, zgodnie z przewidywaniami Dalby'ego, zwolnił i gdy był tuż, tuż, Dalby podniósł się i przyjął postawę

dyskobola, zamachującego się i ciskającego bagaż własnych zmartwień. Bomba miała wielkość dwóch puszek z zupami. Przy uderzeniu niewielki ładunek wybuchowy rozpryskiwał rodzaj napalmu. Policja nie musi się już martwić o ustalanie, w jaki sposób wysadzono w powietrze spalone wozy razem z zawartością. Ekspłodował ładunek. Dalby upadł na płask, ogniste języki liznęły chłodnicę i opony. Wóz nie zwolnił. Dalby zerwał się i zaczął za nim biec. Wcześniej zatarasowaliśmy drogę starym samochodem z Bejrutu. Człowiek prowadzący nasz cel musiał zginąć przy pierwszym zderzeniu, bo nawet nie próbował skręcić, tylko się wbił w starą simcę, wlokąc ją jeszcze z osiem stóp. Dalby był już obok. Otworzył drzwi i gdy zaczął przeszukiwać tylne siedzenie, usłyszałem strzały z pistoletu. Mój nadawczo-odbiorczy aparat zatrzeszczał, ktoś się włączył i, zapominając o całej procedurze, panicznie krzychał:

- Co robisz, co robisz? - Przez ułamek sekundy myślałem, że kieruje to pytanie do Dalby'ego; po chwili to zobaczyłem.

Na szosie za mną był inny wóz. Prawdopodobnie jechał za pierwszym z wyłączonymi światłami albo przyjechał tu inną drogą, prowadzącą kotliną z Baalbek i Homs. Spojrzałem w dół na odcinek drogi, który był teraz oświetlony jak w jasny dzień. W intensywnym świetle gorących promieni sylwetki wyglądały jak zamrożone na fotografii. Dostrzegłem wypożyczonego z ambasady łącznościowca, który stał jak harcmistrz na wczasach i gromił mnie wzrokiem. Widziałem też Simona, który zamiast pośpieszyć z pomocą Dalby'emu z drugiej strony wozu, stał spokojnie obok. Przemknęło mi przez głowę, że to zadanie należało koniecznie powierzyć komuś innemu; kogoś innego obarczyć odpowiedzialnością, a nie tego fircyka, który się odwraca i wrzeszczy. Ale nie mogłem zdradzać takiego podejścia do sprawy. Musiałem uważać, by nie zrobić tego, co robił Dalby, leżąc brzuchem na gorącym baku z benzyną, wśród ludzi nie mających powodu, by pospieszyć mu z pomocą. A więc zrobiłem to, co do mnie należało. Zrobiłem to szybko i bez zastrzeżeń. Nie musiałem wykorzystywać dwóch bomb, wóz miał miękki dach.

Gdy gramoliłem się na ziemię, Simon wyprowadził na szosę wóz Dalby'ego. Z tyłu siedział facet od radia, pilnując naszego jeńca - cichego maklera, którego fotografie miał i Gruby, i ja. Człowieka, którego widziałem leżącego bez przytomności na stole do gry w ruletkę. Dalby poszedł przyjrzeć się tym fircykom, a ja dyskretnie zwymiotowałem. Wiszący nad szosą ostry odór był bardziej odrażający niż opary z cysterny piwa. Piekielny smród wypełnił mi całe płuca. Z palących się wozów wypełzały jeszcze migocące płomienie, gdy na rozżarzony metal zaczęło coś kapać. Zdjęliśmy kombinezony i wrzuciliśmy do ognia. Simon miał dopilnować, żeby się dokładnie spaliły.

Na wschodzie zaróżowiło się niebo, cisza ustępującej brzaskowi nocy stawała się krucha i niepewna. Na wychodzących z mroku wzgórzach pojawiły się kozły. Już wkrótce przebudzą się wioski tej krainy, po której chodził święty Paweł, ludzie będą normalnie żyć i pracować tam, gdzie my nocą zabijaliśmy. Wrócił Dalby ze słowami:

- Nikt tego nie lubi.
- Początkowo - odezwałem się.
- Nie zawsze, jeśli pracuje ze mną.

Dalby usiadł z tyłu obok Kruka. Łącznościowiec obserwował ich z podniesionym pistoletem w rękę. Usłyszałem stanowczy głos Dalby'ego:

- Bardzo mi przykro, sir. - Po czym wyjął małą tubkę pasty do zębów; podczas wojny wyposażenie w zestawie pierwszej pomocy. Podwijając rękaw mężczyzny, ukłuł go tubką. Tamten nie usiłował nawet protestować. Siedział w szoku. Zużyta tubkę po morfinie Dalby włożył do pudełka na zapalki, wóz ruszył, zostawiając za sobą powyginane wraki trzech samochodów; na jezdnię kapłała topiąca się guma. Z głównej szosy do Bejrutu zjechaliśmy w Shtora, kierując się przez Baalbek na północ. Jechaliśmy doliną, której strzegły pogańskie i rzymskie ruiny. W świetle poranka dojrzałem pomiędzy topolami sześć gigantycznych kolumn Wielkiej Świątyni; trwały tu, ponieważ obok nich trwały wzorce Imperialnego Rzymu. Dalby pochylił się do mnie i podał różowe okulary:

- Mam je od fircyków. - Zobaczyłem, że jedno szkło było pęknięte. Obróciłem je w rękę. Jeśli jest coś bardziej wruszającego niż pies nieboszczyka, to jego okulary. Każde ich wygięcie, każdy błysk należały do użytkownika, i nie będą już nigdy należeć do kogo innego. Dalby powiedział:

- Wywiad Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Jedni i drudzy. Wóz amerykańskiej ambasady. Prawdopodobnie mieli tu zrobić to, co my. Obsłużyć wrażliwego na zapachy - zgoda. Ale powinni nam powiedzieć, co robią. - Dostrzegł moje spojrzenie skierowane na Kruka. - Nim nie ma się co przejmować. Jest na wylocie.

Przypomniałem sobie, że biały "naganiacz" S2F-3 amerykańskiej Marynarki Wojennej w Rzymie i drugi w Bejrucie - to ten sam samolot.

## 7

Zobaczyłem Dalby'ego z odchyłoną do tyłu głową i połyskującymi w gorącym słońcu długimi włosami. Krzyknął coś, czego nie dosłyszałem, i zniknął za gigantyczną dorycką kolumną. Na tle jasnego pustynnego nieba rysowały się ogromne ruiny świątyni Baalbek. Gdy zeskoczyłem na porozbijane schody, spod moich stóp śmignęło kilka jaszczurek. Dalby tego dnia łapał słońce, a ja czułem jak na nosie i czole napina mi się skóra. Gdy powiew

wiatru poniósł ponad dnem doliny pstryknięcie palcami, stopy przysypał mi lotny piasek. Dalby zbliżył się i wtedy zauważyłem, że znalazł kawałek kafelka, który przez dwa tysiące lat sprytnie unikał turystów. Po drugiej stronie budowli, za kolistą świątynią Wenus, stała grupa amerykańskich dziewcząt w czerwonych blezerach, przysłuchując się staremu Arabowi z białą brodą. Chociaż wiatr znosił głos, mogę powiedzieć, że doszedł do miejsca o orgiach i obrzędach ku czci Molocha. W końcu Dalby mnie dorwał.

- Zgoda na luch? - zapytał i zgodnie z właściwym sobie poczuciem wyższości prowadził już na posiłek, nie czekając na odpowiedź.

Długo spaliśmy tego ranka w dużej willi przy drodze do Baalbek. Simon był podpułkownikiem Korpusu Medycznego Królewskich Sił Zbrojnych i swego rodzaju specjalistą. Nigdy jeszcze nie brał udziału w takiej imprezie, jak wczoraj w nocy. Odczuwałem wyrzuty z powodu mojego milczącego krytycyzmu. Teraz był tu znowu i nie spuszczał oka z głównego bohatera wczorajszej imprezy. Willa stała na uboczu pod opieką milczącej pary starych Ormian, którzy przyjęli bez zdziwienia nasze pojawienie się poprzedniej nocy. Wokół budynku rozpościerał się duży, tarasowaty ogród. Dom w kształcie litery U osłaniały azalie, cyklameny i drzewa oliwkowe. Nieregularną sadzawkę daleko za domem przecinała naturalna skała. Nad czystą, błękitną wodą była wykuta rzeźba rzymskiego atlety; ani szatnie, ani plażowe fotele czy parasole, ani trampoliny nie szpeciły naturalnego wyglądu otoczenia. Ściany domu wychodzące na wewnętrzne podwórze były przeszklone od podłogi do sufitu; zasłanianie je jasnymi kotarami rozsuwanymi przy pomocy łożysk z elektrycznym napędem. Nocą, gdy cały dom był zalany światłem i gdy kolorowe reflektory oświetlały rzymską rzeźbę, wybrukowana środkowa loggia stawała się doskonałym lądowiskiem dla helikopterów; podwójnie oszklone okna wyciszały hałas.

Tu, w świątyni, powietrze było jasne, czyste i łagodne, a ponieważ poranek przydaje magii każdemu miejscu, było jednocześnie ostre. Żłobkowane kolumny od wieków polerował wiatr, ale przy dotknięciu ich powierzchnia była chropowata jak pumeks i pokryta wgłębieniami jak plaster. Brudny dzieciak w podartych spodniach i brezentowych amerykańskich butach prowadził drogą na północ trzy pobrzękujące łańcuchami kozy.

- Papieros - zawołał do Dalby'ego i dostał dwa.

Dalby był jakoś szczególnie odprężony i wylewny; wyglądało na to, że jest szansa dowiedzieć się czegoś więcej o opozycji, którą właśnie przechytrzyliśmy. Zapytałem go o Sójkę:

- Ale w co on gra, jaki jest jego punkt widzenia, o co mu chodzi?

- Prowadzi, a właściwie płaci komuś za prowadzenie zespołu badawczego w Aargau. - Przerwał, a ja skinąłem głową. - Wie pan gdzie to jest?

- Tak.

- Gdzie?

- Proszę wybaczyć, jeśli zenuje pana niedostatek mojej ignorancji. Kanton Aargau leży w północnej Szwajcarii, rzeka Aar wpada tam do Renu.

- O tak, przepraszam, król finansów musi znać Szwajcarię.

- Właśnie. Zaczniemy teraz od tego: co to za zespół badawczy?

- No więc, mają tam socjologów, psychologów i statystyków, dostają pieniądze od różnych fundacji przemysłowych na badania, jak to nazywają, "zsyntetyzowanego środowiska".

- Teraz całkiem pomieszał mi pan w głowie, choć pewnie nie miał takiego zamiaru.

- Nie ma się czemu dziwić, bo oni sami nie bardzo wiedzą, co robią, ale taka jest ogólna idea. Weźmy, na przykład, niemiecki przemysł. Od wieków brakowało tam klasy pracującej i Niemcy musieli sprowadzać robotników z niemal wszystkich krajów Europy, osiągając w tej dziedzinie świetne rezultaty. To znaczy: niech pan umieści w niemieckiej fabryce niewykwalifikowanego robotnika z jakiejś greckiej wyspy, faceta, który w życiu nie widział maszyny, to nauczy się pracować jak robotnik z Dusseldorfu. - Dalby popatrzył w górę. - Pojmuje pan?

- Doskonale - potwierdziłem. - A więc co za problem? To wspaniale dla Niemców.

- W tego rodzaju sytuacjach nie ma problemów. Ale kiedy Zachodni Niemcy budują fabrykę w Grecji, zatrudniając tamtejszą siłę roboczą, nieraz nie mogą nawet ich nauczyć zapalania światła. I dlatego naukowcy pracujący w Aargau dla wojska czują, że przebywanie w środowisku, gdzie każdy wie, co oni robią - i że idzie to im jak z płatka - oznacza, iż każdy przybysz przejmie taką samą postawę. Jeśli jednak jednostka znajdzie się wśród ludzi, którym brak pewności siebie, będzie podnosiła poprzeczkę, by doskonalić swe umiejętności; pozostali pójdą w jej ślad. To jest właśnie "zsyntetyzowane środowisko". Może być ono bardzo istotne dla przemysłu, zwłaszcza dla przemysłu powstającego w krajach rolniczych.

- Może być ważne także z naszego punktu widzenia - dodałem.

- Mamy na ten temat dokumentację - powiedział oschle Dalby.

To mniej więcej wszystko, co mi ofiarował Dalby na temat Sójki, ale kiedy wracaliśmy do willi, miałem już przygotowane inne tematy do luźnej dyskusji. Zapytałem go o nową IBM-kę, o raport Chesterskiego Komitetu w sprawie służb wywiadu i w jaki sposób mógłby on nas dotyczyć, o zaległościach w wypłacaniu mi poborów (dochodziły do czterech

miesiący), i czy nie mógłbym otrzymywać funduszu na wydatki w gotówce lub czekach, zamiast przedstawiać rachunki i potem długo czekać.

Dla Dalby'ego był to dzień, w którym chciał pokazać, że jest swoim chłopem. Założył koszulę z krótkimi rękawami, wyrzuconą na spodnie, stare zamszaki i kopał nimi każdy ruchomy przedmiot na drodze. Zapytałem go o Adema, naszego gospodarza, i tu był bardziej wylewny, niż jeśli chodzi o płace i wydatki.

Dalby'emu przekazał go Ross, któremu dał go amerykański Urząd do Zwalczenia Narkotyków (Wydział Śródziemnomorski). Kiedyś przewoził indyjskie konopie\*/(Patrz dodatek: Indyjskie konopie, str. 215] przez syryjską granicę i był ogniwem prowadzącym do Nowego Jorku.

W roku 1951 ubili z nim interes Amerykanie i chociaż płaca nie mieściła się w stawkach za handel narkotykami, był i tak szczęśliwy, że nie popłynął z nurtem rzeki. W czasie przegrupowań służb wywiadu NATO w 1953 roku Adem wstąpił do brytyjskiej służby. Miał około sześćdziesiąt pięciu lat, był delikatny i zabawny, z twarzą jak przechowane przez zimę jabłko. Świetnie się znał na koniach, winach i heroinie, miał encyklopedyczną wiedzę na temat terenów rozciągających się pomiędzy północną Turcją i Jeruzalem. Gdybyście przydepnęli na tym obszarze żuka, przekonalibyście się, że Adem miał go w kontrakcie. Jego rola polegała na dostarczaniu informacji i, rozumiejąc to, nie dziwił się przedsięwzięciom swoich pracodawców albo tego nie okazywał. Jego zarobki były rzeczywiście nieograniczone, z jednym zastrzeżeniem: nigdy gotówką. Dalby ujął to tak: - Płacimy każdy sensowny rachunek, który przedstawi, ale nigdy nie wziął sobie funta.

- Trudno będzie mu się wycofać - zauważyłem.

- To zupełnie niemożliwe, jeśli będę miał na to wpływ - odparł Dalby. - Złapał przynętę, a i my go potrzebujemy.

- To znaczy, że nigdy nie podbiera gotówki? - zapytałem, żeby go rozdrażnić.

Twarz Dalby'ego rozpromieniła się w chłopięcym uśmiechu, który przywoływał, gdy czuł się dumny z powodu równych zębów.

- Próbuje! Kiedy po raz pierwszy daliśmy mu helikopter z Sud Aviation Jet - ciągnął dalej - powiedziałem mu, żeby się wokół czegoś pokręcił. "Żyj z nim w zgodzie i bądź z niego dumny" - powiedziałem mu. "Weź paru ważniaków i polataj". Chciałem zobaczyć, jak lata tam i z powrotem nad linią brzegową, czasem odbijając od morza. Nikt się nie odważy tam grzebać, kiedy na pokładzie są libańscy ważniacy.

Kiedy doszliśmy do opadającej w stronę domu drogi dojazdowej, za drzewem cytrynowym dojrzałem światła zielonego cadillaca, którym przed godziną podjechał do nas na szosie Adem.

- I co? Udało się?

- Udało? - Dalby pochylił głowę, przycisnął ucho i uśmiechnął się w zachwycie. - Siódmego dnia od zdobycia licencji przewiózł przez granicę dwadzieścia kilogramów heroiny z Syrii. Dwadzieścia kilogramów - powtórzył, formując wąskimi wargami słowa, uradowany radością ambitnego starucha.

- Pięć szylingów za dawkę to sporo zielonych - zgodziłem się.

- Na plantacje indyjskich konopi wkroczył postęp. Ci jego znajomi zbóje robili z kilograma sto tysięcy dawek, po pięć szylingów w Bejrucie, a w Londynie będzie już ponad dziesięć. Kilka takich kursów i kupi sobie Cypr. Miałem z tym problem, ale mu powiedziałem, że jeśli zrobi to jeszcze raz, to rozwalę mu łeb. Na dłuższą metę było to zbawienne. Kiedy przeciekła wiadomość o tym ładunku - w takim miejscu, jak to, jest to obowiązkowe - no więc, ludzie nigdy nie ufają absolutnie uczciwym jednostkom.

Drażnił nozdrza zapach dgajmuhs (kurczę ugotowane z selerem i nadziane gałką muszkatołową, tymiankiem, mięsem z jagnięcia i ryżem). Gdy doszliśmy do frontowych drzwi, stary człowiek w jasnożółtej koszuli z miejscowego jedwabiu okopywał w swoim ogródku warzywa.

- Halo - mruknął Dalby. - Stara świnią uprawia własne. Przez wysoką jadalnię przemknął łagodny wietrzyk. Wystrój wnętrza, jeśli nie liczyć dwóch pięknych brokatów ze złotymi nitkami i starożytnymi wzorami, bardziej zdradzał chłopskie pochodzenie Adema, niż jego dzisiejszą zamożność. Drewniane sprzęty, bielizna w drobne wzorki, olbrzymi kuchenny kredens zastawiony talerzami, spodkami, dzbankami i kubeczkami. Na ścianach ciemne kilimy w proste, wiejskie wzory. Wszystko to stanowiło tło dla popisu gastronomicznego. Najpierw podano sambousiks (gorące ciasteczka nadziewane mielonym mięsem). Patrzyłem na stojącego przy końcu stołu Adema: pod bulwiastym nosem zwisały mu ogromne, siwe wąsy, które z powodu rzadkości sprawiały wrażenie, że ma twarz odróconą brodą do góry. Miał szorstką, opaloną skórę i kiedy przybierał poważny wyraz twarzy, zmarszczki wokół oczu i ust stawały się bielusińskie. Ale rzadko bywał poważny.

Wyciągniętym z kieszeni, zniszczonym nożem w rogowej oprawie podzielił olbrzymią pieczeń z jagnięcia. Składany nóż miał szerokie zastosowanie: od ogrodnictwa po wymianę opon. Obserwowałem, jak robił to wszystko z miłą dla oka zręcznością. Przy krojeniu mięsa wykrzywił usta i podawał każdy kawałek, szczerząc w olśniewającym uśmiechu równiutkie zęby.

- Smakuje? - zapytał mnie.



Odpowiedziałem, żeby miał się na baczności, bo inaczej będzie miał gościa na stałe. To trzeba było powiedzieć. Był uroczym gospodarzem, a ja - jak zauważył Dalby - jestem urodzonym gościem.

Tego popołudnia, gdy słońce znalazło się w apogeum, siedzieliśmy z Ademem, rozmawiając i popijając w cieniu drzew. To znaczy Adem mówił, a ja piłem. Opowiedział mi o wuju, który jedną ręką uzbrojoną we włócznię zabił w 1928 roku lwa.

- Wyzwanie. Wyszedł do lwa, czując wezwanie. W prawej ręce miał włócznię. - Adem uniósł prawą rękę z zaciśniętą pięścią. - Ta ręka - podniósł lewą - jest skrepowana bandażem, by strzegła. - Adem zademonstrował, jak to się robi. - Gdy zabił lwa, wuja zaczęli nazywać "Hamid-zabójca lwa". Nigdy potem już nie pracować.

- Nigdy już potem nie pracował?

- Nigdy. Człowiek, który zabija lwa, każdy daje mu pieniądze i jedzenie, wszystko. Nigdy już nie pracować.

- Chciałbym zobaczyć taką atrakcję - powiedziałem. - Czy teraz są tu gdzieś lwy?

- Tu nie. Może na północy, wiele razy idę. Mnóstwo zwierzęta. Mnóstwo gazela, mnóstwo lampart, koziorożec... niedźwiedź. Ale w każdy rok ich bardziej mało. Wiele ludzi polować.

- Jak pański wuj Hamid.

Adem spowaźniał, a potem wybuchnął śmiechem.

- Nie jak on. Ludzie z karabinami. Ja nie lubię tego.

- Jeździ pan na północ polować? - Teraz ja tego nie lubię.

- Nie polować. Jadę patrzeć. Stoję bardzo spokojnie, bardzo, bardzo spokojnie blisko wody i patrzę, kiedy przychodzi.

- Nie fotografuje pan zwierząt?

- Nie, patrzę. To jest dla mnie, a nie do fotografowania. Tylko dla mnie i dla zwierząt.

Wyobraziłem sobie Adema całą noc tkwiącego nieruchomo w ponurym terenie, obserwującego okolice i wdychającego nocne powietrze, i nigdy nie zabierającego ze sobą taśmy ani kuli. Opowiedziałem mu o bohaterach Ksenofonta, którzy łowili ostrygi i polowali na dzikie osły. Podobała mu się ta część opowieści, ale nie mógł sobie wyobrazić dłuższego odcinka czasu niż dwa pokolenia. Dla Adema Ksenofont był współczesny A W. Kinglake'owi.\*

\*[ / Alexander William Kinglake (1809 -1891), angielski podróżnik i historyk (przyp. tłumacza).]

Adem opowiedział mi o próbach chronienia dzikich zwierząt na północy i o pieniądzech, które były niezbędne na ten cel. Kiedy wspomniałem o tym Dalby'emu,

zauważył, że starzec nie mógł mieć dostępu do gotówki, ale jestem wystarczająco prostoduszny, by raczej wierzyć Ademowi.

Gdy tylko słońce oświetliło wyższe partie krajobrazu, na niskich drzewach cytrynowych zaczęły koncertować ptaki. Z wnętrza domu dochodziło trzaskanie dopiero co podpalonego drewna, zapowiadające czas wieczery.

Na totemiczne żerdzie nadziewano jagnię, oberżynę, cebulę i zielony pieprz, wszystko suszone i przygotowane na olbrzymim, otwartym palenisku. Gdy Adem skończył opowiadać, gdzieś we wnętrzu domu mrok przeszły płynące z radia dźwięki.

Połykujące przejaśnienie wśród chmur odsłania drugą fazę Jowisza. Wydawało się, że wszystko, co żyje na rozległych przestrzeniach pustyni, wsłuchuje się w niepokojący, lodowaty dźwięk. Przez te kilka minut, gdy radio dostroiło się do minorowych tonów, uchwyciło rytm i synkopę, na tym okrutnym, martwym i odludnym kawałku ziemi byłem tylko ja, Adem i Mozart.

Już od trzech dni byliśmy u starego człowieka gór, kiedy pojawił się z Bejrutu John z ogromnym aparatem radiowym. Zajął mu to prawie trzy godziny, ale w końcu skontaktował się z niszczycielem Królewskiej Marynarki Wojennej, który w ramach operacji NATO pływał przy linii brzegowej Libanu.

Simon Painter, wojskowy znachor, z rzadka wychodził z pokoju na górze. Ale kiedy ustalili czas spotkania z niszczycielem, Painter zdecydował, że jeniec zje z nami obiad. Kruk. Ten jeniec miał trafnie dobrany pseudonim. Był nawet chudszy i słabszy, niż przed dwoma dniami, kiedy Dalby wytaszczył go z pontiaca. Biała koszula lekko mu się przybrudziła, w workowatych spodniach w różowe pasy i ciemnej lnianej marynarce wyglądał jak szef salonu gier w bingo. Głęboko osadzone gałki oczne poruszały mu się nerwowo i zauważyłem, że ciągle spogląda na Paintera. Kiedy doszli do podstawy schodów, nasz gość się zatrzymał. Wyglądało na to, że wyczuł nasze zaciekawienie i zainteresowanie rolą, jaką odgrywał. Przerwaliśmy rozmowę i słychać było z góry jedynie radio nastawione na "Głos Araba"; ten polifoniczny dysonans stanowił niesamowite tło osobliwej sceny.

- Dobry wieczór panom - powiedział bezbarwnym głosem. - Dobry wieczór i dziękuję.  
- Przeszedł jak reklama whisky. Ojcowski Dalby zbliżył się do niego i poprowadził jak gościa do stołu. - Bardzo miło, Dałby, bardzo miło.

Podczas całego obiadu mówiono głównie o pogodzie, ogrodnictwie i koniach, przede wszystkim o koniach, i stary Adem szybko ulotnił się na górę posłuchać prognozy pogody.

Płynąc w gęstniejącym mroku wzdłuż brzegu, niszczyciel zdąży akurat na czas; kontakt wizualny nie będzie najłatwiejszy, ale z zapasem paliwa na ponad trzysta mil helikopter dysponował bezpiecznym marginesem na poszukiwania.

Siedzieli w wielkiej, pleksiglasowej kopule maszyny SE-3130 Alouette 2 jak oczekujące na karmę rybki. Simon Painter usiadł obok azoicznego Kruka na składanym fotelu. Dalby zajął z przodu po lewej stronie siedzenie obserwatora, ponieważ wysłuchał kilku ostatnich słów Adema o obsłudze sprzętu nawigacyjnego. Ademowi spoważniała twarz, gdy dotknął palcami kontroli przechyłu; niepokoił się, jak posadzi "Alouette" na prowizorycznej platformie, która nie będzie o wiele większa od armatniej wieżyczki, z której startuje. Na karoserii przeczytałem napis "Uwaga, wirniki!" i numer seryjny, a we wnętrzu kabiny plastikową tabliczkę z instrukcją przeciwpożarową. Zastartował silnik, litery zaczęły drżeć. Jak po strzale na Trafalgar Square, rozległ się dźwięk bijących powietrze tysiąca skrzydeł, wypełniający hałasem całą dolinę. Ożył silnik o mocy czterystu koni, długie łopaty wirników nad moją głową cięły welon nocy. W okularach Adema plamkami żółtych światełek odbijały się przyrządy kontroli lotu, a nasz znakomity gość impertynencko machał osłabioną ręką z istic królewskim fasonem. "Żegnaj, kłopotliwy Kruku" - pomyślałem.

Adem pociągnął lewą ręką drążek i łagodnie przesunął dźwignię przepustnicy. Reagując na pociągnięcie drążka, zaczęły się obracać ogromne wirniki, wtlaczając nam w uszy ciężkie powietrze wieczoru. Powoli, z wysiłkiem, maszyna zaczęła się wznosić stopa po stopie w niebo. Dotknięcie steru spychało wirnik na ogonie w bok, zarysowując na tle gęstniejącego mroku całą sylwetkę. Z prędkością stu mil na godzinę lecieli tuż na ziemię w stronę morza. Kawalerzysta Adem w znakomitym stylu przeskoczył wysokie cedrowe drzewo.

Wracając do domu, postanowiłem spróbować DITHYRAMBE z końcowym E. To by dawało dziesięć pionowo EAT, a nie SAT czy OAT. Teraz rzeczywiście miałem rozwiązanie.

## 8

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego). Miej otwartą głowę. Lepiej poznasz starego przyjaciela. Unikaj służbowych zebrań i skoncentruj się na finansach. Przede wszystkim, nie podejmuj pochopnych decyzji).

Kwiecień w Londynie jest potworny. We wtorek pojechałem do Sheffield, żeby się tam spotkać z kilkoma naszymi ludźmi. Spotkanie trwało długo, ale niewiele ustaliliśmy na temat korelacji naszych systemów dokumentacyjnych; dali nam do dyspozycji swój personel, który odbierze telefony i depezę. We czwartek odrabiałem właśnie zaległości w pracy i

przeglądałem nowe meldunki o "operacji Sójka", gdy wszedł Dalby. Nie widzieliśmy się od czasu jego helikopterowej wycieczki. Był ogorzały i przystojny, miał na sobie szary garnitur, białą koszulę i krawat z St. Paul, co stanowiło część jego ekwipunku, gdy miał do czynienia z osobistymi sekretarkami ministrów obrony. Zapytał mnie, jak leci. Pytanie było czysto retoryczne, ale odpowiedziałem, że nie otrzymuję pensji od dwóch miesięcy, dodatku od trzech, i że nie jest jeszcze załatwiona formalnie sprawa mojego nowego zaszeregowania, a mój wniosek o wypłacenie 35 funtów dodatku za wyjazd zagraniczny leży od dziesięciu miesięcy.

- W porządku. Za to biorę pana na lunch.

Dalby nie liczył się z wydatkami. Weszliśmy do Wilsona i zabraliśmy się do najlepszych dań. Mrożony melon z Izraela był słodki, miękki i zimny. Przysmakami naszej pieczeniarskiej społeczności rozkoszowali się pomarszczeni producenci stali, bezpodbródkowi faceci od reklamy i kretynowaci debiutanci z wujkami mającymi powiązania z Eton. Była to sympatyczna odmiana w porównaniu z barem przy Charlotte Street, gdzie w porze lunchu "robiłem" tłum z dwoma doktorami filozofii, trzema fizykami i jednym lekarzem, stając w kolejce po grzanki z bekonem i filiżankę lury, która przypominała kawę jedynie ceną.

Przy homarze Dalby spytał mnie, jak się przedstawia stan prac nad Sójką. Powiedziałem, że wszystko idzie wspaniale i mam nadzieję, że ktoś pewnego dnia powie mi, co właściwie robię. Pamiętałbym ten czwartek tylko dzięki wyśmienitej sałatce z homara i doskonałemu majonezowi, gdyby nie to, co mi potem wyznał Dalby. Dolał mi trochę szampana i, wkładając butelkę do wiaderka z lodem, powiedział:

- Pracuje pan, dysponując tymi samymi informacjami, co ja. I, jeśli się nie mylę, z przeciwstawnych punktów dochodzimy do identycznych wniosków. - Potem zmienił temat.

A jednak moje narzekania, że pracuję w ciemno, dały pewien efekt, bo w piątek zaczęli mi nadsyłać jasne informacje. W piątek rano dostałem rachunek za elektryczność na ponad dwadzieścia funtów i niewyraźnie zadrukowany formularz, który mówił, że wbrew takiemu to a takiemu paragrafowi ustawy wojskowej przetrzymuję w.w. przedmiot stanowiący własność Departamentu Obrony. Należy go zwrócić do pokoju służb wywiadu - Ministerstwo Obrony, Londyn. Słowo "zwrócić" zostało przekreślone i napisano "doręczyć osobiście"; na górze nabazgrano: "broń przyboczna. Colt. 45 pistolet". Zakończenie brzmiało: "W odpowiednim czasie poinformujemy o dalszych krokach". Delikatnie wrzuciłem to do kosza na śmieci i nałamałem sobie solidny kubek kawy Blue Mountain. Stałem w ten chłodny, kwietniowy poranek, trzymając w obu rękach gorący kubek i bezmyślnie przypatrując się

kominom, kalekom i garbusom, błyszczącym dachom i pączkującym drzewom na podwórkach, kwitnącym prześcieradłom i koszulom. Przez chwilę rozkoszowałem się jeszcze myślą o nasunięciu na nie przebudzone ciało ciepłej kołdry. Potem niechętnie wziąłem prysznic.

Około jedenastej weszła do mojego pokoju Alice z ozdobionym różą, wyszczerbionym kubkiem neski, spojrzeniem bazyliuszka i nową, zieloną kartoteką. Przekazała mi to wszystko, zabrała wieczne pióro, które pożyczyłem tydzień temu, i wymaszerowała. Odłożyłem łańcuszek spinaczy i zacząłem przeglądać kartotekę. Była ostemplowana biurową pieczęcią, spory napis 14143/C na okładce wykonano flamastrem. Jeszcze jedno dossier faceta, którego nazwaliśmy Sójką: maszynopis na jasnozielonym papierze. Nigdy jeszcze nie widziałem zielonych dokumentów, ale te były bardziej utajnione niż zwykłe, białe. Czytałem o jego karierze uniwersyteckiej, specjalizacji z psychologii Junga (przerwanej po dwóch latach) i nieudanej próbie zajęcia się drzewnym biznesem. Tak wyglądał zarys kariery Sójki do czerwca 1942 roku, później były luki w opowieści, przeczytałem jedynie, że Sójka, wówczas Krystian Stakowski, został zwerbowany do stacjonującego w Londynie wywiadu Polskich Sił Zbrojnych. Brał udział w dwóch ryzykownych wyprawach na południe Polski, skąd zadrugim razem nie udało mu się złapać kontaktu. Następnie wychynął z niebytu, kiedy pojawił się w Kairze, i za współpracę z Polskim Wojskiem otrzymał w grudniu 1942 Virtuti Militari. W tym czasie łańcuch komórek, z którymi współpracował w Polsce, został zdziesiątkowany, i foto-stat w kartotece wykazywał, że polski kontrwywiad podejrzewał go o zawarcie jakiejś transakcji z Niemcami. Inny list, z maja 1943, zwracał uwagę na zasadność tego podejrzewania, podkreślając, iż aresztowań w jego komórkach dokonywał ten sam wydział niemieckich służb śledczych.

Polskie podziemie składało się z różnych politycznych orientacji, a Sójka znalazł się w Narodowych Siłach Zbrojnych (skrajnie prawicowa grupa) i prawdopodobnie nawiązał kontakt z Abwehrą. Postępując w ten sposób, był uważany przez skomunizowaną Armię Ludową za bohatera osłabiającego siły faszystów. Trudna potrójna krzyżówka!

Później jest luka, a we wrześniu 1945 roku Stakowski z papierami polskiego sierżanta WOWC - Rady Wojennej Ministerstwa Obrony jest znów przetrzucony do Polski wśród żołnierzy powracających z niemieckich obozów. W Warszawie otrzymuje podrzędne stanowisko przy komunistycznym rządzie i wysyła raporty do wydziału Wywiadu, finansowanego przez Ministerstwo Handlu! Raporty dotyczą szpiegostwa przemysłowego, a zwłaszcza wypłacania Rosji niemieckich reparacji. W roku 1947 przestaje wysyłać raporty i notatka mówi, że prawdopodobnie pracuje dla amerykańskiej CIA CIA rekrutuje wówczas w

Europie sporo agentów na ośmioletnie kontrakty. Ludzie ci po ośmiu latach służby otrzymywali skromne emerytury, byli przetrzucani do Stanów Zjednoczonych i tam hodowali sobie kwiatki. W skłaniającej się ku Stanom Europie 1947 roku było to przyjęte entuzjastycznie, chociaż już od 1955 nie ma zapisków o wypłatach. W roku 1950 sierżant WOWC bez większego poparcia rządu, dziesiąty sekretarz w biurze handlu drewnem, pod pretekstem, że jest inwigilowany, odlatuje do Anglii z paszportem, który wyłudził dzięki swej pracy. W Anglii przenika do prawicowo zorientowanej polskiej społeczności tak szczęśliwie, jak do komunistycznych kręgów w Polsce. Kartotekę zamyka notatka o dwudziestu podsłuchanych telefonach amerykańskiej ambasady do Sójki, dotyczących głównie działalności londyńskich banków handlowych. Ambasada szczególnie interesowała się finansami Wspólnego Rynku. Popijając kawę, doszedłem do najbardziej pasjonujących informacji. Ostatnia pozycja, na listowym papierze, była ozdobiona dyskretnym herbem. Zaadresowano ją do Połączonych Służb Informacyjnych Izby Rozrachunkowej (C - SICH), które gromadzą dostępne w Wielkiej Brytanii informacje i rozdzielają na odpowiednie branże. Wiele dużych firm handlowych, dysponujących zespołami szpiegostwa przemysłowego, przedstawia C-SICH miesięczne raporty. W jednym z nich, tutaj przytoczonym, jest mowa o tym, że WOWC ani Sójka nie otrzymywali stałych sum od sowieckiego rządu. Dochody Sójki są "bardzo duże, ale pochodzą z rozmaitych źródeł i nie wpływają w regularnych sumach".

Alice wyczuła telepatycznie, że kończę czytać i weszła, wyjmując mi z rąk zamkniętą kartotekę, zaciskając gruczoły łzowe i szybko wygładzając zagięcia na stronach, jednocześnie orlim wzrokiem sprawdzając numerację. Zadowolona wyprostowała suszkę na biurku, poślinionym małym palcem poprawiła brwi i zabrała pusty kubek po kawie. Po wąskim pokoiku chodziła pospiesznie małymi, skrępowanymi krokami.

Chrząknąłem:

- Alice.

Odwróciła się i spojrzała na mnie pustym wzrokiem. Po chwili milczenia podniosła jedną brew. Miała na sobie dopasowany dwuczęściowy kostium z tweedu, trochę mnie onieśmiały jej włosy prosto od pierwszorzędnego fryzjera.

- Przesunęły się pani szwy w pończochach.

Jeśli się spodziewałem, że ją rozwścieczę albo sprawię jej przyjemność, byłem w błędzie. Skinęła z szacunkiem głową, niby chiński mandaryn, i opuściła pokój.

9

O trzeciej wyrwał mnie na spotkanie Dalby. Odbywało się w sali konferencyjnej na dole. W błyszczącym blacie owalnego stołu odbijały się szare okna i padający deszcz.

Odrobinę światła dawał ponury kandelabr z cienkiego, lichego szkła. Dalby stał naprzeciwko małego elektrycznego grzejnika, który wyglądał jak miniaturka przy olbrzymim wiktoriańskim kominku, gdzie leżała miedziana szufelka i pogrzebacz. Nad jego głową wisiał duży portret brodatego mężczyzny tonącego w czerni werniksu powozu. Niewygodne krzesła, i właśnie z tego powodu nie używane, stały wzdłuż tapety w kwiaty na baczność jak domownicy. Olbrzymi zegar na ścianie nad ramą obrazu odmierzał godziny dziennego światła. Tuż przed trzecią wszedł Painter, doktor. Dalby wciąż zasłaniał twarz "Guardianem", a my przesłaliśmy sobie ukłony. Chico już siedział. Nie chciało mi się z nim rozmawiać. Był w paplającym nastroju. - A więc co ze starym Davenportem? Czy pan zna starego "Coca-Colę" Davenporta? - Jeśli się go z miejsca nie zastępuje, będzie mi musiał opowiedzieć, w jaki sposób otrzymał pseudonim. - Musi pan znać "Trzmiela" Tracy'ego, więc...

Nie, Chico, wystarczy już.

Usiadłem w olbrzymim krześle i zachowując urzędową minę zacząłem sobie na chybił trafił przypominać różne daty i co się wówczas wydarzyło. "1200 - piętnaście lat przed Mongołami - zapisałem - koniec łuków romańskich. Cztery lata do czwartej krucjaty. Bitwa pod Hattin oznacza, że Europa jest pokonana na Wschodzie". Wciągnąłem się w to na dobre... "Magna Carta..."

- Nie przeszkadzam? - to był Dalby. Wszyscy już siedzieli w gotowości. Dalby nie znosił mnie, gdy się koncentrowałem. Nazywał to "wchodzeniem w trans". Wreszcie zaczął. Rozejrzałem się wokół. Po prawej siedział Painter, czterdziestolatek z wąską twarzą szczura. Miał na sobie niebieski blezer, białą koszulę z miękkim kołnierzykiem i szkarłatnym krawatem. Przy mankietach matowo połyskiwały spinki z czystego złota, z kieszonki nieśmiało zerkała chusteczka. Miał długie, giętkie ręce, białe bladeścią rąk lekarza, który je za często szoruje.

Naprzeciwko mnie, po drugiej stronie stołu, usadowił się wzór wojskowych cnót. Był subtelny z usposobienia, złote oprawki okularów połyskiwały wśród wypłowiałych od indyjskiego słońca włosów. Nosił tani garnitur i pułkowy krawat. Domyślałem się, że był kapitanem koło pięćdziesiątki lub majorem bez widoków na awans. Przewracał szarymi oczami, strachliwie spoglądając na otoczenie. Olbrzymie, owłosione dłonie położył na leżącej przed nim aktówce, jakby nawet tutaj miał ją ktoś ukraść, zanim ujawni swe niezwykle tajemnice. Kapitan Carswell, bo tak się nazywał, przybył z H.38 z interesującymi danymi statystycznymi, objaśnił Dalby.

Zegar wciąż tykał, dodając do siedemdziesięciu lat swego tykającego żywota sekundę albo coś koło tego.

- Jeśli jest pan w H.38, musi z pewnością znać "Ryżowego" Billingsby'ego - mówił Chico do Carswella, który spoglądał na niego, jakby zaskoczony, że w tym pomieszczeniu natknął się na imbecyla.

- Tak - odpowiedział niespiesznie. W jego głosie pobrzmiewała pewność siebie. - Jest w naszym wydziale generał-major Billingsby.

- Oczywiście, to wujaszek mego serdecznego przyjaciela - zawołał rozpromieniony Chico, co zabrzmiało jakby powiedział "mat" na szachowych mistrzostwach świata w Moskwie.

Carswell zaczął swoją opowieść od oficjałek na temat zbierania materiałów, ale szybko się rozkręcił. Po aferze Burgessa i Macleana jego wydział otrzymał zadanie sporządzania analiz statystycznych w korelacji z rejestrem zaginionych osób prowadzonym w Scotland Yardzie. Carswell poprosił o danie mu możliwości przedstawienia najpierw liczb, potem zajrzenia do wzorów. Później zaczął przeżywać załamania, w każdym razie to mu się przydarzało. Ufał sierżantowi, który z nim pracował, ale myślę, że to właśnie Carswell odnajdował w pracy swego rodzaju harmonijną wolność, sprawdzającą się w czysto abstrakcyjnych kategoriach. Zresztą niezależnie od tego, kto ma być oddarzony zaufaniem, wynikają z tej sytuacji bardzo interesujące wzory. Odkrywając pewne niezwykle właściwości, opuszczali" cyfry dotyczące zaginionych osób" ze względu na jakieś powiązania między najwyższymi rangami służb bezpieczeństwa. Bez wyraźnego celu wstrzelili karty do maszyny sortującej, żeby doszukać się jakiejś wspólnej cechy. Wyjaśnił:

- Jakkolwiek w każdej grupie było niewiele podobieństw z zawodowego czy geograficznego punktu widzenia, krzyżowały się one wewnątrz grup. Na przykład...

Carswell długo nam wyjaśniał, celebrując każdą nudną minutę. Dopiero znacznie później zrozumiałem, jak ważna była praca, którą wykonywał.

Przedstawił swój subtelnie narysowany grafik i mówił o B.1 (pierwszy stopień bezpieczeństwa) - ważni chemicy, fizycy, elektronicy, doradcy polityczni etc. - ludzie niezbędni do kierowania państwem. Carswell zauważył, że skupiska ludzi z B.1 odnajdywano w pewnych rejonach Anglii, które nie były centrami wypoczynkowymi ani konferencyjnymi.

Porwanie kogoś z B.1 (jeśli był cenny) rozumiało się samo przez się. Kruk był ważnym B.1 i Sójka go porwał, by przerzucić Kruka przez granicę, tyle że nie zdążył; ujęliśmy go naszą mikroskopijną jednostką do specjalnych zadań. Ale jak dotąd, nie było już więcej porwań i te skupiska w Brytanii były inne. Nikt z nas niczego nie rozumiał.



(Wodnik (20 stycznia -19 lutego) Jeszcze raz będziesz musiał się wykazać taktem i roztropnością, ale upór i ciężka praca przyniosą w końcu owoce. Stary przyjaciel usunie trudności).

Dalby przydzielił Carswella do pracy ze mną. Zdobyłem małe, prywatne biuro, akurat dla niego i sierżanta Murraya, awans na tymczasowego majora i garnitur, który leżał na nim jak ulał. Zaprowadziłem go do mojego krawca i zdecydowaliśmy, że dyskretny, szarozielony tweed z ciemnobrązową kamizelką nada mu wygląd dziedzica, właściwy dla bezrobotnego oficera. Sierżant Murray wyszedł przymierzyć marynarkę z szarej flaneli. Pilnie pracowali każdego dnia od dziewiątej rano do szóstej po południu, po czym wracali do żon w Fulham i Bromley. Miałem mnóstwo roboty, ale często wpadałem do Carswella. W tej chwili skupiał się na tych z B.1 (tych z B.2 było za dużo, a rozmaitych ministrów gabinetu itp. było zbyt mało, aby wyciągać ostateczne wnioski). Carswell był statystykiem, ale nawet dla niego było oczywiste, że jeśli się nie znajdzie dodatkowych cech wspólnych, skupianie się na tym będzie bez sensu. Carswell i Murray zwracali uwagę na takie wspólne cechy, jak: posiadanie dwóch wozów, długie wakacje, podróże do Ameryki, urlopy w północnej Afryce etc, ale, oczywiście, to wszystko wiązało się z wzorami obowiązującymi w grupie, w której wiek, dochody i wykształcenie były wyraźnie podobne. Inne wzorce zachowań było trudniej wyjaśnić. Wśród skupiających się w jednym miejscu grup było wielu członków politycznych lub quasi-politycznych partii o prawicowych, poza jednym wyjątkiem, celach. Poprosiłem Carswella, żeby na podstawie posiadanych danych sporządził opis owych grup oraz opis B.1.

Niewielu poważniej chorowało w ciągu ostatnich pięciu lat, wielu gorączkowało, żaden z członków grupy nie był mańkutom, bardzo wielu było kawalerami, jeszcze liczniejsi mieli odznaczenia za zasługi. Absolwenci szkół publicznych i rozwiedzeni rodzice utrzymywali się w średniej. Zapisałem to wszystko na arkuszu o wymiarach dziesięć na osiem cali i przypiąłem sobie nad biurkiem. Kiedy się temu przyglądałem, wszedł Dalby. Ostatnio wruszał parasolem ze srebrnym pokryciem. Poszedł na starą taktykę dyskusji, wywijając kartką papieru zapisaną moim pismem.

- Popatrz pan, niech mnie diabli, jeśli to przepuszczę. Niech mnie diabli, jeśli to zrobię. - Dalby odsunął zjedzone w połowie jajko i zapiekankę z sardynką, specjalność delikatesów Wylly'ego przy Charlotte Street. Potem przedstawił tomy "Britannica" SARS przed SORS i Barnes'a "Historię Pułków", zamienił miejscami Leicę 3, butelkę czterochlorku węgla i wreszcie mógł usiąść na biurku. Zaczął mi machać przed nosem kartką papieru i przeklinać.

- Osiem popelinowych koszul, białych, dla sierżanta Murraya; dwa tuziny irlandzkich chustek dla majora Carswella; cztery pary skórzanych, ręcznie szytych butów z uwzględnieniem kosztu kopyta szewskiego. Koszt kopyta - powtórzył Dalby. - Co to ma znaczyć?

- Kopyto - powiedziałem. - No wie pan, to jest to, czym łątach starego obuwia rzuca w żonę.

Dalby dalej czytał moje rozliczenie z miesięcznych wydatków.

- Następnie pozycja: "na rozrywki, drinki i obiad w restauracji "Mirabelle" - dwadzieścia trzy funty". Co to jest? Pan z Chico, Carswellem i Murrayem - przerwali zaczął wymawiać słowa powoli i z niedowierzaniem - w restauracji "Mirabelle"? Załóżmy, że możesz pan wydawać miesięcznie 103 funty. A tutaj dochodzi do 191 funtów i 19 szylingów. Jak to jest?

Wyglądało na to, że czeka na odpowiedź.

- Trzymam kilka pozycji do następnego miesiąca - powiedziałem.

Uderzyło to w niego jak grom. Dalby przestał żartować i wyglądał na rzeczywiście zirytowanego, pocierając nerwowo policzek i wymachując moim rozliczeniem tak, że robiło to sporo hałasu.

- Ross mówił, że jesteś pan impertynentem. Wkrótce będziesz pan impertynentem, ale nie tutaj. Zobaczysz pan. - Nagle minęła mu wściekłość, ale było mu wstyd tak to zostawić.

- W tych wszystkich "drogich ubraniach" - zapytałem płaczliwie - mamy jadać w barze "Wimpy"? - Dalby zwinął rękę w pięść, nawet nie wiedząc, co to jest "Wimpy"; nie mógł znieść myśli, że jakiś sierżant ociera się, tak jak on, o kelnerów w "Mirabelle".

Właśnie dlatego to robiłem i dlatego to wszystko wyszczególniałem w niedwuznaczny sposób. W tej fazie Dalby wykonał słynny manewr wojenny zwany "Ministerstwo Wojny, tempo dwa" zazwyczaj stosowany, by wycofać się w stanie nienaruszonym, gdy się przegrywa. Zaczął wyjaśniać, że nie było potrzeby kupowania rzeczy Carswellowi i Murrayowi na mój koszt. Carswell mógł to zrobić na własny rachunek. Nie zależało mi na tym, by Murray miał własny fundusz na wydatki, ale chciałem się przekonać, czy będę mógł skłonić Dalby'ego, by mu go przydzielił.

- Księgowość nigdy w życiu nie pozwoli dać tego sierżantowi pracującemu w zastępczej służbie mniej niż dwa lata.

Nie ustępowałem.

- Pan wie, o co robią najwięcej szumu. Nie, mógłby się pan wycofać i pozwolić korzystać mu z podręcznej kasy Carswella, bo to, co oni mówią, dotyczy wykazów pieniężnych.

Dalby usiadł z sardonicznym uśmiechem.

- Kiedy już z sobie tylko znanego powodu skończy pan dawać sierżantowi Murrayowi formularz wydatków, proszę dać sobie powiedzieć, że dokładnie rozpatrzyłem sprawę i obaj będą mieli jeden. - Dalby odchylił się do tyłu i położył zamszowe buty na oparciu jedyne go wygodnego krzesła w biurze. Podniósł ze starego pudła dwie książki, które od dawna chciałem wymienić. Czytał na głos tytuły na grzbietach: - "Eksperymentalne wprowadzenie do psychoneuroz osobowości" Lidella tom 1, i Shorvona "Abreactions".

- Widziałem je dziś rano na waszym biurku, ale nie sądzę, by mogły nas przybliżyć do Sójki. Już wiem, że jest pan lekko zrażony do pracy, dysponując tym, co uważa pan za niewystarczające informacje, ale to załatwimy. - Zamilkł na dłużej, jakby sam się przekonywał do tego, co miał powiedzieć. - Przekazuję panu ten wydział - powiedział w końcu. - Proszę się nie denerwować, to potrwa niecałe trzy miesiące, a jeśli będę miał szczęście, jeszcze krócej. Jest pan tępawy i nie ma klasycznego wykształcenia. - Dalby żartował ze mnie w wyszukany sposób. - Ale jestem przekonany, że przezwycięży pan własne wady.

- Dlaczego pan tak myśli? Nigdy przecież nie przezwyciężył pan własnych zalet.

Wszystko przebiegało zgodnie z wzorcami naszych sondujących rozmów. Doszliśmy do naszej sprawy. Uroczystość przekazania składała się z zademonstrowania mi przez Dalby'ego i Alice, jak pracuje IBM. Odniosłem wrażenie, że usunięto z niej trochę informacji, ale być może to tylko moja paranoja. Zapytałem go przede wszystkim o Sójkę.

- Wszystko jest w dokumentach. Niech pan je przeczyta - odparł Dalby.

- Wolałbym to usłyszeć od pana i polegać na pańskim sposobie myślenia. - Naprawdę chciałem uniknąć czytania tych cholernych papierzysek.

- A jednak niech pan je przeczyta - upierał się. Chyba nie było innego wyjścia.

Zresztą Dalby naszkicował mi całą sprawę.

- Gdy Sójka osiadł w latach pięćdziesiątych w Londynie, zajmował się drobnym szpiegostwem dla Amerykanów. W istocie nie chcieliśmy go, pracując nad sprawami ekonomiki i przemysłu. To nie była nasza decyzja. Miał swoje biuro przy Praed Street i sprawiał się dobrze, odrabiając na boku lekcje dla Jankesów. Po raz pierwszy zwrócił naszą uwagę, gdy wyskoczyła sprawa Burgessa i Macleana. Otrzymaliśmy memorandum, że nie

musimy go w to wciągać. Wcale nie mieliśmy takiego zamiaru, ale zaczęło to nas zastanawiać.

- Kto przysłał memorandum? - przerwałem mu.

- Nie było napisane ani nagrane. Zresztą wtedy nie kierowałem sprawą. Jeśli pan je znajdzie, proszę mnie zawiadomić. To jedna z nie rozwiązanych zagadek. Ale miał przyjaciół na górze.

Był tylko jeden szczebel, który Dalby nazywał "górami".

- Rząd? - zapytałem.

- Gabinet - odparł Dalby. - Ale proszę się na mnie nie powoływać, nie mamy w ogóle dowodów, ani jednej rzeczy, która by go od 1950 roku łączyła z jakimikolwiek nielegalnymi interesami. Sprawdziliśmy posunięcia Sójki w trakcie działań Burgessa i Macleana. Istniała między nimi wyraźna korelacja. Kiedy Maclean był kierownikiem kancelarii naszej ambasady w Kairze, Sójka odwiedzał Kair dwa razy. I, chociaż nie ma śladu jego wizyt czy telefonów do Tatsfield, gdzie mieszkał Maclean, ich drogi się krzyżowały. 25 maja 1951 roku Maclean pojechał z Burgessem do Southampton wynajętym samochodem. O dwunastej odpłynął statek pocztowy "Falaise" z Burgessem, Macleanem i Sójką na pokładzie. Jego trasa prowadziła do St. Mało i na Wyspy Normandzkie. Z tych trzech osób jedynie Sójka wrócił do Europy.

Znacznie później przysły dwa czeki po tysiąc funtów, oba na nazwisko teściowej Macleana i wystawione na Swiss Bank Corporation oraz Union Bank of Switzerland, a po nich nadszedł przekaz innego banku, tym razem na dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Był wystawiony na Swiss Bank Corporation, a sumę wpłacono w Londyńskim S. Hellenie Bank na konto Mr. Aristo. Trudno mi powiedzieć, czy Mr. Aristo to Sójka ani czy otrzymanie dwudziestu pięciu tysięcy funtów jest nielegalne. Myślę, że Sójka - zgodnie z tym, co mówi wizytówka - pracuje w imporcie-eksporcie, ale w końcu doszedł do wniosku, że najbardziej pożądanym towarem jest dziś informacja.

- I najbardziej cennym?

- Tak, myślę tak samo, ale proszę mi tego nie mówić na tym etapie gry.

- Czy ten Kruk, którego schwytyliśmy w Baalbek, był częścią owego widowiska?

- Był biochemikiem, specjalizującym się w wykorzystywaniu chemii dla celów militarnych i pracował w placówce badawczej w Porton. Ale wzięli niewielu ludzi. Oczywiście, wydział prasowy trzymał wszystkie nazwiska w tajemnicy. Nie mamy następnej afery Burgessa i Macleana, nie ma pytań w parlamencie i tych wszystkich rzeczy.

- Czy nie myśli pan, że Sójka jest wciągnięty na listę naszego Carswella?

- Nie. Myślę, że chociaż Sójka wyciąga sporo pieniędzy z operacji B. i M., to jest na tyle sprytny, by zdawać sobie sprawę, że nie jest za bardzo bezpiecznie to kontynuować. Pewnie od czasu do czasu, kiedy cholernie potrzebuje forsy, porywa jednego B.I, ale z całą pewnością nie robi tego na taką skalę, jak utrzymuje Carswell. Musi załatwiać wagony i reklamy w "Observerze". Carswella wyłączyłbym z kalkulacji, dopóki nie zacznie gromadzić czegoś bardziej konkretnego. Będzie pan wyglądał na pajaca, mówiąc do podsekretarza o... - Odwrócił się do wykazu, który przypiąłem na ścianie za nim - praworęcznych członków grupy z gorączką.

Odsunął się od biurka i, zginając kolana, szybko wsunął rękę pod blat biurka. Wyłączył miniaturowy magnetofon, który uprzednio włączyłem. Podeszedł do drzwi i wrócił.

- Jeszcze jeden drobiazg: funkcjonariuszu tajnej służby, staraj się i daj się ostrzyć, kiedy mnie tu nie będzie, a ja już z pewnością zadbam o pańskie zaległe pobory!

Słyszałem, jak ciężko stąpał po tylnych schodach i wrzeszczał do Chico, żeby mu przygotował film, który chciał koniecznie zobaczyć przed wyjściem. Zgarnąłem swoje książki, aparaty fotograficzne, cukier i przeniosłem się do gabinetu Dalby'ego.

Był to z pewnością najjaśniejszy pokój w całym budynku i jeśli się nie stało zbyt daleko od okna, można było bez trudu czytać gazetę. Gazet było mnóstwo. I wszystkie miały brunatny, godny szacunku wygląd. Na ścianach wisiało kilka oprawionych sztychów, które przedstawiały siedzących na koniach żołnierzy w czerwonych bluzach i czapkach. Pod oknem stała ostatnia zabawka Dalby'ego, szara i płaska maszyna IBM.

Dalby miał młodzieńcze ambicje, był człowiekiem przedsiębiorczym i agresywnym, w ogóle jednym z najlepszych przełożonych, jakich miałem. Ale nikt absolutnie nie mógł go podejrzewać o jakikolwiek oryginalny pomysł. Jeśli jednak jakiś dostrzeżał i akceptował, potrafił go doskonale spożytkować, i, co więcej, przyznawał wszystkie zasługi pomysłodawcy. Ale, prawdę mówiąc, rzadko odczuwał potrzebę świeżych pomysłów. Maszyna IBM była tytułem do sławy WOOC/P/, ponieważ umożliwiała nam dokumentowanie każdej informacji, czego, bez tego urządzenia właściwie zaprogramowanego, nikt nie potrafił zrobić. I tak, na przykład, nic ci nie mówi wykaz trzystu nazwisk lub trzystu domów, tyluż nazw ulic czy miast, nic także nie znaczy sterta fotografii. Wkładasz do maszyny, i nagle każda fotografia ma adres. Jeszcze raz do maszyny i wyskakuje trzydzieści kart. I tylko Dalby wie, czy ta trzydziestka to pistoletowe strzały mańkuta, młodzi konserwatyści, czy biegli w chińszczyźnie murarze. Dalby lubił ją, bo była szybka, bardziej wydajna niż człowiek i czyniła go jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Anglii.

W niedzielę około dziesiątej trzydzieści poszedłem do biura. Zwykle w niedzielę tam nie bywałem, ale potrzebna mi była książka, która leżała w pokoju Informacji. Do gabinetu Dalby'ego dotarłem po dziesiątej trzydzieści. Niedzielne gazety leżały na stercie sobotnich, z IBM zdjęto pokrowiec. Dostyszałem, jak Alice krząta się przy parzeniu kawy. Zasiadłem za wypolerowanym do połysku biurkiem, którego gładki, jasnobrązowy blat miał zmysłowy kolor plaży w Nicei, gdy, sami rozumiecie, zapełniają ją dziewczyny. Inkrustowany przez starych angielskich mistrzów blat był wyposażony w cztery metalowe przełączniki i lampki w kolorach niebieskim, zielonym, czerwonym i białym. Niebieski przełącznik uruchamiał nagrywanie na taśmie każdej rozmowy w budynku. Zielony włączał taśmę z nagraniem. Biały włączał nagrywanie każdego telefonu pod nieobecność Dalby'ego, by go mógł następnego dnia sobie odtworzyć. Czerwony uruchamiał wszystkie telefony w budynku jednocześnie, ale nikt nie pamiętał, by był kiedykolwiek używany, z jednym wyjątkiem, gdy Dalby wrzeszczał o atrament.

Gdy podniosłem głowę, w drzwiach stała Alice, trzymając dwie filiżanki z wymalowanymi wierzbami. Była w kostiumie w kwiaty, ulubionym przydzwiewku pani Chruszczow, mocnych nylonach i pantoflach z paskami. Dziś jej włosy były prawie kobiece, co jednak nie łagodziło cierpkiego wyrazu bladej twarzy o regularnych rysach.

- Kawa - burknęła.

Nie sprzeczałem się z nią, ale mieszanina mleka, ciepłej wody i sproszkowanej kawy przypominała coś, co wypływa z kaloryfera.

- To miło z pani strony, Alice. Naprawdę nie musi pani pracować w niedzielę, co?

Twarz wykrzywiła się jej w uśmiechu.

- W niedzielę jest spokojniej, sir, wydaje się, że można więcej zrobić. - Postawiła filiżanki i rozejrzała się po pokoju.

Był znów nie posprzątany, więc coś wymamrotała, ułożyła stertę gazet, wzięła z krzesła mój płaszcz i powiesiła za drzwiami.

- Teraz już daję pan sobie radę z maszyną? - zapytała.

- Jako tako. Ale jeszcze paru rzeczy nie rozumiem. Na przykład wybieraka fotografii.

- Podąłem jej paczkę zdjęć z paskiem perforowanego papieru wzdłuż jednego boku. Alice wzięła pakunek nie patrząc nań i nasze spojrzenia spotkały się.

- Pan jest zbyt uczciwy do tej roboty. Lepiej przekonać się, komu może pan zaufać, nim będzie za późno. - Nie odzywałem się, więc dodała: - Pójdę po okulary i zobaczę, czy nie da się uruchomić tego wybieraka zdjęć.

Stara Alice dojrzewiała. Nawet się zastanawiałem, czy mogę ją poprosić o zaszywanie spodni, które sobie podarłem w Barbarossa Club.

Carswell strawił prawie cały tydzień nad jednym B.I, który przeżył włamanie do domu, mające szpiegowski cel. Bardzo się zainteresował wzorami i chciał, żeby Murray pomógł mu to zebrać do kupy. Murray niechętnie zostawiał swoich "naradowniców", ale teraz cały czas odkrywali mniejsze skupiska grup. To, co wyglądało najbardziej tajemniczo, kiedy się uwzględniło jeden wysoki wskaźnik rocznie, teraz było falistą linią zmieniających się wysokości. Trzeba było ustalić kiedy to, co jest ponad średnią, staje się anormalne. Jak Carswell bardzo niechętnie wyznał, są takie obszary, na których w określonym czasie wskaźnik występowania B.I jest nienormalnie niski. Naszkicował ich granice, zaznaczając obszary różnymi odcieniami zieleni, stosownie do procent poniżej średniej. Te obszary nazwano ewakuacjami, a jednostki B.I czasowo przebywające gdzie indziej - "ewakami". Nie jestem statystykiem, ale to wszystko było dla mnie kompletną głupotą. Carswell nie należał do tych, którym można było podstawić nogę, ale był jedyną osobą w budynku, od której mogłem przejąć ideę "ewaków" i nie sparzyć się na tym.

Przy starym współpracowało nam się całkiem nieźle. Nie byłem jednak pewny, czy zgodnie z wojskową tradycją nie spróbuje zaszyć się gdzieś w kącie. Bokiem zaczęły mi też wychodzić jego stwierdzenia o włamaniach do domów i zacząłem podejrzewać, że ci dwaj robią ze mnie balona. Myślę, iż Carswell zauważył, że mam tego dosyć. We wtorek zaprosiłem Carswella na drinka w biurze.

Wyglądał na nieco przygnębionego. Szybko wypił trzy piwa i potem zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie w Indiach. Ojciec nalegał, by poszedł do pułku. Polo, zakłuwanie świń, karne wyprawy przeciwko szczepom, które lubiły walkę tak samo jak młodzi angielscy arystokraci, słońce, jazdy konno w pagórkowatym terenie, drinki i obiady w kasynie, oficerowie rozbijający kasyno. Wszystkie te fakty były wzięte z życia ojca, a po jego śmierci Carswell natychmiast poprosił o przeniesienie do innej jednostki. Wybrał jednostkę zupełnie inną od tej, o której myślał ojciec: Biuro Statystyczne Indyjskiej Armii w Kalkucie. W pracy nie wykazywał zaangażowania ani zdolności. Traktował ją jako cichy bunt przeciwko dotychczasowemu trybowi życia.

- Przez prawie dwa lata praca była zwykłą harówką; zwłaszcza elementarne kalkulacje umysłu tak biernego jak mój były powolne i nudne. Ale szybko przyzwyczałem się do nudy, pojmując, iż ta część mej pracy jest tak sama istotna jak pauzy w symfonii.

Opowiadał mi to wszystko, nie popadając w mazgajstwo. Carswell musiał być jedynym oficerem w brytyjskiej armii, który odrzucił patent oficerski w doborowym pułku

kawalerii i podjął ponurą biurową pracę, w której wytrwał do sześćdziesiątki, dochrapał się stopnia kapitana, z małą nadzieją na awans. Myślę, że jeśli chodzi o godziny pracy, obaj przesadziliśmy. Postanowiliśmy iść do domu. Przez okno dostrzegłem delikatesy zatłoczone ludźmi w mokrych płaszczach. Zadzwoiłem do Murraya z pytaniem, czy nie chciałby wyjść na drinka. Zanim odłożyłem słuchawkę zadzwonił ten czerwony, specjalny. Telefonistka powiedziała ze szkockim akcentem:

- Łączę z archiwum kryminalnym. Błyskawiczna. Włączyłem zielonym przełącznikiem aparat nagrywający. Po chwili usłyszałem, jak telefonistka mówi, że już jest połączenie. Odezwał się wysoki falset, z którym mówiłem przedtem:

- Halo! Tu archiwum kryminalne Scotland Yardu. Mówi oficer łącznikowy, kapitan Keightley.

- Tak, Keightley? - i już byłem pewny, że wieczór z książką przy kominku oddalił się nieodwołalnie.

## 11

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego) Nie dziw się, jeśli podróże do domów różnych ludzi wywołują rozmaite plotki, ponieważ odkryjesz także nową przyjaźń).

- Odebraliśmy telefon z posterunku w Shoreditch, sir. Rzeczywiście, strasznie dziwna sprawa. - Wszystkie "r" Keightley wymawiał jak "w". - Mają tam faceta. Wypadek drogowy. Myślę, że jego wóz skrobnęła o znak drogowy.

- Tak - powiedziałem. - A więc?

- No więc, konstabl poprosił go o prawo jazdy i tak dalej...

- Keightley, proszę do rzeczy.

- No więc ten facet w wozie. Nie mamy w archiwum rejestrów, to znaczy białej karty, ale jest jego zielona. Wie pan, to jest dla osób podejrzanych, ale nie notowanych.

- Tak, wiem. Powiedz mi, jak odnaleźliście jego kartę? Podał nazwisko?

- Nie, proszę pana. To jest tak. Wie pan, ten facet jest ubrany w mundur głównego inspektora policji stołecznej. Na szczęście, konstabl pracuje w archiwum od roku, rozpoznał go, bo pamiętał twarz. Myślał, że mamy białą kartę, ale mamy tylko zieloną. Jest na niej wypisana uwaga waszego wydziału i gwiazdzisty znak oznaczający bezwzględne pierwszeństwo. Chcemy, proszę pana, wiedzieć, czy musimy przekazać do Shoreditch, że jest tam zielona karta? Oczywiście, to może być legitymacja Interpolu. Czy on jest panu potrzebny? To właśnie chcę wiedzieć, proszę pana.



- Posłuchaj, Keightley. Powiedz tym w Shoreditch, że chcę zatrzymać tego człowieka. Chcę go rozebrać do naga. Muszą być ostrożniejsi. Mieć oko na pigułki cyjankowe. To może być bardzo istotne. Przekażcie szefowi, że czynię go osobiście odpowiedzialnym za bezpieczeństwo zatrzymanego. Musi być pod kluczem i stałą obserwacją od momentu, kiedy skończysz z nimi rozmawiać. I zapewnij tego policjanta, który go dostarczył, że muszą go od razu awansować na sierżanta. Trzeba powstrzymać inspektora; to nerwy, i powiedz im, że zaraz wyjeżdżam. Będę tam przed siódmą trzydzieści.- Tak jest, sir, natychmiast.

- Aha, Keightley.

- Tak, sir?

- Zameldujcie mi natychmiast o wynikach.

- Dziękuję panu.

Zadzwońnię do szefa transportu; mieli gotowego do jazdy czarnego jaguara. Zamknąłem IBM, wyłączyłem magnetofon i nacisnąłem biały guzik, włączający automatyczną sekretarkę. Murray nie dopił jeszcze drinka i zapytał, czy może ze mną pojechać. Nie ustaliłem jeszcze do tej pory zasad postępowania w takich przypadkach, więc wyraziłem zgodę. Carswell uznał, że sierżant już się wywiązał z dzisiejszych obowiązków. Przeszliśmy przez Tottenham Court Road i gdy dotarliśmy do rogu, wsiedliśmy do samochodu. Kierowca był cywilem, których po wojnie policja chętnie zatrudniała, więc znał drogę do posterunku w Shoreditch. Znaleźliśmy się na New Oxford Street, dalej droga wiodła przez Theobalds Road. Pozwoliłem kierowcy włączyć syrenę, przejechaliśmy nad bocznicą Clerkenwell Road i wskaźnik licznika wystrzelił do siedemdziesięciu mil.

Byliśmy w połowie City Road, gdy kierowca jadący z Moorgate żółtą półciągarówką z gazetami, zdał sobie sprawę, że my się także nie zatrzymujemy. Zahamował, blokując koła. Nasz jeszcze przyspieszył, półciągarówką prześliznęła się o cal za nami, jej rozgrzane do białości hamulce harmonizowały z twarzą kierowcy. W tej chwili najmniej mi zależało na tego rodzaju komplikacjach.

- Ostrożnie - ostrzegłem z uznaniem dla mistrzowskiego opanowania.

- Wszystko w porządku, sir - powiedział kierowca, myląc chęć dokuczenia mu z moją nerwowością. - Mieli gumowe błotniki.

Zrozumiałem, dlaczego policja nam go dała. Zaczęło padać na całego i ulice były kalejdoskopem odbijających się samochodowych świateł i neonów. Gdy podjechaliśmy pod posterunek, w drzwiach stało trzech policjantów. To miłe, że nie żartowali sobie z zasad zachowania bezpieczeństwa. Kierowca wysiadł z wozu i wszedł z nami na posterunek. Chyba

spodziewał się zobaczyć kogoś znajomego. Murraya i mnie przywitał sierżant, z którym miał rozmawiać Keightley.

- Wszystko absolutnie opanowane - zameldował dumnie. - Jak się rzekło, tak się stało. Dwaj inni pańscy ludzie parkują już wóz. Nie muszą się martwić...

- Dwaj inni ludzie? - zapytałem.

Poczułem skurcz żołądka. Wiedziałem, że ja także nie muszę się martwić. Weszliśmy do pomieszczenia, w którym leżał nagi, płaski i całkiem martwy. Odwróciłem ciało. Silny, przystojny facet w wieku około trzydziestu pięciu lat. Z bliska wyglądał starzej niż wtedy, gdy go widziałem. Mogliśmy wykreślić Housemartina z naszych akt. Tak jak go ze swoich wykreślali teraz ludzie Sójki. Była siódma trzydzieści trzy. Zawartość kieszeni munduru stanowiły: paczka papierosów, trochę pieniędzy, trzy funty i piętnaście szylingów, chusteczka do nosa. Natychmiast posłałem po policjanta, który ściągnął tu trupa. Wypytywałem go o wszystko, co się wydarzyło.

Policjant Viney wszedł z w połowie napisanym raportem i resztką ołówka. Ten niemal całkiem łysy, krępy mężczyzna, prawdopodobnie eks-atleta, mimo skłonności do tycia, pewnie i teraz byłby groźnym przeciwnikiem. Miał rzadkie, bielejące przy skroniach włosy, które okalały od tyłu maleńkie uszy. Od ziąbu zaczerwienił mu się nos. Dolną szczękę miał mocno wysuniętą do przodu, jak policjanci, którzy zmagają się z nie pasującym pod brodą paskiem. Pod bluzą nosił zrobiony na drutach czerwony pulower, a na nim niebieskie szelki. Był rozluźniony i bystry, jak się można było spodziewać po kimś, kto przytaszczył faceta w mundurze inspektora. Sierżant za moimi plecami pochylił się w drzwiach celi, mówiąc na tyle głośno, bym go usłyszał:

- W ciągu dwudziestu pięciu lat służby... - I zamartwiając się o emeryturę.

Odwróciłem się do konstabla. Powiedział mi, że zachowanie Housemartina od razu wzbudziło jego podejrzenia, ale nigdy by nie podszedł tak blisko do kwatery, żeby go rozpoznać, gdyby tamten nie uderzył w światła drogowe. Czy nie myślał, że facet wyszedł z pobliskiego domu? Sądził, że mógł się włączyć w ruch.

- Nie martwcie się o materiały dla sądu, konstablu - uspokoiłem go. - Wolę to, co mi pan powiedział i co jest kruchym domysłem, niż się wahać z braku dowodów. Załóżmy, że ten człowiek odjechał od krawężnika, i że wyszedł z jednego domu przy tej ulicy. Przypomnijcie sobie dokładnie ten rząd domów. Dobrze je pan zna?- Całkiem nieźle, Każdy dom ma jakieś cechy szczególne. Sporo domów ma pokoje od frontu, w których się nie odsłania i nie wymienia zasłon. Ale to są angielskie pokoje frontowe, prawda? - zapytał, jakby się chciał upewnić.

- Interesują mnie jedynie te domy, do których w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wprowadzili się nowi lokatorzy. Dom, do którego wchodzi i skąd wychodzą nowi ludzie. To znaczy, nie zasiedziali mieszkańcy. Czy jest tam jakiś dom stojący w odosobnieniu? Pewnie ma tam garaż i kierowca wchodzi do środka wprost z niego.

Viney odpowiedział:

- Wszystkie domy stoją z dala od ulicy, ale jeden jest szczególnie odosobniony, ponieważ właściciel kupił nie uporządkowany teren po obu stronach budynku. Oczywiście, przy wszystkich domach są takie tereny, ale tylko z jednej strony. Pod numerem czterdziestym jest taki właśnie teren, w domu mieszkają przeważnie młode małżeństwa. To własność pani Grant. Po drugiej stronie stoi bardzo niski budynek; mąż jest kelnerem na West Endzie. Widzę go zwykle między drugą - drugą trzydzieści podczas nocnego obchodu. Wiem, że pan Edwards, który handluje samochodami, złożył ofertę w sprawie jednego terenu. Przyciskaliśmy go za to, że zawadza. Stawia swoje samochody na drodze. Kiedy wzywaliśmy go do siebie przez tydzień, chciał się widzieć z sierżantem. Sądzę, że tylko po to nam mówił o kupnie terenu, by pokazać, że się stara. Ale jakoś nie chcieli mu sprzedać. Jest to jedyny dom, którego mieszkańców nie mogę sobie przypomnieć. Nabudowali mnóstwo budynków. Sądzę, że będą tam mieszkania do wynajęcia. Gdzieś w lutym. Ale nie ma wywieszek "do wynajęcia". Nie są potrzebne, wystarczy na gębę.

- Trafiliście, konstablu. Kupię wam duży dom na uboczu. Keightley zadzwonił na posterunek i kiedy usłyszał, co się stało, stwierdził, że wszyscy są mocno podenerwowani. Murray'a doszedł wysoki, cichy głos Keightleya:

- Morderstwo? Morderstwo? Na posterunku policyjnym? - Dochodzący z archiwum kryminalnego głos Keightleya trafił ich o wiele bardziej niż cokolwiek, co mogłem im powiedzieć.

Kazałem im przeprowadzić wszystkie badania odcisków palców i sprawdzić dokładne rysopisy dwóch ludzi, ale znając organizację Sójki, można było zakładać, że nie mają żadnych notatek, nagrań ani pozostawionych odcisków. Konstabl rozpoznający Housemartina z fotografii, którą widział w archiwum kryminalnym, był rzadkim szczęśliwym trafem. Odwróciłem się do Vineya, który mi przyniósł z kantyny filiżankę herbaty. Stał w nie dopiętej bluzie, oczekując i oceniając moje kolejne posunięcia.

- Pokażcie mi na mapie, dobrze? - zwróciłem się do niego. - A potem chciałbym na osobności skorzystać z telefonu i, jeśli to możliwe, z urządzenia do szyfrowania.

Wydział informacji Scotland Yardu zgłosił się po paru sekundach. - Posterunek policji w Shoreditch. Chciałbym rozmawiać z oficerem 3H Tajnych Operacji albo z kimś wyżej; działałam z upoważnienia WOOC/P/.

- Proszę się nie rozłączać.

Niezacienione światło odbijało się w jasnokremowym, błyszczącym obrazie. Przez zamknięte drzwi dochodziły dźwięki płynącej z radia melodii "W małym hotelu". Herbata stała na zniszczonym biurku, nerwowo bawiłem się starą szkatułką z muszelek, przerobioną na kałamarz i statyw na pióro. W końcu zachrobotał telefon i zgłosił się Wydział Informacji.

- Tu główny inspektor Komitetu Obrony, Branbury.

Na szczęście "Spinkę" Branbury'ego znałem z dawnych lat. To oszczędziło mi wstępnych zabiegów z szyfrem. A raczej mogłoby oszczędzić, gdyby "Spinka" nie uparł się, by przejść to wszystko po kolei. Zażądałem trzydziestu funkcjonariuszy, w tym pięciu uzbrojonych, i czterech pojazdów bez oznakowania.

- Wszystkie nie oznakowane pojazdy są w garażu w Richmond - wyjaśnił "Spinka".

- To pożycz prywatne wozy od swoich policjantów. Zaczynaj od centralnego West Endu, mają tam spore samochody. - "Spinka" nie zwrócił uwagi na moją złośliwość, zachowywał się spokojnie i pewnie. - Potrzebuję wozu z łącznością radiową. Będę ich po drodze instruował. A także kilka drabin z hakami i łom. Przekaż do Wydziału Informacji, że muszę mieć "całkowite zaciemnienie" i do radiowej łączności daj kogoś, kto nie będzie pyskował. To wszystko, szefie. Zadzwoń, kiedy już będziecie w drodze - powiedzmy za pół godziny.

- Nie, za jakąś godzinę.

- Nie ma mowy, szefie, to jest 3H. Jeśli nie możesz się pospieszyć, skorzystam z moich wojaków.

- W porządku, spróbuję za czterdzieści minut.- Dziękuję, szefie. Na razie. Była siódma pięćdziesiąt osiem.

Poszedłem na górę. Murray wraz ze starszawym konstablą, sierżantem i inspektorem ze schludnie przystrzyżonymi wąsami, pochylali się nad olbrzymim, wyszorowanym stołem. Zapytałem sierżanta, kim jest inspektor. Żadnego z nich to nie uszczęśliwiło, ale jakoś to przetrawili. Murray opracował sensowny plan uderzenia na dom numer czterdzieści dwa przy Acacia Drive. Wygrzebał skądś fotografię ulicy i narysował diagram ukazujący wysokość ogrodowego muru oraz sposób postawienia dwudziestu pięciu ludzi. Sierżant Murray zademonstrował przy tej okazji klasę znacznie przewyższającą jego służbowe zaszeregowanie. Inspektor odnosił się z szacunkiem do jego sugestii, a sierżant policji

powtarzał: - Tak, sir, dobrze, sir, bardzo dobrze, sir. - Powiedziałem policjantom, że tamci mogą już nadjeżdżać i wyjaśniłem, że ponieważ prosiłem o "całkowite zaciemnienie" operacji, jakkolwiek przeciek będzie sądownie ścigany.

Murray przy pomocy automatycznego wielokolorowego ołówka naniósł sylwetki dodatkowych pięciu ludzi; my staliśmy wokół, popijając słodką herbatę. Teraz kantyna była przygotowana dla starszyny. Trzymałem w rękach filiżankę ze spodeczkiem ozdobionym jaskółkami oraz łyżeczkę. Murray uznał, że jest dobra okazja, by zapytać o dodatek do poborów. Miał go otrzymać trzy miesiące temu. Obiecałem, że zrobię, co się da.

O ósmej trzydzieści jeden zapukał do drzwi konstabl, informując, że właśnie wjechał na podwórze pojazd żandarmerii i kierowca pyta o "pana" Murraya. Murray wyznał, że pomyślał sobie, iż "może się przydać" wóz Champa z radiowym wyposażeniem. Prosił także, by zamiast parkować na widocznym miejscu, wóz wjechał do środka. Zeszliśmy z Murrayem na dół sprawdzić, czy radio może pracować na długości fal Scotland Yardu. Powiedział mi, że mając tu wóz żandarmerii, mamy również pistolet, amunicję i - jak to określił - "inne pożyteczne rzeczy". Murray okazał się niepodobny do tego, co sobie o nim wyobrażałem, więc postanowiłem sprawdzić ponownie następnego dnia jego papiery.

## 12

Acacia Drive była szeroką, podmokłą ulicą w dzielnicy, która z przedmieścia skradała się nieśmiało do centrum Londynu. Pokryte sadzą żywopłoty sięgały prawie do koron rachitycznych drzewek w żelaznych klatkach. Tu i ówdzie brudna siatka osłony czterdziestowatowej żarówki przepuszczała nikłe światło, ledwie rozpraszające uliczny mrok.

Czekaliśmy, by zajęło pozycje dwóch ostatnich ludzi. Gdzieś uchyliły się drzwi na ulicę, rzucając w ciemność snop żółtego światła. Facet w czapce zdjął srebrzysty pokrowiec z samochodu. Okazało się, że to nie ten wóz, o który mu chodziło. Zdjął srebrzyste okrycie z drugiego wozu. Trzeci miał właściwą tablicę rejestracyjną. Wyjechał nim na ulicę, która znów stała się mrocznym, cichym cmentarzyskiem samochodów.

Do domu numer czterdzieści dwa prowadziły dwie bramy z dwoma półkolistymi podjazdami o zwirowej nawierzchni. W małym okienku na piętrze paliło się światło. Wóz Champa stał bliżej domu niż prywatne samochody policjantów. Żandarm na tylnym siedzeniu utrzymywał łączność radiową z ludźmi w mundurach, którzy zajęli pozycje w ogrodzie z tyłu domu. Dał nam sygnał, przytkając palcami. Postanowiłem z Murrayem sforsować boczne okno. Ustaliliśmy z żandarmerią, że damy im sygnał latarką. Murray trzymał łom, a ja arkusz pakowego papieru, posmarowanego syropem z policyjnej kantyny.

Żwir trzeszczał pod stopami, na tle chmur podrygiwał samolot, migocząc kolorowymi światłami. Przestało padać, ale w mroku połyskiwały wilgotne ściany domu. Forsując rozległy teren, przeszliśmy w poprzek ścieżkę, zanurzając się w ogrodzie za domem. Mokra, wysoka trawa przemoczyła mi nogi, spodnie i skarpetki, w końcu zaczęło mi chlupotać w butach.

Zatrzymaliśmy się przy szklarni, przez której ściany przeświecał księżyc, rysując dziwaczne cienie doniczek, fasoli i kwiatów. Co chwila dom zmieniał wygląd; raz był groźny i ponury, to znów zamieszkały przez niewinnych i wiernych prawu obywateli, których zaraz napadnie moje prywatne wojsko.

Zegarek wskazywał dziewiątą jedenastą. Po drugiej stronie placu poruszył się policjant. Wiatr przycichł i wydawało się, że samolot lata teraz bardzo cicho. Z oddali dosłyszałem pociąg.

Byłem cały nieszczęśliwy, w butach mi chlupało. Poczułem, jak Murray dotknął łomem mego łokcia. Udawał, że zrobił to całkiem przypadkowo. Zrozumiałem aluzję. Boczne okna były wyższe niż to się wydawało z szosy. Podnosząc do góry arkusz pakowego papieru, przylepiłem go do szyby; po nadgarstku pociekło mi trochę syropu. Murray wbił łom w drewnianą ramę, ale drewno nie ustąpiło. Okna z prawej strony było zakratowane, więc rozbił łomem szybę zaklejoną papierem. Zachrząściła wytłumiająca maź syropowa, do środka wpadły poprzyklepane do papieru kawałki szkła. Murray zaczął szukać po omacku zasuwek. Wreszcie okno się otworzyło i Murray zanurkował głową do środka. Dostrzegłem podeszwy robionych na zamówienie butów (osiemnaście gwinei) i prostokątną nalepkę z ceną przyklepioną na podbiciu. Podałem mu pistolet i wślizgnąłem się za nim.

Do małego holu wpadało światło księżycy, oświetlając stare, wygodne meble; na palenisku stał elektryczny kominek z plastikowymi polanami; na kanapie leżało porozrzucone ubranie. Nagle głośno zadzwonił zegar. Murray był już na korytarzu. Ktoś na schodach porozrzucił kawałki papieru w niebieskie linie. Wiedziałem, że w domu nikogo nie ma, ale skradaliśmy się ostrożnie aż gdzieś do dziewiątej dwadzieścia osiem.

Policjanci zwinęli do wozów wszystkich, z wyjątkiem dwóch osób służby. Hazardowe party zostało odwołane w ostatniej minucie.

Poszliśmy z Murrayem na filiżankę "kawy" do jednego z ekspresowych pałaców z dobranymi do siebie plastikowymi roślinami i drożdżowym ciastem. Skwaszona młoda kelnerka, rozsiewając wokół stołu zapach ścierki, powtórzyła: - Dwie szkockie z kawą - i wróciła do trójki chłopaków w czarnych kurtkach ze sztucznej skóry i dzinsach z prawdziwymi nitami, żeby pogadać o motocyklach.

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego). Zwróć szczególną uwagę na załatwienie ubezpieczenia. Można oczekiwać na romans i odłożyć na później towarzyskie zobowiązania).

Rozmawiałem z Murrayem o wszystkim, tylko nie o pracy. Gdyby wysoki, muskularny Murray był nieco młodszy, mógłby być bohaterem sztuk Johna Osborne'a. Dzięki dużej, prostokątnej i kościstej twarzy można go też było sobie wyobrazić jako pułkowego sierżanta sztabowego albo przywódcę dzikiego strajku.

Wykonywał polecenia w sposób, którego skuteczność stanowiła pewną przyganę dla przełożonych. Przywodziło mi to na myśl tych podoficerów, którzy musztrowali kadetów. Bryłowątą czaszkę szczelnie oblepiały mu włosy. Wąskie szpary oczu, jak gdyby nieustannie wpatrując się w jakiś blask, marszczyły się w nie prowokowanym uśmiechu. W odróżnieniu od Chico, uśmiech Murraya nie wynikał z chęci zbratania się z ludźmi - na odwrót, rozmyślnie go od nich oddzielał. Rozmawialiśmy o Bertoldzie Brechcie i ustawie o broni palnej z 1937 roku; Murraya bawiło sondowanie jego wiedzy. Nie lubił wojska w czasie pokoju, i było to całkiem zrozumiałe, ponieważ nie ma w nim miejsca dla ludzi z książką Kierkagarda w kieszeni. Twierdził, że sierżanci chcą rozmawiać jak oficerowie, a oficerowie jak dżentelmeni. W kasynie jest pełno facetów, którzy przesiadują tam cały weekend i wracają z opowieściami o domowych przyjęciach nad rzeką.

Kiedy wróciliśmy do domu numer 42, fotograf i faceci od zdejmowania odcisków palców skończyli już robotę, i przyjechał Chico z Rossem. Rossa dotknął mój nagły awans i włączył w sprawę swój wydział, prawdopodobnie za pośrednictwem Keightleya. Chico miał na sobie tweedowy płaszcz w gigantyczne wzory i wyglądał jak kasjer na kolei. Zauważyłem na jego podbródku nowe krosty, które nazywałem "kawiorową wysypką". Dłubali z Rossem przy szklarni i kiedy się do nich zbliżyłem, Ross mówił:

- Moje w ogóle się nie rozwinęły, to pewnie wczesny mróz.

Chico sprzeciwił się, cytując swojego ogrodnika, i wszyscy ruszyliśmy do czterdziestego drugiego.

Trudno było znaleźć normalniejszy dom niż ten, jeśli chodziło o parter i pierwsze piętro. Stare, pokaleczone meble, łysiejące dywany, ponure tapety. Supernowoczesna kuchnia była dobrze zaopatrzona w świeżą i puszkowaną żywność, stała tam także maszyna do mielenia odpadków. Łazienka na górze była bardzo angielska: prysznic, waga, różowe lustro i mocno rozproszone oświetlenie. Jeden pokój na parterze był urządzone jak biuro, w rogu stała

drewniana budka telefoniczna ze szklanymi szybami i małym urządzeniem blokującym tarczę telefonu.

Na półkach pozostało kilka książek: "Roget", spis przedsiębiorstw, francuskie wydanie "Planów największych miast świata, głównych dróg i wyjazdów", "Atlas drogowy", "Przewodnik kolejowy" i "Chambers's Dictionary".

Skrzynki na dokumenty pachniały świeżą farbą. W środku leżało kilkaset czystych formularzy. Minąłem wytapetowany na różowo hall i poszedłem na górę. Schody z parteru na pierwsze piętro były zlikwidowane. Szczyt tandetnej drabiny wchodził w słabo widoczny prostokąt w suficie. Murray i Chico dali się namówić na wspinaczkę. Ross na dole ciągle grzebał w książce telefonicznej, sprawdzając podkreślenia, ślady palców i porwane kartki. Wspiąłem się na kruchą drabinę. Gdy wystawiłem głowę nad poziom pierwszego piętra, zobaczyłem to, o czym mówił policyjny kamerzysta. Światło kilku nie zaciemnionych dwudziestopięciowatowych żarówek padało na nierówną, drewnianą podłogę. Ze ścian poodpadał w wielu miejscach tynk, odsłaniając nierówno pomalowany mur. Podniosłem czernasty z kolei kamień i latarką rozjaśniłem mrok. Zaglądałem do każdego pokoiku. Niektóre okna wychodziły na środek wybrukowanego podwórka, stanowiącego charakterystyczny element posiadłości leżącej we wklęsłym prostokącie. Zewnętrzne okna były zupełnie zamurowane. Podeszedł do mnie rozpromieniony Chico; w jednym z pokoiów znalazł parę biało-granatowych płóciennych pantofli numer dziesięć i miał już gotową koncepcję całej sprawy.

- Małe, prywatne zoo, sir. Ciotka moich krewnych, księżna Winchester, pozwoliła mi je wybudować, sir. Strasznie interesujące. To jest na żywność, sir, to pomieszczenie. Tamte wiadra są wyszorowane, sir, wszystko niezwykle czyste. Pomagałem mu przez wiele weekendów, sir. Któregoś dnia odbyło się tu szokujące przyjęcie. Chciałbym, żeby pan tam był. Jestem pewny, że by to pana zainteresowało. - Gdy piał na coraz wyższych tonach, coraz bardziej wystawała mu grdyka.

Musiałem uporać się z najtrudniejszym zadaniem w życiu. Miałem do pomocy kultywator róż na dole i uchodźcę z królewskiej klauzury. Niezły zestaw, żeby się zmierzyć z połową uzbrojonego świata.

- Przepadam za zoo mego przyjaciela, sir.

Wiele przemawiało za celnością uwag Chico. W ponurym, podobnym do celi pomieszczeniu, gdzie się znajdowaliśmy, stał koksowy piec z biegnącą po ścianie rurą, a w rogu zniszczone rondle do gotowania. Deski w podłodze były wyszorowane do białości.



Popatrzyłem przez brudne okno na małe podwórko, na ściany pokryte popękanym tynkiem i osłonięte metalową siatką boczne światło.

- To pasuje jak ulał do moich przyjaciół, sir. - Nikt, kto był przyjacielem Chico, nie mógł mieć wrogów. Skinąłem głową.

W szyby bił spazmatycznie deszcz, przez wilgotne chmury przebijał się do lądowania inny samolot. Próbowałem go dojrzeć, ale okienne ramy ograniczały widok do skarpy wokół domu. Przeszedłem korytarzem i po otwarciu ciężkich drewnianych drzwi znalazłem się w najdziwniejszym miejscu w tym domu. Było to jedno z największych pomieszczeń - około dwadzieścia na dwadzieścia pięć stóp. Na środku stał ciężki metalowy zbiornik wody - osiem na osiem stóp i wysoki na pięć stóp. Do czterech piątych wysokości wypełniała go woda. Nieprzemakalne płótno było przybite do podłogi.

- Coś tam jest - krzyknął Chico.

Zaczął mieszać wodę w zbiorniku patykiem, który znalazł w ogrodzie. Prawie godzinę zajęło policji wydobycie z dna zbiornika kawałków magnetofonu i końskiej uprzęży.

Filmowy kamerzysta z Charlotte Street i dwóch facetów z laboratorium medycyny sądowej Komitetu Obrony byli w korytarzu na dole; postanowiłem ustąpić im miejsca na kilka godzin.

Przebudziły się ptaki i gdy pojawiła się delikatna smuga wilgotnego brzasku, wypilem kawę Blue Mountain ze śmietanką, a potem poszedłem do łóżka z zaległymi notatkami od Alice, znalazłszy jeszcze czas, by wysłać do Adema pięć funtów na ochronę jego fauny. Biorąc pod uwagę, jak się na to zapatrywałem, byłem także fauną.

Biorąc na drugi dzień rano prysznic, odczuwałem jeszcze zmęczenie. Wybrałem stosowny, ciemnoszary garnitur w paski (wełna z nylonem), białą koszulę, chusteczkę, brązowy krawat i brązowe pantofle, by nadać ubiorowi akcent buntu. Muszę zaszyć tamte brązowe spodnie.

W taksówce przeczytałem ostatni numer "The Stage". Zamieściliśmy tam płatne ogłoszenie, by powiadomić Dalby'ego o tym, co się dzieje. Anonsowało:

„Utalentowani soliści do objazdów. Tancerki (numery wojskowe), bardzo wysoki mężczyzna do pantomimy w miastach środkowej Anglii. Prosimy nadsyłać szczegółowe fotografie. Zakończono prace nad ustawą o modernizacji centrum Londynu. Poszukiwany oryginał aktu. Dzwonić do pani Varley. Poszukuje Dalby”.

Alice utrzymywała kontakt z Dałbym w terenie, ale nawet bez wskazówek pracodawcy było jasne, że miała mnie wypróbować. Taksówka skręciła w stronę Scotland Yardu. Komisarz urzędował w ogromnym narożnym pokoju. Stare, skórzane krzesła były

błyszczące i gustownie wykończone. Na jednej ze ścian dominował sztych Stubbsa w drogocennej ramie, przedstawiający mężczyznę z koniem. Przed nim migotał i trzaskał w kominku ogień z wilgotnego węgla. Przez małe szybki okna oglądałem pojazdy pełnące przez Westminster Bridge. Szeroki, czarny holownik ciągnął pod prąd tłustej wody orszak barek z ziemią, a na nadbrzeżu malutki mężczyzna w żółtym podartym płaszczu przeciwdeszczowym ładował do bagażnika taksówki powyginany rower. Komisarz wybierał się załatwić coś w gmachu. Miał manery wyższego dowódcy i trudno było powiedzieć, co go trapiło, i czy w ogóle miał zmartwienia. Już po raz trzeci zaczynał mówić o niesprawiedliwości - w jego ustach to słowo brzmiało ironicznie - polegającej na przyznawaniu Charlotte Street nie limitowanych funduszy. Dwa razy podkreśliłem, że całe moje biuro zmieściłoby się pod jego biurkiem, ale moje zdanie budzi szacunek jedynie w popstrzonych przez muchy delikatesach. Tym razem pozwoliłem mu dobrać do końca, co zajęło tyle czasu, ile trzeba na wypalenie dwóch papierosów. Trochę przeholował, gdy powiedział o bezpłatnym korzystaniu przez nas z archiwum kryminalnego i laboratorium medycyny sądowej, oraz prawie do robienia rewizji, i jak mało o tym wiemy. Gdyby ten staruszek znał tylko połowę spraw, które nakręcił Dalby, z pewnością zatrzepotałby powiekami. Natychmiast podjąłem twardą decyzję o wycofaniu z naszej nielegalnej działalności Chico, który był najbardziej gadatliwy i nie najbardziej taktowny. Komisarz przerwał moją zadumę.

- Ten facet u pana, taki ciemnowłosa, straszna gaduła. Zrobiło mi się zimno.

- Murray? - podsunąłem z nadzieją w głosie. - Sierżant Murray, ekspert od statystyki.

W nocy był w tym domu.

- Nie! Nie! Nie! Młody facecik, chłopaczek, no jak to...

- Chillcott-Oakes, Phillip Chillcott-Oakes.

- Tak, czarujący gość, nie do przebiccia, tak, to on. - Po raz pierwszy uśmiechnął się i pochylił ku mnie konspiracyjnie. - Był z moim najmłodszym w szkole.

Właśnie otworzono knajpę po drugiej stronie ulicy. Wlałem w siebie parę dubonnetów i napój cytrynowy. Jakie mogłem mieć szanse, stojąc między komunistami z jednej strony, a establishmentem z drugiej? Jedni i drudzy wyprzedzali każdy mój zamysł.

## 14

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego). Niech głowa rządzi sercem. Unikaj sporów w domu i w pracy).

Wtorek był upalnym dniem, wypełnionym nieznośnymi odgłosami. Słuchałem szczerkania czarnego airedala sąsiadów, a oni mego radia na średnich falach. Przeglądałem pocztę z wycieraczki; dział prenumeraty "Timesa" informował, że utraciłem życiową szansę. Najstarsza siostra mojej matki życzyła sobie, żebym był w Genewie; ja także, tylko że była tam moja ciotka. Pismo z Ministerstwa Obrony potwierdzało zwolnienie z wojska i mówiło, że nie podlegam obowiązkowi odbywania ćwiczeń rezerwy, ale moje dokumenty przechodzą do tajnej kancelarii. Mleczarnia zalecała wcześniejsze zamawianie śmietany na dni wolne od pracy i musiałem spróbować Chokko, nowego napoju czekoladowego, z powodu którego wszyscy podobno oszaleli.

W biurze zacząłem przekopywać papiery z zamkniętej szuflady. Trochę bzdur o zmikrofilmowanych dokumentach na temat operacji z użyciem broni chemicznej. Departament Obrony Stanów Zjednoczonych był niemal pewny, że sprzedał je jakiś inżynier z BOAC. Skierowałem je do Oddziału Specjalnego LAP. Funkcjonariusz Wydziału Informacji Prasowej Scotland Yardu bardzo miło odniósł się do sprawy tego domu, ale powiedział, że już się o tym wszystkim dowiedziała prasa. Alice wspomniała, że dzwonił dwukrotnie i prosił, żeby mi to przekazać.

- Niech powie prasie, że film oglądał sędzia sądu najwyższego, minister i kilku baronów prasowych, ale jeśli będą grać w czyste karty, nie prześlemy tego telewizji.

- Tak, sir - potwierdziła Alice.

W jednej z gazet ukazał się reportaż o domu. Szybko przebiegłem oczami: "Na deskach podłogi kurz i plamy; być może krew, bardzo stara; prawdopodobnie z czasów wojny i bombardowań".

Odciski palców - było ich tam mnóstwo, głównie moje i nie zidentyfikowane - przebijały się przez zbiór pojedynczych odcisków i "sceny dokonania zbrodni" (inne, nie zidentyfikowane odciski umieszczono pod fotografią miejsca, w którym były pobrane).

O trzeciej miałem spotkanie z Rossem. Gdy przejąłem obowiązki Dalby'ego, było to jedno z moich cotygodniowych ciężkich doświadczeń. Wysłałem po kanapki - biały ser z ananasami i szynka z sosem mango. Delikatesy dały do tego ryżowy chleb. Przez dziesięć minut, dopóki się nie pojawił Chico, wrzucałem do popielniczki kminek, a potem zadołowałem w niej ziarnka i co tylko było pod ręką. Położył na biurku rolkę z 16-milimetrowym filmem i zaczął się ociągać w nadziei na rozmowę. Wydałem chrząknięcie typu "bogacz z wrzodami na żołądku", skinąłem głową i w końcu się ulotnił.

Siedziałem przez dłuższy czas, wpatrując się w moją neskę, ale nic mi nie przyszło do głowy na temat dalszych naszych kroków. Opozycja mogła spartaczyć robotę, ale nie

znalazłem żadnej luki w obronie, chybi że leżące przede mną dokumenty nie miały żadnego znaczenia. Nie wydawało mi się to prawdopodobne. Nic mnie nie utwierdzało w przekonaniu, że to sprawa dla nas, nie mówiąc już o powiązaniu jej z Sójką. To tylko pisarze oczekują, że każda uwaga wtrącona przez bohatera staje się nicią przewodnią całej sprawy. W biurze było około sześciuset numerów ewidencyjnych i gdyby wszystkich przestępców jednocześnie pociągnąć do odpowiedzialności karnej, Oświęcim wyglądałby jak ostatnia strona "Hamleta".

Czy dalej powinienem się wygłupiać z uwagami na temat tego domu? Jakimi uwagami? Postanowiłem wysondować Rossa. Zobaczę, czy jego wydział jeszcze się tym zajmuje. Pojechałem taksówką do marnego klubu z drinkami przy Jermyn Street. Na pierwszym piętrze było kilka pomieszczeń. Wszędzie czerwony plusz i ani odrobiny dziennego światła. Za wspaniale wypolerowanym dziecięcym fortepianem i olbrzymim koszem podobnie wspaniałych kwiatów siedział łysiejący mężczyzna w okularach i pod krawatem. To był Ross. Siedział tu od co najmniej pół godziny. Usiadłem przy nim. Nasze cotygodniowe spotkania zazwyczaj trwały około dziesięciu minut; uzgadnialiśmy w ich trakcie treść raportu wojskowego wywiadu dla rządu, a także omawialiśmy zarządzenia finansowe, dotyczące obu naszych wydziałów. Kelner przyniósł mi Tio Pepe, a Ross zamówił następny dzin. Wyglądał, jakby już kilka wypił. Miał pomarszczoną i bladą twarz. Dlaczego lubił to miejsce?

Poprosił o papierosa. To było niepodobne do Rossa, ale przytknąłem w jego stronę gauloisa. Podsunąłem mu ogień. Zapalka zapaliła tytoń jak błysk magnezu. Sammy Davis śpiewał "Miłość w rozkwicie", łagodne vibrato saksofonu wprawiało w drżenie plastikowe kwiaty. Barman, wysoki eks-pudel z opalenizną barwy butelki i węzłem krawata wielkości sporego ziarnka grochu, wycierał starą ścierką nieskazitelnie czyste popielniczki i sączył ukradkiem guinnessa. Ross zaczął mówić.

- Po prawdzie, raport nie jest jeszcze całkiem gotowy, dziewczyna przepisuje go dziś po południu.

Wstrzymałem się, by nie powiedzieć: - To w porządku. - Ross spojrział na mnie i wyciągnął z kieszeni czarną, nabitą fajkę. Mojego gauloisa wypalił dopiero do połowy. Ross był zdenerwowany. Chciałem się dowiedzieć, czy jego ludzie będą kontynuować robotę przy - jak ktoś go ochrzcił - "domu, w którym straszyc". Wiedziałem również, że bezpośrednie kontakty z Rossem są fatalne.

- Chyba nigdy nie był pan u mnie, prawda? - To czysto retoryczne pytanie. Pomysł, żeby utrzymywać z Rossem towarzyskie stosunki, był całkiem wesoły. - Teraz jest tam ślicznie, w dole ogrodu rosną trzy urocze kasztany. Między nimi rozłożyły się Anna Olivier,

Caroline Testout i pani John Laing. Kiedy w czerwcu żółte bazy obsypują drzewa, z Gustave Nabonnand i Dorothy Perkins włącznie, trzeba być w sercu tego krajobrazu. Aby tylko nie w sąsiednim domu, naturalnie. Gdy kupiłem ten plac w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym, nie, kłamię, to był koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego, chcieli wyciąć przy budowie domu tamte kasztany. To był wówczas teren! Ani jednego domu przez całe mile, to znaczy za nami; ten sąsiedni jednak tam był. Żadnych autobusów, nic kompletnie. Proszę pamiętać, nie mogę się zbyt wzruszać. Latem tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego byłem w Adenie. Moja żona, pan nie jest żonaty, cudowna kobieta, w tym czasie ogród - no dobrze, nieważne. Ciężka harówka, ot co. Wtedy byłem tylko porucznikiem.

- Ross - zapytałem. - Pani Laing i Dorothy Perkins to są róże, prawda?

- Oczywiście. A pan myślał, że czym one są?

Skinąłem potakująco głową na badawcze spojrzenie barmana i natychmiast przybyły Tio Pepe oraz dzin. Ross przerwał na agencie od budowy domów, ale już wracał do opowieści.

- To było w SCRUBS\*<sup>\*[ /Patrz. Dodatek, str. 215]</sup> w trzydziestym dziewiątym, mogłem urządzić ogród. Wtedy posadziłem akacje. Dziś to jest dopiero widok. Dom obok z trzema sypialniami ani się umywa do naszego, nie da się nawet porównać, poszedł za sześć i pół tysiąca. Wtedy powiedziałem do żony: "To nasz musi być wart osiem". I musimy tyle dostać. To fantastyczne, że domy na odosobnieniu, tak jak nasz, idą za taką całkiem przyzwoitą cenę. Nie uważa pan? - Ross przełknął łyk dzinu i dodał: - Ale to prawda...

Zastanawiałem się, co to za prawda, i jak długo ten niemiłosiernie paplający facet do niej dochodził.

- Prawda jest taka, że mam chłopca w szkole i w tym momencie nie możemy go wycofać, za osiemnaście miesięcy będzie na uniwersytecie, no więc prawda jest taka, że to będzie straszliwy wydatek. Zawsze był pan trochę, no, mogę to powiedzieć, moim protegowanym. Kiedy w zeszłym roku pierwszy raz napomknął pan o przeniesieniu, no cóż, nie mogę powiedzieć, żeby w podkomitecie C5 zapanowała radość. Pamięta pan O'Briana, on chyba panu nawet o tym mówił. Myślałem, że jest pan facetem, którego warto popierać, i miałem rację, a pan sprawił miłą niespodziankę.

Tej obłudy Rossa nie mogłem już znieść - owego "popierania pana". Czego chciał: pieniędzy, przeniesienia, stanowiska Dalby'ego? To nie była sprawa charakteru, ale marnego wykonania. Tak się działo ze wszystkim, czego się tknął. Chciał pięć funtów? A może pięćset? Czy miał tyle wyobraźni, by prosić o więcej? Nie sprawiało mi przyjemności

plaszczenie się Rossa, ale tyle razy mnie beształ, że nie miałem zamiaru ulec jego prośbom. Ale właśnie zmienił front.

- Kiedy pod nieobecność Dalby'ego pan prowadzi całą imprezę, prywatny sekretarz ministra jest zadowolony z materiałów ze szwajcarskiego banku. Ma pan tam kogoś? - Przerwał. To było pytanie, ale czułem, że nikt jakoś nie chce odpowiadać. - Czy da nam teraz nazwiska i szyfry? - Znów zamilkł, a ja sobie przypomniałem wszystkie trudności, jakie mi robił, gdy załatwiałem sprawę z bankiem. - Och, rozumiem, nie powinienem pytać. Ale ważne, że pan się dowiedział. Prawdę mówiąc, oznacza to, że nie znajdzie się pan w ślepej uliczce, tak jak ja od momentu wybuchu Joe One\*<sup>\*</sup>[ / Pierwsza rosyjska bomba wodorowa. Lato 1949.]

Wymamrotałem coś o tym jako o ważnej ślepej uliczce.

- Tak, pan tak uważa, ale nie wszyscy myślą w ten sposób. Szczerze wyznam, że mam finansowe kłopoty. Teraz weźmy przykład z aktami "Al Gumhurii"...

Znałem sprawę z "Al Gumhuriją"; była to akcja, do której Ross wciąż wracał. Gazeta była organem Nassera i oficjalną giełdą wiadomości. Ross dotarł do faceta, który tam pracował. Później, kiedy upaństwowiono najpopularniejsze w Kairze gazety Al Akhbar (Wiadomości) i Al Ahram (Piramidy), jego kontakty jeszcze się poszerzyły.

Dzięki swojemu agentowi Ross skonstruował całociowy wizerunek rosyjskiej pomocy militarnej dla Bliskiego Wschodu.

Ludzie Rossa mieli kontakty sięgające nawet do członków rządu Nassera, i jego człowiek stamtąd nigdy nie miał oporów. Ale kiedy podniosła mu się stopa życiowa, doszedł do wniosku, że powinno także wzrosnąć wynagrodzenie za dodatkową pracę. Zauważyłem, że Ross niesłuchanie się tym przejął, kiedy z powodu kilku tysięcy funtów utracił jeden z najlepszych kontaktów. Doszło do mnie z kilku źródeł, iż jego agent zaprzestał działalności. Prawdopodobnie zaczął robić interesy z Amerykanami, którzy mu dziesięć razy więcej płacili niż Ross. Gdyby jego kontakty trwały dłużej, można spokojnie postawić jacht Onassisa przeciw gorącej kuli śniegu, że w końcu Ross by spalił całą siatkę.

- Można tam robić wielkie rzeczy, wielkie rzeczy, ale nie mamy, niestety, na to pieniędzy. Obserwuję, jak pan przygotowuje taki czy inny raport. Niewątpliwie może on dotrzeć do szczebla ministra. Nawet do szczebla ministra.

Usiadł i zaczął rozmyślać o tym szczeblu, jak gdyby go poproszono o napisanie Jedenastego Bożego Przykazania.

Wybiłem go z głębokiej zadumy lekkim trąceniem łokcia.

- Ale nie mam nawet numeru akt tej sprawy. Pan to ma.

- No właśnie, przyjacielu, dochodzimy teraz do forsy. Gdybym był obcy, musielibyśmy mieć fundusze na zakup dossier, prawda? - Gnał dalej już bez żadnych wahań.

- W tych sprawach macie więcej luzu niż ja, chciałem powiedzieć, my. No więc, za przyzwolitą sumę wszystko jest wasze. - Znów usiadł, ale się nie odprężył.

W pierwszej chwili myślałem, że go nie rozumiem, więc wypytałem go dokładniej.

- Czy chodzi panu o to, żeby mój wydział kupił dokumenty od pańskiego?

Postukał fajką o nogę stołu.

- Wiem, że wygląda to dziwnie i jest wbrew przepisom, przyjacielu. To nie praca od dziewiątej do piątej. Nie zaproponowałem tego komuś innemu, na przykład...

- Rosjanom?

Od kilku minut twarz mu coraz bardziej tężała, a teraz stała się nieruchoma jak gargulec z Notre Dame; ułożył usta jakby miał trysnąć deszczówką.

- Miałem powiedzieć "Marynarce", ale ponieważ postanowił pan być impertynentem... Pański przyjaciel Dalby nie byłby harcerzykiem po otrzymaniu takiej oferty. Chyba z nim porozmawiam.

Starannie dobierał słowa i sprawił, że czułem się jak cham, który wspomina o Rosjanach; wtrącając do rozmowy Dalby'ego, uprzejmie zwrócił mi uwagę, że jedynie zastępuję szefa; wreszcie, nazywając mnie "harcerzykiem", wiedział, że boleśnie mnie dotyka. Mnie, zręcznego agenta współczesnego wywiadu. Potwierdzały to sześć miesięcy współpracy z CIA i dwie koszule z naderwanymi guzikami.

- Niech pan słucha, Ross. Wyjaśnijmy to. Pilnie potrzebuje pan pieniędzy z powodów, których jedynie mogę się domyślać. Jest pan gotów sprzedać informacje. Ale nie może pan ich sprzedawać każdemu, kto chce je mieć, na przykład Rosjanom czy Chińczykom, bo byłoby to tak samo niesportowe jak buchnięcie noży i widelców z kasyna. Więc rozgląda się pan wśród naszych ludzi, pomijając dobry ton i wykluczając właściwe panu wyczucie subtelności. Szuka pan kogoś takiego jak ja, niegroźnego konkurenta, którego zresztą nigdy pan nie lubił, i najpierw przemawia pan do serca, a potem do portfela. Nie obchodzi pana to, co zrobię z dossier. Mógłbym za nie otrzymać tytuł szlachecki albo przerzucić to przez tylny mur rosyjskiej ambasady. Ma pan czelność sprzedawać coś, co do pana nie należy, komuś, kogo pan nie znosi. No dobrze, ma pan rację. To jest jakiś biznes, gdzie pracujemy, ale biznesem jest także to, że mnóstwo ludzi, którzy dostarczali na pańskie życzenie raporty, stale tam siedzieli. Teraz już ich tam nie ma, są dobrzy, bo zginęli gdzieś w brudnym zaułku i nie zgłoszą się po pański udział. Mamy w biurze sześćset otwartych kartotek, to nie tajemnica, i w tej chwili obchodzi mnie tylko, jak zrobić z tego pięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, jeśli

nawet nie otrzymam od ministra dyplomu wzorowego gospodarza. - Łyknąłem Tio Pepe i omal się nie zadławiłem - zepsułoby to cały efekt. Wcisnąłem funtowy banknot w rozlany alkohol i wyszedłem, patrząc przed siebie. Lee Konitz wszedł w "Jesień w Nowym Jorku"; będąc na schodach dosłyszałem, jak Ross przedmucha fajkę.

## 15

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego). Nudę rodzinnego życia i pracy ożywią rozmaite rozrywki).

Zazwyczaj ohydne londyńskie powietrze na Bury Street pachniało czystością. Ludzie pokroju Rossa zawsze dostarczali mi przykrych przeżyć. Jeśli się z nimi przyjaźniłem, nienawidziłem siebie; kiedy się z nimi kłóciłem, odczuwałem wyrzuty sumienia, że bawią mnie kłótnie.

Na Trafalgar Square słońce pieściło mieszane grupy turystów z torebkami pożywienia dla gołębi i aparatami fotograficznymi. Minałem obdartą parę ulicznych fotografów i przed National Gallery złapałem autobus do Goodge Street.

Kiedy wszedłem do biura, Alice pilnowała portali.

- Dzwonił Keightley - oznajmiła.

Gdyby zrobiła coś z włosami i z makijażem, byłaby całkiem interesująca. Weszła za mną do gabinetu Dalby'ego.

- Powiedziałam, że będzie pan o piątej w kinie Ministerstwa Obrony. Ma być tam coś bardzo interesującego.

Odpowiedziałem:- W porządku - i że notatki Rossa będą trochę później, więc niech się nimi zajmie. Odparła, że nie ma takich upoważnień, ale kiedy to przemilczałem, obiecała, że sprawdzi notatki i doda nasz materiał. Alice nie potrafiła ze mną rozmawiać, nie przekładając na moim biurku piór, ołówków i notatników. Ustawiała je w szereg, przyglądała się i temperowała każdy ołówek.

- Którego dnia wejdę i zobaczę moje przybory wyszorowane do białości.

Alice spojrzała na mnie z bolesnym wyrazem twarzy, z jakim zwykle przyjmowała ironię. Zastanawiało mnie, dlaczego mi nigdy nie powiedziała, że to najgorszy gatunek dowcipu. Parę razy spotkałem się z takim zdaniem.

- Słuchaj, Alice, pewnie z pani rozległą wiedzą na temat będącego do naszej dyspozycji personelu, potrafi pani zlokalizować odrobinę mrocznej zmysłowości i robić dla mnie te codzienne rzeczy. Chyba że pani nie pali się do mnie. Alice, czy jest tak?



Spojrzała na mnie wzrokiem typu "mówi dziad do obrazu". - Ja nie żartuję, Alice, każda ranga ma swoje przywileje. Nie wymagam zbyt wiele od życia, ale chciałbym mieć kogoś do robienia streszczeń raportów wywiadu, pilnowania mojego bilansu kalorii, cerowania dziur w spodniach.

Dla udowodnienia, że nie żartuję, wystukałem zapotrzebowania na "materiały wartości siedmiuset funtów lub ponad" i dopisałem odręcznie: "Personel pomocniczy. Asystentka tymczasowego dowódcy, jak ustalono. Pilne". Wręczyłem to Alice, która przeczytała pismo z nie zmienionym wyrazem twarzy. Wzięła kilka dokumentów i ruszyła w stronę drzwi. Odwróciła się do mnie i powiedziała:

- Proszę nie używać wojskowej terminologii w pismach o cywilnym charakterze i nie zostawiać nie zamkniętych szuflad.

- Alice, przekrzywiły się pani szwy - zauważyłem. Wyszła z pokoju.

Gdy się wchodzi do suterenu Ministerstwa Obrony, szaro-zieloną monotonię ścian ożywia wściekła czerwień prostokątnych bloków instalacji wentylacyjnej. Mijając narożnik przy podstawie schodów, natknąłem się na stojącego przed wejściem do kinowej sali ponurego Szkota, sierżanta żandarmerii. W rogu kina rozmawiali Carswell, Murray i Ross. Stał z nimi potężnie zbudowany cywil z zaczesanymi do tyłu ciemnymi włosami. Nosił krawat panczernej dywizji, a z górnej kieszonki wystawała mu trójkątna biała chustka. Miał nienaturalnie zaróżowioną twarz i często odchyłał do tyłu głowę, odsłaniając przy okazji piękne białe zęby. Bliżej ekranu wielkości chustki do nosa stał Chico, niespokojnie zerkając wokół, komu spletać figła i uśmieć się, by tym sposobem dowieść, że ma poczucie humoru. Rozmawiał ze szczupłym starszawym majorem, który miał na głowie pół tuzina artystycznie zaczesanych kosmyków. Jeśli zaprosili na projekcję majora, film mógł być warty obejrzenia.

Wyglądało na to, że pokazem kierował Ross; kiedy mnie zobaczył, uklonił się, jak gdybym nie widział go od paru tygodni. Zwrócił się do naszej dziesiątki (właśnie zjawili się dwaj ludzie Rossa):

- Nie ma o tym więcej informacji, przyjaciele, ale miło nam będzie, jeśli ktoś z panów coś rozpozna, chociażby lokalizację. - Wychylił się przez drzwi. - Wszyscy są. Teraz już nikogo nie wpuszczać.

- Tak jest, sir! - warknął sierżant.

- Och! - zwrócił się Ross do widowni. - Przykro mi, moi drodzy, ale nie palimy, tak jak w zeszłym tygodniu.

Zgasło światło i zaczęło się kręcić kilkaset stóp szesnastomilimetrowej taśmy z nie opracowanym niemym filmem.

Niektóre ujęcia były nieostre, inne niedoświetlone. Głównie ukazywały ludzi we wnętrzach. Byli to faceci od około trzydziestki do pięćdziesiątki. Wszyscy porządnie ubrani i w większości starannie ogoleni. Trudno było mieć pewność, czy byli filmowani za ich wiedzą, czy też nie.

Zapaliło się światło. Patrzyliśmy jeden na drugiego. Zapytałem Rossa.

- Skąd to się wzięło? To znaczy, o czym to jest?

- Prawdę mówiąc - powiedział Ross (Czekałem na kłamstwo). - Do tej pory nie jesteśmy całkiem pewni. Możliwe, że jeszcze coś dojdzie.

Gruby typ z zadowoleniem skinął głową. Każdy, kto uznał wyjaśnienie za wystarczające, mógł być zadowolony. Byłem pewny, że to człowiek Rossa, i miałem nadzieję, że Carswell i Murray nie będą niedyskretni. Nie chciałem się dołączać do idiotycznej gry płaszczka i szpady między wydziałami, ale w świetle ostatnich pociągnięć Rossa było jasne, że im mniej się mówi, tym lepiej.

- Są jeszcze pytania? - dodał, kiedy tylko zakończył odpowiedź na pierwsze.

Zapanowała cisza i ledwo powstrzymałem się przed oklaskami. Sympatyczny gruby portier pożegnał mnie:

- Do widzenia, sir.

Wyszedłem wyjściem od Horse Guard Avenue, kierując się w stronę Scotland Yardu, do Keightleya.

W holu podstarzały policjant mówił do słuchawki:

- Pokój 284? Halo, czy to 284? Szukam wózka z herbatą.

Dostrzegłem Keightleya na korytarzu. Zawsze wyszukiwał sobie miejsce między tymi wszystkimi policjantami. Gładkie włosy, blada pomarszczona twarz z piegami i białe wąsy na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie, że jest starszy niż w rzeczywistości. Nosił ciemne okulary w prostych oprawkach. Ułatwiały zsuwanie okularów do połowy twarzy, gdy miał coś powiedzieć czy pokazać, i osadzenie ich na nosie, gdy chciał podkreślić wagę tego, co mówi. Był perfekcyjny, jeśli chodzi o rozplanowanie czasu i wykonywanie zadań. Jeszcze nie widziałem, by się zblamował. W rękę trzymał blaszane pudełko szerokości około ośmiu cali.

- Myślę, że się pan z tym zgodzi okulary zsunęły mu się z nosa i spoglądał ponad nimi - że ta podróż warta była zachodu. - Okulary podjechały do góry, w szklach odbiły się drzwi. Zagrzechotał pudełkiem i zaprowadził mnie do swojego biura.

Nie było zbyt przestronne, jak większość biur w Scotland Yardzie. Zamknąłem za sobą drzwi, Keightley zaczął sprzątać z zajmującego większość pokoju biurka papiery, fiszki i mapy.

Nie wiadomo, skąd pojawiła się stara baba z filiżanką mulistej kawy na mokrej tacy. Powstrzymałem się, by nie powiedzieć, że ktoś ją wzywał przez telefon. Keightley wyjął przepaloną, starą fajkę i w końcu, gdy już przebrnęliśmy przez szczegóły brytyjskich spotkań, odchylił się od biurka i zaczął opowiadać.

- Dom, w którym straszysz - rozpoczął i uśmiechnął się, przeciągając ustnikiem fajki do wąsów. - Ci ludzie - Keightley zawsze tak mówił, mając na myśli policję stołeczną - wykonali dla pana kawał dobrej roboty. "Odciski palców". Zazwyczaj nasze kontrole sięgają wstecz pięć lat, z wyjątkiem morderstw i zdrady stanu; dla nich i dla pana zebraliśmy dokumenty z ostatnich osiemnastu lat. - Tu przerwał. - Ci ludzie sporządzili następnie specjalne wykazy dokumentów; wykazy "scen zbrodni", przedstawili kolekcję hinduskiego marynarza... - Keightley włożył do fajki zapalną i wciągnął policzki -... o ludziach skaczących ze statków i o świętokradczej kolekcji... - Znów przerwał... - Nigdzie nic nie było. Adwokacka wiedza. - Postukał wskazującym palcem. - Przeprowadziliśmy rutynowe badania. Stare plamy z krwi miały grupę "O", ale tę grupę ma czterdzieści dwa procent społeczeństwa.

- Keightley - przerwałem. - Pański czas jest cenny, mój także, ja to wszystko wiem. Niech mi pan tylko powie, czego dotyczyła ta wiadomość, którą pan wysłał.

- Procedury otoczenia domu. - Postukał palcem. Wiedziałem, że to nie było w porządku. Musiałem przez to wszystko przejść. Kazać Keightley'owi coś bezzwłocznie opowiedzieć to tak, jak próbować wyjąć z opakowania aspirynę bez rozdzierania celofanu. Dał mi cały materiał - wykopali go z głębokości osiemnastu cali ze swojego kuchennego ogrodu. Spisali znalezione książki, butle tlenowe, puszki z żywnością i skomplikowaną uprzęż zatopioną w zbiorniku.

- Pudełka z filmem wtedy nie znaleźliśmy, sir. Myślę, że nie było w ogóle schowane. Faktycznie, w pierwszej chwili myśleliśmy, że to być musi coś, co przywieźli ze sobą ci chłopcy od "adwokackiej wiedzy".

Do tego czasu już się zorientowałem, że to było pudełko, o którym mówił Keightley. Wyciągnąłem rękę w nadziei, że je do mnie przysunie. Ale szczęście nie przyszło. Keightley miał zniewolone audytorium i nie popuszczał.

- Skontrolowaliśmy cały ekwipunek i potem doszedłem do wniosku, że jeśli wynosili rzeczy do pędzących samochodów w wielkim pośpiechu - to niewątpliwie bardzo im się spieszyło. - Skinąłem głową. Keightley wstał, odgrywając dla mnie scenę. - Wychodząc z olbrzymimi naręczami materiału...

- Jakiego materiału? - zapytałem. Zainteresowała mnie wyobraźnia Keightleya; okazało się, że jest coś, co może przynieść pewną ulgę w takim dniu jak dziś.

- Ach! - Keightley przechylił na bok głowę i spojrział na mnie. - Ach! - powtórzył. Wyglądał jak kelner podający wino w Tour d'Agent poproszony o butelkę tizera. - To właśnie pan będzie musiał mi powiedzieć, o jaki materiał chodzi.

- Więc powiedzmy "okręty w butelkach".

- Okręty wojenne, sir?

- Tak, atomowe łodzie podwodne, morskie platformy rakietowe, statki przewożące coca-colę, barki z maszynami do drukowania magazynu Life, statki transportowe z wymiennymi filtrami myślących ludzi, tankowce psychologicznego zanikania i statki dostawcze z zamrożonymi orzechami.

- Tak, sir. - Keightley udawał, że zgasła mu fajka i przytknął do główki pudełko zapalek, by na nowo rozniecić jej iskrzący się żywot. Policzki wybrzuszały mu się i zapadały. Spojrzał na mnie z wątlwym uśmiechem: - Prawdopodobnie chce pan tego posłuchać. - Otworzył pudełko i wyjął szpulkę magnetofonowej taśmy.

- Proszę jednak pamiętać, sir, nie mówiłem, że pochodzą one od lokatorów.

- One? - bezczelnie zacząłem. - Ma pan ma myśli tę taśmę i film, który pan wysłał Rossowi do Ministerstwa Obrony?

To zmiądzżyło Keightleya. Proszę pamiętać, nie obwinałem go. Chciał po prostu wszystkich zadowolić; ale nie obwinać go i nie zapobiec tego rodzaju incydentom na przyszłość, to zupełnie inna sprawa. Nabiegłe krwią gałki oczne Keightley'a zaczęły się niespokojnie obracać. Siedzieliśmy ze trzy sekundy milcząc, wreszcie powiedziałem: - Słuchajcie Keightley, wydział Rossa jest całkowicie zmilitaryzowany. Cokolwiek dochodzi do pańskich uszu lub oczu i pachnie cywilem, przynależy do Dalby'ego, albo - w takiej sytuacji jak obecnie - do mnie, a gdy mnie nie ma, do Alice. Jeśli kiedykolwiek się dowiem, że przekazuje pan jakiegokolwiek informacje w nieupoważnione ręce, wyląduje pan, Keightley, w oficerskim kasynie w Adenie jako starszy szeregowy zajmujący się tamtejszymi tajnymi aktami. Chyba że wymyślę coś gorszego. Nie chcę powtarzać tej pogroźki, Keightley, ale nie wyobrażaj sobie pan, że nie będzie to wisieć nad pańskim łbem jak miecz Damoklesa. Teraz zobaczmy, co znaleźliście w ogrodzie. I przestań pan stukać tymi cholernymi koniuszkami palców.

Założył taśmę na olbrzymi szary magnetofon. Usłyszałem jakiś abstrakcyjny dźwięk. To było coś w rodzaju nagranego w Rowton House oratorium "Mesjasz", dochodzącego zza ściany i puszczonego na pół obrotów.

- Zwierzę, jarzyna czy minerał? - zapytałem.

- Ludzkie głosy, ci ludzie mówią.

Słuchałem okropnie brzmiącego falującego miauczenia, które przechodziło w bek, ryki, skowyczące wycie, i kiedy taśma doszła do sklejki, uznałem, że to było nie do wytrzymania. Skinąłem głową.

- To na nic mi się nie przyda, ale wezmę i pomyślę. - Może mi się spodoba.

Keightley dał mi szpulkę z taśmą, po czym w milczeniu mnie pożegnał.

## 16

Następnego dnia nie musiałem iść rano do biura. Autobusem numer jeden dotarłem do Charing Cross Road, a potem przeciąłem Sono. Chciałem kupić trochę kawy, bakłażany, rożki i kawałek czarnego chleba. Niezbyt mi się podobało, że dziewczyna w delikatesach wyskubała sobie brwi. Wyglądała na stale zdziwioną, prawdopodobnie klientką tego sklepu. Postanowiłem wypić kawę u Luderera. Kawa nie była tam nadzwyczajna, ale sernik znakomity, poza tym lubiłem tamtejszych gości.

W słoneczny poranek wewnątrz wydawało się mroczne. Kopnąłem kawałek podartego dywanu i rozsiadłem się w rozklekotanym krzeselku. W dwóch tygielkach kipiała kawa.

Dostałem swoją kawę. Odprężyłem się przy lekturze Daily Express. Pogłoska pochodząca z wiarygodnych źródeł mówiła, że dziewczyna pokazująca się co tydzień w serialu telewizyjnym, spodziewa się dziecka.

Zarabiający 570 funtów rocznie policjant został napadnięty przez nożowników przed kinem, w którym występował dziewiętnastoletni piosenkarz rockowy, biorący za koncert 600 funtów.

„Czy Jim Walker zagra w Surrey?” Obok tytułu zamieszczono fotografię Jima Walkera i sześćset słów. Nie mówiły, czy zagra, czy nie.

„Jest nadzieja, że będzie trwać słoneczna, ciepła pogoda. Rekordowe temperatury o tej porze roku w Atenach i Kolonii”.

„Brytyjskie maszyny elektryczne wciąż najlepsze na świecie” - twierdzili sprzedający je brytyjscy handlowcy. Odprawiłem cichą mszę za drzewa, które umarły na próżno.

Przesiedziałem tam ponad pół godziny. Palilem gauloisy, rozmyślając o Keightleyu i Rossie, a także o tym, w jaki sposób ktoś ode mnie sprytniejszy traktowałby Chico. Z całego zespołu tylko Murraya mogłem uważać za osobistego przyjaciela i tylko z nim utrzymywałem stosunki. Nie miał ani właściwego przygotowania, ani predyspozycji na detektywa. Pomyślałem o swoim biurku, gdzie jak zwykle powinno leżeć mnóstwo rupieci do czytania i parafowania, zanim się człowiek zabrał do ważniejszych spraw. Wizja tego biurka nie dawała mi spokoju.

Z rana najczęściej miałem przed sobą materiały z Waszyngtonu: Departament Obrony, dyrektor Operacji Specjalnych, kontrwywiad Armii Stanów Zjednoczonych. Raz w tygodniu otrzymywałem coś, co nazywano "streszczeniem" materiałów z "Ocen państwowych służb wywiadu". "Streszczenie" oznaczało, że dostawałem kopie tych dokumentów, które postanowili mi udostępnić.

Potem było sześć do ośmiu arkuszy papieru kancelaryjnego z tłumaczeniami fragmentów tekstów z "Prawdy", "Dziennika Ludowego" - organu chińskiego reżimu komunistycznego, "Czerwonego Sztandaru" - teoretycznego pisma Komitetu Centralnego chińskiej partii i trochę streszczeń z prasy jugosłowiańskiej, litewskiej lub węgierskiej.

Cały ten materiał zwałił się na mnie w ostatnich dniach. Postanowiłem go przejrzeć przy innej okazji. Był ciepły letni dzień, zakopcone liście okrywały zakopcone londyńskie drzewa, dziewczęta chodziły w lekkich sukienkach. Byłem odprężony i pogodny. Zamówiłem jeszcze jedną lurowatą kawę i pogrążyłem się w zadumie.

Weszła do Lederera i w moje życie jak członek królewskiej rodziny, ale bez tej całej wrzawy i zgiełku. Ciemnowłosa, opanowana i niebezpiecznie wyglądająca. Miała spięte do tyłu włosy i szeroko rozwarte źrenice, które przyzwyczajały się do nagłej zmiany światła.

Nie mrugnawszy okiem rozejrzała się, napotykać bezczelne spojrzenia klientów Lederera, a potem podeszła i usiadła przy moim stoliku. Zamówiła czarną kawę z rogalikiem. Miała twarz napiętą jak odlew azteckiej bogini. Wszystkiemu, co było w rysach jej twarzy nieruchome, zadawały kłam zamglone, ale bystre oczy, w których się tonęło bez specjalnego protestu. Grube, czarne włosy spięła w kok na czubku głowy. Niespiesznie popijała kawę.

Była ubrana w czarną suknię bez rękawów, suknię, jakie kobiety trzymają w rezerwie na koktaile, pogrzeby i noce poślubne. Miała kontrastujące z czernią materiału białe, szczupłe ramiona i wysmukłe ręce z krótko obciętymi paznokciami, polakierowanymi na naturalny kolor. Gdy zacząłem się w nią wpatrywać, wbiła w rogalik bielusieńkie zęby. Mogła być primabaleriną w Teatrze Bolszoi, pierwszą w Szwecji kobietą-kapitanem statku, sekretarką Czou-en-laja albo agentką prasową Sammy Davisa. Nie prostowała połyskujących włosów, używała szminki i często trzepotała rzęsami. Rozpoczęła sondującą rozmowę w angielskim stylu. Nazywała się Jean Tonnesen. Była moją nową asystentką.

Alice, stara przebiegła baba, dała podstępnie pani Tonnesen kartotekę z pilnymi materiałami, zawierającymi notatkę Chico, że wyjeżdża na jeden dzień i zadzwoni w porze picia herbaty. Mocno to mnie wkurzyło, ale nie chciałem zaczynać dnia od awantury.

- Może jeszcze kawy?

- Chętnie.

- Z jakiego wydziału pani do nas przyszła?

- Byłam już u Dalby'ego, ciemniżyłam terenowe biuro w Makao. - Musiała wyczytać z mojej twarzy, że się wewnętrznie załamuję. - Sądzę, że teraz już zapomnimy o powiedzeniu Dalby'ego, że pan nami kieruje.

- To nie będzie konieczne. On jest odkomenderowany tylko czasowo. W każdym razie tak mi ktoś mówił.

Sympatycznie się uśmiechnęła.

- To straszne wracać do Europy, nawet jeśli jest piękny, letni dzień. Pamiętam pewną restaurację w Makao. Dobudowano ją nad kasynem, w którym uprawiano hazard. Na podświetlonej tablicy ukazywały się wyniki gier z dołu. Kelnerki przyjmowały zakłady i pieniądze. Jadło się, a tablica podawała wyniki - bingo! Niestrawność!

Znów się uśmiechnęła potrząsając głową. Lubilem, kiedy uśmiechała się swoim jasnym uśmiechem. Traktowała mnie jak kogoś, kto gra rolę szefa, ale nie popadała w służalczość. Jak przez mgłę przypomniałem sobie, że była w Makao, to znaczy, pamiętałem jakieś pojedyncze dokumenty i raporty od niej.

- Przyniosłam kartę przeniesienia - poinformowała mnie.

- No to popatrzmy. - Zaczęłam uzupełniać własny wizerunek, który z grubszą naszkicowała Alice.

Chociaż kawiarnia nie była właściwym po temu miejscem, podsunęła mi bładozieloną kartę. Miała sześć na dziesięć cali. Była to ankieta personalna, jakich używa się w wielkich firmach handlowych, ale w miejscu na nazwisko i adres znajdowały się jedynie prostokątne dziurki rozstawione w nieregularnych odstępach. W ramkach poniżej wypisano dane. Urodzona dwadzieścia sześć lat temu w Kairze. Ojciec Norweg, matka Szkotka i brak dalszych informacji aż do momentu, kiedy w latach 1951-52 chodziła do szkoły w Zurichu i tam mieszkała, prawdopodobnie pracując w brytyjskiej służbie dyplomatycznej w Szwajcarii; to nie był pierwszy przypadek, że maszynistka z ambasady przychodziła do naszego wydziału. Jej brat ma obywatelstwo norweskie i pracuje w morskiej firmie transportowej w Jokohamie, skąd już niedaleko do Makao, gdzie pracowała dorywczo w biurze turystycznym z portugalskim personelem. Zna norweski, angielski, portugalski, niemiecki, francuski "bardzo dobrze w mowie i piśmie", "trochę mówi" po japońsku, chińsku i w dialekcie kantońskim. Stopień zaufania - GH7 "bez ograniczeń", co znaczy, że nic nie stoi na przeszkodzie, by otrzymała jeszcze wyższy, jeśli wydział sobie tego zażyczy.

- Nie ma tu nic o tym, czy umie pani szyć - zauważyłem.

- No nie.

- A umie pani?
- Tak.
- Także zacerować spodnie?
- Tak.
- Jest pani przyjęta.

Podziękowałam, oddając jej kartę przeniesienia. Było wspaniale. Wspaniała była ona, mój najpierwszy piękny szpieg, oczywiście stale zakładając, że to była karta Jean Tonnesen, i że to była właśnie Jean Tonnesen. Jeśli nawet to nie była ona, mimo wszystko była moim najpierwszym pięknym szpiegiem.

Włożyła kartę do jakiegoś zawiniątka w damskiej torebce.

- Co pani tam ma? Dwudziestodwumilimetrowy pistolet z perłową rączką i zadartym nosem?

- Nie, pistolet schowałam pod podwiązki. Tutaj mam raketnicę.

- OK. Chciałaby pani pójść na lunch?

W Londynie piękną i głodną dziewczynę trzeba pokazać w Terazza. Usiedliśmy na parterze od frontu pod plastikowymi winogronami, Mario podał campari z wodą sodową i wyznał Jean, jak mnie nie cierpi. Żeby to powiedzieć, musiał niemal wgrzyźć się w jej ucho. Jean za tym przepada.

Zamówiliśmy zupę z soczewicy i Jean powiedziała, że ta zupa przypomina jej pobyty z ojcem na Sycylii wiele lat temu. Mieli tam przyjaciół i co roku ich wizyty zbiegały się ze świętem San Giuseppe dziewiętnastego marca. Tego dnia najbogatsze rodziny przygotowywały dla całej wsi gigantyczne ilości jedzenia. Świętowanie zawsze się zaczynało od zupy z soczewicy i spaghetti, ale ponieważ w dniu świętego Józefa nie można jeść sera, kładziono na talerze przypieczone okruszyny chleba, zmieszane z sardynkami i koprem.

- Już nigdy potem nie czułam się tak wspaniale, jak w tamte słoneczne, upalne dni - rozmarzyła się Jean.

Zjedliśmy kałamarnicę i kurczaka, w którym przemyślnie ukryto masło z czosnkiem, by się do niego dokopywać jak do żyły aromatycznego złota. Jean, nic nie wspominając o kaloriach, zamówiła jeszcze naleśniki i małą czarną kawę. Podczas posiłku nie zapaliła papierosa. To jasno dowodziło, że musi mieć jakieś nałogi.

Mario, dochodząc do wniosku, że ulegam wielkiej i poważnej pokusie, przyniósł nam butelkę musującego asti "na koszt lokalu". Nalał i wypił z kieliszka Jean, po czym obrócił butelkę w rękę. Wycelował we mnie szyjkę:

- Dobre?



Z pewnością było dobre. Wino i Jean wprowadzili mnie w błogostan. Na obrus padały jasnymi pręgami słoneczne promienie, oświetlając jej uśmiechniętą twarz. W klarownym chłodzie wina w kieliszku obserwowałem jej odwrócone odbicie. Na zewnątrz kierowca półciężarówki klócił się z ponurym inspektorem ruchu. Gdy rzędy samochodów połączyły się w rzekę metalu, z taksówki wysiadło dwóch mężczyzn i po zapłaceniu poszli dalej piechotą. Przeszklona taksówka na moment odsłoniła widok, potem wozy ruszyły, zasłaniając wszystko jak migawka aparatu fotograficznego.

Jeden z mężczyzn miał sylwetkę Sójki, drugi nosił buty w stylu Dalby'ego. Nagle całkiem oprzytomniałem.

## 17

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego). Tydzień mieszanych uczuć. Skorzystaj z okazji i przygotuj się na zmianę planów).

Na szafce stał duży dzbanek z żółtymi stokrotkami, mój nowy dywan był starannie przyszpilony do próchniejącej podłogi i po raz pierwszy od wielu miesięcy miałem otwarte okno. Na ulicy dwóch młodzieńców atakowało bębenki uszne sąsiadów, podgazowując skutery. W biurze wysyłkowym grała orkiestra dęta z ksylofonem, wprawiającym w drgawki moje stokrotki. Alice najpierw wysłała dokądś Jean, a potem wręczyła mi prawdziwe dokumenty Jean Tonnesen. Gruba sterta luźnych kartek była opasana brązowym sznurkiem z metalową plombą, na której wybito numer.

Zazwyczaj tak zabezpieczano karty przeniesień, choć jeśli chodzi o naszych ludzi, nie było to regułą. W środku były papiery z Zurichu, sprawa faceta o nazwisku Maydew, który miał powiązania z Amerykańskim Departamentem Stanu. Autora notatki niepokoił brat Jean w Jokohamie, to znaczy jego działalność przeciwko broni nuklearnej, oświadczenia, listy do japońskich gazet itp., ale dziś to wszystko było czymś najzupełniej normalnym. W 1943 roku brata nie było w okupowanej przez Niemców Norwegii. Na ostatniej stronie przy słowie "Norwegia" widniał znak plus. To oznaczało, że Jean nie powinna zajmować się czymkolwiek, co mogłoby stawiać pod znakiem zapytania jej lojalność wobec norweskiego rządu i stanowiło rekomendację: może współpracować z Norwegami.

Wszystko było jasne.

- No wie pan, gdyby tak przyjrzeć się temu na końcu. Mógłby pan nowy zestaw cyfr...

- Obawiam się, że nie ma już na to czasu. - Jęknąłem.

Od dawna miałem już dość obecności Carswella, ale nie mogłem wykrzesać z siebie energii, by się go pozbyć. W każdym razie usuwając go, straciłbym Murraya, jedyne muskularnego inteligenta w wydziale, którego koniecznie chciałem zatrzymać.

Carswell podszedł bliżej i odkurzył zniszczoną poduszkę z aksamitu.

- Jak leci? - zapytałem kapitulując. Usiadł w wyplatany fotelu.

- Znakomicie, naprawdę znakomicie. Mnóstwo ćwiczeń na świeżym powietrzu, to cały sekret. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, proszę samemu spróbować. Przemęczyć się, przyjacielu. Rozumiem to, mam ciemno w oczach. - Przesunął palcem pod wytrzeszczonymi, czerwonymi gaikami.

Bezszelestnie otwierając drzwi weszła Alice, by zabrać dossier Jean. Powoli przyzwyczajałem się do własnego wydziału. Należące do mnie książki, notatki i nie zapłacone rachunki tak zagraciły ten jedyny, niegdyś wysprzątny do połysku pokój, że niemal całkowicie zapomniałem o jego schludności, gdy gospodarzył tu Dalby. Jednak Alice nie zapomniała, nieustannie porządkując dokumenty i chowając je w miejscu "gdzie trzymał to pan Dalby". Odnalazłem krzyżówkę, nad którą się głowiłem. Alice zdążyła już ją rozwiązać. Poprawiła mi dziesięć pionowo. To było EAT.

- Reumatyzm wcale nie jest taki zabawny - powiedział Carswell. DITHYRAMBE w ogóle nie pasował. Nie wiem, dlaczego w ogóle myślałem inaczej.

- Trzeba się nasmarować końską maścią - ciągnął Carswell - i do łóżka.

Chciałem, żeby w końcu przestał gadać i poszedł sobie do domu. W nerwowym skupieniu palił papierosa, porywczo wyjmując go z ust, ale nigdy na większą odległość niż trzy cale. Alice obserwowała go, gdy wycierał łokciami tapicerkę gościnnego krzesła. Podobnie jak ja zrozumiała, że gość usadowił się na dłużej. Wzniosła oczy do niebios, wyrażając mi współczucie. Udawałem, że nie dokończyłem jeszcze krzyżówki. W tym samym momencie Chico przyciskał guzik A Zadzwoń telefon z miasta. Jednocześnie zaczęliśmy mówić.

- Skąd dzwoniisz? Tak, gdzie teraz jesteś? Do diabła, co robisz w Grantham?

- Powiem mu to, sir. Dzisiaj trzeba wysłać zapotrzebowanie na filmy, a on nic z tym nie zrobił.

- No dobrze, ale nie masz nic do załatwienia w Grantham. Kto ci podpisał polecenie wyjazdu? Och, naprawdę? No tak, nie myśl sobie, że wliczysz to w wydatki.

- Murray - ciągnął uparcie Carswell. - Dziarski kawalerzysta, o czym - proszę zwrócić uwagę - nic pan nie wie. Ja to doceniam.

Niesłuchanie dokładny w pracy, ostrożny w wyciąganiu wniosków. Istotą statystycznych operacji jest dokładność.

- Jak sobie wyobrażasz moją rolę w tym dramacie swojego życia?

- Tak, sir, ja wiem, szefie, ale kiedy zobaczyłem...

- W porządku, Chico, to w porządku, ale tylko tym razem. Taki jestem, ja, twój bezpośredni dowódca. Ale nie przejmujesz się tym, prawda? Czy gdyby Dalby jeszcze tu szefował, też mógłbyś tak niczego nie owijać w bawełnę, co?

- Widziałem się z Dałbym, sir, rozmawiałem z nim. Wieczorem też się mam z nim zobaczyć.

Carswell rozłożył na moim biurku kilka arkuszy.

- Te liczby są jedynie krótkim wyciągiem, nie chcę zadręczać pana drobiazgami. Zawsze pan powtarza, że potrzebne są wyniki, a nie wymówki. Jeśli mają być przekonujące, czeka nas mnóstwo pracy. To znaczy: rzeczywiście przekonujące. Na obecnym etapie jest to raczej analityczny domysł.

- Nie miałeś żadnej sprawy do Dalby'ego, żeby się z nim spotykać.

- Nie powinno się mówić "dowódca" podczas rozmowy, która może być na podsłuchu.

- Alice, niech się pani nie wtrąca.

- Analityczny domysł, ale jednak domysł.

- Nie masz żadnych spraw do załatwiania za moimi plecami. To nieprzyzwoite i niezgodne z wojskowym regulaminem.

- Nie powinien pan wspominać o wojsku, linia może być na podsłuchu. On korzysta ze zwykłego połączenia.

Carswell ciągle mówił.

- Zawsze mówię, drogi przyjacielu, że interpretacja wyników wymaga wprawy. Trzeba mieć wyćwiczony umysł. Wiem, że czasami traktuje pan niektóre nasze zachcianki jak dziwactwa. Och, wiem. Tymczasem nie, nie, nie; wie pan, jest pan człowiekiem czynu. Tak samo Pater, dokładnie tak samo.

- Rozpoznałem tego faceta, sir. Na filmie w Ministerstwie Obrony, sir. Przyjaciel kuzynów, sir, i bardzo znakomity chemik. Naprawdę, sir. Wieczorem znów się spotkam z Dałbym. On uważa, że powinienem tu zostać kilka dni. Dalby mówił, żeby nikomu o tym nie wspominać, ale wiem, że pan się zastanawiał, gdzie jestem, i to zapotrzebowanie na filmy. Nie skończyłem tego.

Carswell składał swoje arkusze statystyczne i pakował do sznurowanych teczek.

- Murray zbierze cały materiał związany z akcją, będzie dzwonił i popychał sprawę do przodu. Ale chciałbym mieć pańską zgodę na to, żeby mógł mówić, że jest ze specjalnego wydziału policji stołecznej. Miałem zamiar przyjść do pana w zeszłym tygodniu, ale Murray powiedział, iż bez kilku początkowych cyfr nie ma w ogóle całej sprawy. Będziemy musieli skontrolować szpitale, domy opieki, sanatoria, także domy dla czubków - stary przyjacielu - jeśli są naukowcami. Ha, ha! Ale to jest przekonujące, muszę to podkreślić.

Niezależnie od tego, o czym miał dalej mówić Carswell, pomyślałem o domach czubków. W tym czasie Chico paplał:

- Czy mogę do pana zadzwonić jutro, po rozmowie z Dałbym?

- Wróciła Jean - odezwała się Alice, próbując schować jej poufne dossier pod fiołkowo-różowym swetrem z błękitnymi guzikami.

- Witam, moja droga.

- Nie, proszę się nie rozłączać, jeszcze nie skończyłem!

- Alice, mam kłopot. Powiedzieli, że to nie będzie gotowe do rana.

- Proszę usiąść na moim krześle, nie jest bardzo wygodne, ale...

- Wyraźnie powiedzieli: czwarta trzydzieści. Zawsze to samo. Im więcej daje się im czasu, tym bardziej są nieodpowiedzialni.

- Sir, ten przyjaciel mych kuzynów, to gwiazdor wśród speców od wojny chemicznej. Jeśli z nim porozmawiam, czegoś się dowiem.

- Dziękuję, siedziałam tam przez cały dzień.

- Jak do tego doszło, że spotkała się pani z Dałbym?

- Dałby pojawił się tu po ogłoszeniu w Stage.

- No dobrze, ale dlaczego mi pani o tym nie powiedziała, Alice?

- Naprawdę, raczej postoję.

- Nie, mówiłem do Alice. Jak doszło do spotkania z Dałbym?

- Oczywiście, nie mogę powiedzieć Murrayowi, żeby dyskretnie robił swoje. Nie można wyprowadzać z równowagi stróżów prawa.

- Jean, czy powiedzieli, o której godzinie jutro rano?

- Zupełnie przypadkowo. W okropnej dziurze. Tam, gdzie zazwyczaj spotyka się z panem.

- Nigdy w życiu nie byłem w Grantham, nawet nie wychodziłem tam z pociągu na peron. - To mnie cieszy, drogi przyjacielu. Kiedy będzie pan stary, słońce ogrzeje panu kości.

- Niech pan mu przypomni o środkach ostrożności. Tylko on zrozumie konieczność ich zachowywania.

- Nie. Gdybym chciała usiąść, jest tu krzesło. Naprawdę.
- Proszę jaśniej. Gdzie się z panią spotyka. To znaczy, co powiedział.
- Jeśli pan chce, przejrzę z panem wszystkie wyniki. Jestem pewny, że zrobi to na panu wrażenie. Trzeba to szeroko rozłożyć.
- Nie, jestem trzeźwy jak sędzia.
- Czy mogę poczekać? Już dochodzi piąta trzydzieści.
- To ja, sir. Nie, sir. Pan wie, że prawie nigdy nie piję, sir.
- W porządku - powiedziałem do słuchawki. - Lubię cię, Chico. Zadzwoń jutro o tej porze. Spełnię do tego czasu twoje żądania, jeśli teraz zabiorę się do roboty.

Dla podtrzymania reputacji naszego wydziału potrzebny był inny wariacki plan Carswella i więcej filmów. Ale krótka rozmowa z Chico tak mnie wyczerpała, że zabrakło mi argumentów. Wyraziłem zgodę na to, o co Carswell prosił, w nadziei, że Murray jest na tyle inteligentny, by się trzymać od tego z daleka. Wyszedł, powłócząc nogami i zabierając brązową teczkę z danymi statystycznymi. Była środa. O dziesiątej trzydzieści skończyłem pisać zapotrzebowanie na filmy, potem wypłem drinka u Fitzroya i wróciłem do biura zadzwonić po wóz. Wynajmowaliśmy kilka taksówek. Nie rzucały się w oczy i ich przyciemnione szyby ułatwiały obserwację. Kiedy przeszedłem na drugą stronę ulicy, już na mnie czekała. Wydawało się nieprawdopodobne, by Alice lub Jean mogły przewidzieć, jak długo będę dziś pracował. Zajrzałem do wozu, ale był pusty.

Kiedy doszedłem na najwyższe piętro, pod drzwiami mego biura dostrzegłem światło. Przed wyjściem przekręciłem kontakt. Podeszedłem bliżej. W środku ktoś przewracał papiery na moim biurku. Dosłyszałem dwa głosy, jeden dochodził z ulicy. Przy mojej głowie delikatnie tykał zegar. Z biurka Alice wzięłem dużą metalową linijkę i podświadomie zacząłem pocierać bliznę po upadku w sali gier. Wolno nacisnąłem mosiężną klamkę, by nie wydała żadnego dźwięku. Kopnąłem drzwi i trzymając za głowę linijkę, rzuciłem się na kolana.

Dalby powiedział: - Halo! - i nalał mi drinka. Tweedowy garnitur przybysza był mocno wyświechtany. Na tle czerwonego od neonu nieba rysował się szary cień naręcza stokrotek od Jean. Dalby siadł za biurkiem, na którym leżały oświetlone górnym światłem stosy papierów. Światło uwydatniało ciemne, głęboko osadzone oczy i nerwowe ruchy, przeczące jego powolnej naturze. Zdałem sobie sprawę, że go zaskoczyłem, wpadając jak bomba do środka. Nawet nie zdążył na to zareagować. Nagle się okazało, że mam do niego mnóstwo pytań. Ciągle nurtowała mnie myśl, czy jednak nie zwrócić się do Rossa i powiedzieć, że bardzo nam zależy na materiałach "Gumhurii". Nalał mi whisky, bardzo tego potrzebowałem, bo

miałem dreszcze. Trzymałem szklankę w obu rękach i z wdzięcznością w oczach sączyłem łyk po łyku. Oczy Dalby'ego, jakby wracając z długiej podróży, wolno skupiały się na najbliższym otoczeniu. W milczeniu wpatrywaliśmy się w siebie ze dwie minuty, wreszcie zapytał niskim głosem:

- Widział pan kiedy wybuch bomby?

Już miałem gotowy cały zestaw pytań do niego, a tu on wprawiał mnie w zakłopotanie, zadając własne. Pokręciłem głową.

- To teraz pan zobaczy. Minister prosił nas, byśmy uczestniczyli w następnej amerykańskiej próbie. Departament Obrony Stanów Zjednoczonych twierdzi, że ma sposób na zablokowanie sejsmografów, mają zamiar zakłócić Rosjanom odbiór sygnałów. Powiedziałem Amerykanom, że mamy kartoteki brytyjskich naukowców, którzy tam są.

- Niektórych z nich - uzupełniłem. - Jeśli założymy, że Carswell w ogóle zabierze się do roboty, będziemy mieć kartoteki osiemnastu Brytyjczyków z ogólnej liczby pięćdziesięciu, wśród których jest jedenastu laborantów.

- Tak - ożywił się Dalby. - Alice powiedziała mi, co zamierzaliście robić razem z Carswellem. Może pan z tego zrezygnować i przy okazji pozbyć się Carswella razem z jego sierżantem. Teraz jest nas za dużo.

Przygniótł mnie ciężar pomocy, z jaką spieszył Dalby. Nie było go przez parę miesięcy i wraca w środku nocy, żeby zacząć wszystko krytykować.

- Ten próbny wybuch jest we wtorek. Pojadę tam sam. A pan, jeśli chce, może wziąć ze sobą asystentkę.

Zastanawiałem się, czy wie cokolwiek o Jean, i czy mam jeszcze prawo mieć asystentkę, jeśli Dalby wrócił na dobre.

- Czy ma jechać z nami Chico?

- Tak, proszę się z nim skontaktować telefonicznie. Załatwi bilety i paszporty.

- Jest kwadrans po jedenastej. Gdzie go teraz mogę złapać?

- Czyja wiem? Kto był tu od kilku tygodni szefem? Ma pan jego numer, prawda? Od dawna go nie widziałem.

- Jest w Grantham - wyszeptałem słabym głosem.

- Kto go tam wysłał? I po co?

Nie wiedziałem, dlaczego Dalby udaje Greka, ale nie chciałem teraz tego zdradzać.

- Mieliśmy do wysłania dokumenty, a nie było odpowiedniego kuriera. Wróci chyba jutro.

- Och, zostawmy go. To może załatwić Alice.

Skinąłem głową, ale po raz pierwszy zacząłem podejrzewać, że dzieje się coś dziwnego. Do tego momentu miałem spuszczoną głowę.

Nazajutrz miałem do załatwienia pewną prywatną sprawę, która mi zajmowała godzinę raz na dwa miesiące. Z miejsca w pobliżu Leicester Square zabrałem brunatną kopertę, sprawdziłem jej zawartość i wysłałem pod ten sam adres, skąd ją wziąłem.

## 18

(Wodnik (20 stycznia - 19 lutego). Powstanie możliwość zainteresowania się czymś zupełnie nowym, ale nie zapominaj o starych przyjaźniach. Przed zakochanymi otwierają się wstrząsające perspektywy).

Atol Tokwe jest garstką okruszyn na błękitnym obrusie. Każda wyspa ma zielone zatoki, opierające się szmaragdowi wód Pacyfiku, które rozbijają się z wściekłością o rafy i tworzą spienione wiry wokół zatopionego w 1944 roku wraku. Otwarte usta wyjściowego otworu statku gapią się na porozrzucane na wyspie zapory z kolczastego drutu. Tu i ówdzie widać rdzewiejące czołgi i pojazdy gąsienicowe, wpatrujące się w niebo wyszarpanymi przez pociski otworami.

Zeszliśmy w dół i zaczęliśmy zbierać z piasku pudełka z amunicją. Olbrzymi helikopter, który zabrał na z lotniskowca, gdzie jeszcze przed godziną piliśmy zimny sok pomarańczowy i jedli kukurydziane płatki, przeleciał nisko na wodą i usiadł na betonowym pasie "polowego laboratorium". Przed dziesięcioma tygodniami w ogóle go nie było. Kiedy wyszliśmy z helikoptera - ruszył w naszym kierunku biały jeep. Czterej żandarmi Sił Lotniczych Stanów Zjednoczonych byli ubrani w szorty (szorty na Amerykanach zawsze wyglądają fatalnie) i rozchełstane koszule khaki z białymi naramiennikami i bandoletami. Na lewej kieszeni koszuli nosili skórzane identyfikatory w nazwiskami.

„Polowe laboratorium” zajmowało całą wyspę, jedną ze stu tworzących atol. W dziewięćdziesiąt dni Amerykanie wybudowali tutaj lądowisko dla samolotów z pilotem i bez, dwa boiska, dwa kina, kaplicę, sklepy z ubraniami, kluby dla oficerów i upoważnionych osób, bibliotekę, sklepy dla hobbystów. Nie zapomnieli też o kwaterach dla dowództwa, hangarach remontowych, kasynie, aptece, centrali telefonicznej, poczcie, nowoczesnej pralni i elektrowni. Byłbym zapomniał o molo. Przy jakiejś okazji poinformowano nas, że istnieje tu dziewięćdziesiąt drużyn baseballowych, które grały w dziesięciu ligach. Centrala telefoniczna łączyła codziennie ponad sześć tysięcy rozmów. Jedno kasyno wydawało dziesięć tysięcy posiłków w ciągu doby. Rozgłośnia radiowa - podobnie jak komunikacja, którą zapewniały autobusy - pracowała całą dobę bez przerwy. Życzyłbym sobie, żeby podobnie działało się w

Londynie. Dalby, Jean i ja przypięliśmy plastikowe identyfikatory z nazwiskami i fotografiami. Na każdej plakietce była nadrukowana duża litera "Q". Dawało nam to wstęp do tajnego laboratorium.

Pierwsze kilka godzin na wyspie spędziliśmy oglądając teren. Oprawdzał nas major ze zdumiewającą pomiecia do faktów i cyfr. Wyjaśnił nam, że bomba, która miała być wkrótce eksplodowana, jest "ułamkową próbną bombą".

- Kiedy uran osiągnie masę krytyczną, wybucha. Ale kiedy się zwiększy jego gęstość, tę samą siłę wybuchu można osiągnąć z mniejszej ilości. Wybuchowy materiał umieszcza się zatem wokół małej kuli U-235 lub plutonu. Oznacza to, że potrzebna jest jedynie część masy krytycznej, stąd nazwa "ułamkowa próbna bomba".

Major popatrzył na swoją widownię, jakby się spodziewał aplauzu, i dalej wyjaśniał metody, dzięki którym można się było obejść bez trytu i bez chłodzenia, i tym samym łatwiej - a także taniej - wyprodukować bombę. Nie nadażalem za jego "ułamkowymi próbami", ale nikt z nas nie odważył się przerwać wyjaśnień.

Poleciliśmy na wyspę, gdzie miała się odbyć detonacja. Cały teren był zarzucony połyskującymi w tropikalnym słońcu maszynami, które nam wskazywał przewodnik. Był niskim, krępy męczyzną w okularach bez oprawek i z sinym podbródkiem, co go upodobało do Humpty'ego Dumpty'ego w białej podkładce pod hełm z literą "Q". Zresztą wszyscy podobnie wyglądaliśmy. Oglądaliśmy fotokomórki, powiększalniki, komory jonizujące i spektografy. W centrum tej piaszczystej areny, w otoczeniu maszyn i tuzina obsługi, w boskim splendorze stała wieża. Była pomalowana na czerwono i miała dwieście stóp wysokości. Wokół jej podstawy umieszczono ogromne napisy NIEBEZPIECZEŃSTWO, a pod nimi, z nie całkiem typowym dla Amerykanów umiarkowaniem, wypisano "Materiały wybuchowe". W tropikach słońce zachodzi i gaśnie jak flesz. Było już nisko, gdy szliśmy korytarzami głównego bloku numer trzy. To miała być już trzecia konferencja tego dnia i we wnętrzościach przelewała mi się, jak dokumenty w aktówce, zimna woda. Dotarliśmy na miejsce przed rozpoczęciem, więc, stojąc w grupkach, gadaliśmy sobie o regenerowanych oponach, działalności Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli, czy na przykład, gdzie można świetnie się rozwieść. Spotkałem wielu znajomych z wywiadu Marynarki Wojennej i Departamentu Stanu, z rozmaitych wydziałów służb wywiadowczych Amerykańskiej Armii. W rogu stało trzech ostrzyżonych na jeża młodzieńców z FBI, pariasa wywiadowczych organizacji Stanów Zjednoczonych.

Pod światło, sączące się spomiędzy żaluzji, dostrzegłem dwóch pułkowników z wydziału finansowego CIA. Byli grubszy od pozostałych, mieli bardziej przeredzone włosy i



dłuższe pasy na brzuchach. "Skip" Handerson dosłużył się już majora, zresztą już dawno zauważyłem, że był jednym z najinteligentniejszych pracowników wywiadu, jakich znałem. Ale nie było z nim asystenta, porucznika Barney'a Barnes'a. Barney i Skip byli ludźmi, którzy potrafili słuchać innych i wmawiać ci, że jesteś geniuszem, tak że po paru godzinach sam zaczynałeś w to wierzyć. "Skip" powitał mnie podnosząc rękę. Dalby odbywał pojedynek na popychanie się palcami z pułkownikiem Donahue. Jean grzebała wśród stenogramów i ołówków, żeby je oddzielić od szminki, odżywki do skóry i ołówków do brwi. Zanim chyłkiem zdążyłem dotrzeć do "Skipa", przewodniczący Battersby, król logistyki wywiadu USA, głośno chrząknął. Czuł, że stracił sporo czasu między naszym spóźnionym przybyciem i uruchomieniem silników, więc już oszczędził nam zakłopotania. Cała nasza czternastka usiadła za długim stołem, przed każdym leżało kilka kartek papieru, pióro Zippi Speedball, karnecik zapalek z reklamy jakiejś firmy i czysta szklanka. Cztery plastikowe dzbanki z zimną wodą stały na środku stołu. Czekaliśmy, żeby Battersby wykopał piłkę.

- No dobrze, mieliśmy ciężki dzień, więc... powiedzmy, nie będziemy sprowadzać nikogo z zewnątrz, żeby nam zainstalował te roztrajdane wentylatory, prawda?

Ktoś prześlizgnął się do drzwi i poszeptał ze stojącym na zewnątrz żandarmem. Zza drzwi wysunęła się biała podkładka pod hełm. Chciał się widocznie przekonać, czy rzeczywiście istnieje pomieszczenie pełne ludzi, ale bez wentylatorów. Dostrzegł go Battersby.

- Synku, przynieś kilka wentylatorów, dobrze? - zagrział i odwrócił się do nas. - Spróbujmy się porozumieć. Myślę, że wszyscy już się znają. - To był sygnał dla wszystkich zdrowych, starannie wymytych Amerykanów, by uprzejmie zaprezentowali Jean trzydzieści dwa zęby. Odruchowo poprawiłem na sobie nylonową koszulę, która zwinęła się w kłębek pod pachami.

Malutki oficer informacyjny, który pokazywał nam urządzenia, podszedł do tablicy i narysował koło, a w środku napisał "uran 235 (lub pluton)". Postukał kredą w tablicę.

- Jeśli zbombardujecie to ładunkiem uranu 235, to otrzymacie rozszczepienie w drodze samoistnej reakcji. - Po prawej stronie tablicy napisał "16 lipca 1945". - Na tej samej zasadzie działa bomba "szczuplak". - Pod pierwszą datą major dopisał: "Hiroszima, 6 sierpnia 1945". - To bomba "gruby chłopak", która zniszczyła Nagasaki. - Dopisał datę 9 sierpnia i narysował drugie koło. - Ta - pogrubiał zarys koła kredą - jest z plutonu z pustym jądrem i działa na zasadzie implozji. To znaczy, że po umieszczeniu jej w czymś, co powoduje eksplozję, wybucha do wnętrza jak balon. - W pogrubionym kole napisał "masa krytyczna". - Masa krytyczna, rozumiecie? - Napisał "28/29 sierpnia 1949" i odwrócił się do nas. - Nie

mamy pewności, co do dokładnej daty. - "Mogę się założyć, że zna ją Ross" - pomyślałem, dumny z tego powodu w jego imieniu\*.<sup>9</sup>[ / Patrz Dodatek: Zadanie pierwsze, str. 215]

Major ciągnął dalej: - Wydaje się, że właśnie taką bombę eksplodowali Czerwoni w 1949 roku. A teraz przechodzimy do eksplozji w Eniwetok. - Pod słupkiem dat dopisał "1 listopada 1952".

Narysował na tablicy jeszcze jedno koło i w środku napisał "deuter". - Nazywany również "ciężkim wodorem" - dodał, akcentując słowo "wodór". Przy tym kole dorysował dwa nowe, wpisując w środek trzeciego "tryton". - Nosi także nazwę "superciężkiego wodoru" - wyjaśnił, stukając w tablicę. - Co się teraz dzieje w trakcie eksplozji? Oba ze sobą się mieszają. To jest bomba, w której powstaje reakcja łańcuchowa między wodorem ciężkim i superciężkim. Podgrzewa się je poprzez wyzwolenie czego? - Odwrócił się, by napisać odpowiedź w środkowym kole. - Nadsuperciężki wodór - podpowiedział pułkownik. Humty Dumpty odwrócił się i parsknął śmiechem, ale nie chciałbym być kapitanem, który by tak żartował.

Major narysował linię łączącą wcześniejszy diagram z kołem środkowym. - Układem wyzwalającym reakcję jest bomba atomowa, działająca na zasadzie mechanizmu rozszczepiająco - fuzyjnego. W większych bombach stosujemy obecnie inne materiały. Uran 235 jest kosztowny, uran 238 tańszy, ale wyzwolenie reakcji przy jego użyciu wymaga o wiele więcej przygotowań. Układ wyzwalający otacza się warstwą 238. - Narysował diagram. - Ale przy okazji tworzy się pył radioaktywny i wyzwala olbrzymia energia. Teraz widzą panowie te wszystkie bomby, łącznie z eksplozją bomby H Czerwonych... - Dopisał do zestawu dat "12 sierpnia 1953" -...Wszystkie miały prymitywne mechanizmy bomby A i nazywano je bombami rozszczepiająco-fuzyjno-rozszczepiającymi. W porządku? - Major ciął powietrze kredą jak student medycyny swoim pierwszym termometrem. - A teraz zajmiemy się naszą małą eksplozją tutaj, na Tokwe. Mamy standardową bombę 238, ale tutaj - postukał w środek niewidocznego kola - jest zupełnie nowy układ wyzwalający. Jedyńm jego zadaniem jest wytworzenie ekstremalnych temperatur. W porządku? Założmy, że dla uzyskania temperatury powodującej eksplozję bomby zastosujemy duży ładunek trotylu... Otrzymamy wówczas to, co się nazywa "kruszącym materiałem wybuchowym wywołującym reakcję fuzyji". Nie udało się jej jednak wywołać ani nam, ani nikomu innemu, jest to chyba w ogóle niemożliwe. Wszystkie małe kraje dysponują pracującymi nad tym zagadnieniem laboratoriami, i gdyby to im się udało, powstałoby dziesiątki tuzinów bomb... A więc, co tu mamy? - Popukał w nie zapisany fragment tablicy. - Powiem panom. Nic. - Przerwał, a my odczuwaliśmy stosowne do sytuacji zaskoczenie. - No, nie. Nie mamy niczego we wnętrzu

bomby, ale mamy coś tutaj. - Na skraju tablicy narysował mały prostokąt (ten chłopak umiał narysować dosłownie wszystko). W prostokąt wpisał skrót SVMF. - Tutaj jest Super Volt Micro Flash, tak zwany SUVOM, który na milionową część sekundy wytwarza napięcie wystarczające do wyzwolenia mechanizmu. Jak panowie widzą, ta energia jest skierowana do wnętrza bomby. - Skrzypiąc kredą narysował pępowinę łączącą bombę z mechanizmem. - Bez mechanizmu wyzwalającego bomby A nie będzie opadów radioaktywnych. To będzie pierwsza absolutnie czysta bomba. W porządku? - Major wziął nowy kawałek kredy i zerknął na mój zegarek. Było dziesięć po szóstej. - Co do mocy - ciągnął dalej. - Jakiej mocy jest nasza bomba? Jest to bomba pięćdziesięciomegatonowa\*.

.[ W przybliżeniu dwa i pół tysiąca razy silniejsza od bomby, która wybuchła w Hiroszimie.]

Jeśli chodzi o zasięg zniszczenia, jest to bomba, która mogłaby zmieść z powierzchni ziemi całe duże miasto, a "szczuplak" wygląda przy niej jak niewypał. Spodziewamy się zniszczeń drugiego stopnia, to znaczy zniknięcia wszystkich palnych obiektów oraz ciężkich uszkodzeń metalu i cegły w promieniu trzydziestu pięciu mil.

Ktoś z drugiego końca stołu powiedział:

- Chyba chodzi o średnicę. Humpty Dumpty odparował:

- Nie, o promień! - Rozległo się ciche gwizdnięcie. Przypuszczam, że oficer mówiący o średnicy był poproszony o wydanie tego gwizdu, ale to chyba wszystko jedno. Major gwał dalej. - Biorąc pod uwagę obszar, oznacza to, że wybuch bomby w Bernlillo powoduje zniszczenie drugiego stopnia aż do Santa Fé i Los Lunas (miasta w Nowym Meksyku, który chyba każdy zna ze spędzonych tam urlopów). Rozległy się okrzyki. - Albo weźmy inny przykład: od Sacramento do Reedwood City, w tym także Sheraton Pałace. - To był taki żart majora i nawet ktoś zachichotał. Prelegentowi wykład podobał się coraz bardziej: - Specjalnie dla naszych gości może przytoczę jeszcze inny, pomocny przykład. Pomyślmy o zniszczeniu drugiego stopnia od Southend po Reading. - Spojrzał na mnie, a ja na to:

- Jeśli nie robi to panu różnicy, myślę o obszarze od Santa Fé do Los Lunas.

Mały major uśmiechnął się i rzekł:

- Tak, drogi panie, dla tej dzieciny wybraliśmy atol o kolosalnych rozmiarach. Nie dla czystej przyjemności dojeżdżamy stąd codziennie na wyspę-poligon. W porządku?

Mruknałem, że i owszem.

Następnie podniósł się z krzesła Battersby, a mały major zebrał notatki, zapalił cygaro za 25 centów i usiadł. W tym czasie porucznik żandarmerii przy pomocy małej sprężarki rozpylał wodę na tablicy z zamiarem dokładnego jej wytarcia. Inni oficerowie mówili o metodach oceniania mocy i miejsca eksplozji, o tym, w jaki sposób mają zamiar zakłócić

pracę rosyjskiego radaru rejestrującego zmiany ładunków elektrycznych w jonosferze i odczyty barometrów, wskazujących siłę podmuchu i natężenie dźwięku fali powstającej przy eksplozji. Przedstawili także mikrobarografy i sygnały radiowe, odbierane w trakcie uwalniania się energii w czasie wybuchu. Wykluczano w tym przypadku standardowy i najpewniejszy system analizy pozostałości opadu, wykrywający pierwiastki składowe bomby, ponieważ miała to być bomba "czysta".

Battersby przedstawił nam strukturę konstrukcji zabezpieczających i rozmieszczenie dowództwa, a także podał datę prawdopodobnego odpalenia i zaprezentował kilka pięknych diagramów. Potem zebranie podzieliło się na podzebrania. Wyszedłem za "Skipem" Handersonem, porucznikiem Dolobowskim i Jean, a Dalby udał się na tajną naradę z zastępcą Battersby'ego. "Skip" wspomniał, że możemy pójść do jego kwatery, gdzie funkcjonują wentylatory i można znaleźć butelkę scotcha. Przy drugim końcu stołu kilku nadgorliwców niszczyło swoje notatki z odprawy, podpalając je podarowanymi zapalkami.

Skip miał wygodną melinę w tej części obozu, która podchodziła najbliżej do morza. W metalowej szafie wisiały mundury gospodarza, stary wentylator w oknie nadmuchiwał chłodne powietrze. Na stole leżało kilka książek: gramatyka języka niemieckiego, "Trial by Ordeal" Carlyla Chessmana, dwa westerny w miękkich okładkach, "Instalacja pieców centralnego ogrzewania - przewodnik" i "Antologia sprośnych dowcipów". Na okiennym parapecie stała butelka szkockiej whisky, dzin, szklanka z tuzinem ostro zatemperowanych ołówków i elektryczna golarka.

Przez okno zobaczyłem ponad milę plaży z jednej strony i prawie pół mili z drugiej. Plaża była wszędzie zarzucona rumowiskami, w morze wybiegało kruche moło. Słońce było posępną, czerwoną kulą ognia, taką samą, jaką chcieliśmy stworzyć na wieży, kilka mil stąd na północ.

Skip nalał każdemu do pełna whisky white label i nawet pamiętał, że piję bez lodu.

- A więc to tak. Ty i ta młoda dama postanowiliście na koszt rządu złapać trochę słońca? - Cekał na moją odpowiedź.

Odpowiedziałem:- Mam w ręku tyle nie wykrytych przestępstw, że stałem się ekspertem w tej dziedzinie. Jeśli ktoś nie może dać sobie rady z tego rodzaju sprawą, zaraz przysyłają go do mnie.

- I rozwiązujesz problem?

- Nie, składam do akt.

Skip dolał mi i patrząc na niskiego czarnookiego porucznika, zauważył:

- Mam nadzieję, że dla oszczędności macie na tę podróż rodzinne dokumenty. - Usiadł na łóżku i otworzył aktówkę. Zauważyłem, że miała wewnątrz metalową okładzinę. - Nikt wam nie może przedstawić całościowego obrazu, bo sami jeszcze go nie mamy. Ale stoimy w miejscu. Materiał, który zwraca nam WS 192 jest słowo w słowo tym samym materiałem, który umieszczamy w naszej dokumentacji. Słowo w słowo. Światu nie są ogłaszane zawczasu odkrycia naszych laboratoriów.

CIA do numeracji pokoiów dodaje przedrostek informujący o tym, w którym skrzydle gmachu mieści się dane biuro. Pokój 192 we wschodnim skrzydle (WS) jest w istocie szeregiem pomieszczeń, gdzie gromadzi się informacje uzyskane od obcych rządów. Interesy ubijają jedynie z agentami, którzy zdobywają materiały z najbardziej wiarygodnych przecieków, dostępne zagranicznym funkcjonariuszom najwyższego szczebla. Z pewnością tą właśnie drogą byłoby najlepiej sprawdzić źródła przecieku amerykańskich informacji na zewnątrz.

- To z laboratoriów? A więc to informacja ściśle naukowa? Skip zacisnął palcami nozdrza.

- W tej chwili wygląda, że tak.

Jean poprawiła się w plecionym krześle. Była spokojna i opanowana, ale - co już wcześniej spostrzegłem - wyglądała trochę głupio. Oznaczało to, że utrwała w pamięci przebieg naszej rozmowy. Teraz powoli się ożywiła.

- Powiedział pan "w tej chwili". Zakładam, że ilość tych materiałów się zwiększa. Jak szybko?

- Zwiększa się i to w takim tempie, że niepokoi to cały nasz wydział. Czy to pani wystarczy? - Było to pytanie retoryczne.

Jean nie ustępowała.

- Kiedy zaczął pan podejrzewać po raz pierwszy, że jest to przeciek wielostronny? I czy rzeczywiście jest taki?

- Wielostronny? Powiedziałbym, że jest wielostronnie wielostronny. Biorąc pod uwagę zakres tematów, jest tak rozległy, że nie ma uczelni czy laboratorium, które nie miałyby do niego dostępu.

Czarnooki Dolobowski poszedł po lód z zamrażarki. Skip wydobyl karton papierosów i zaczął namawiać Jean, żeby zapaliła lucky strike'a. Zapalił, podał ogień Jean, a czarnooki rozdał nam lód z whisky.

- Pierwsze przecieki - zadumał się Skip. - No, tak. Dolobowski usiadł na krześle i w tym momencie jasno sobie uzmysłowiłem, że ma jakąś władzę nad Skipem. I dlatego wcale

się nie odzywał, gdy czarnooki wychodził z pokoju. Był tu, by dopilnować, żebyśmy wyjechali z wyspy z Jean jedynie z tymi informacjami, które chcieli nam ujawnić. Nikogo za to nie winiłem, w końcu i my nie zwierzałyśmy się Amerykanom, że mieszkamy takie same problemy. Faktycznie, Bóg jeden wie, jaką bajkę o żelaznym wilku musiał wymyślić Dalby, żeby dawać sobie tutaj radę. Skip wpatrywał się w przestrzeń i delikatnie dmuchał w zar papierosa.

- Z tymi międzynarodowymi konferencjami są trudności - zdecydował się odpowiedzieć czarnooki. Jego niski głos dochodził jakby z oddalenia. - Wszyscy naukowcy posługują się podobnym żargonem, a odkrycia chodzą parami. Wydaje się, że rozległy front przecieków pojawił się przed ośmioma miesiącami. Przedtem, owszem, zdarzały się tu i ówdzie dziwne sprawy, ale teraz obejmuje to cały program naukowy, nawet cywilny, nie wojskowy.

Widocznie ten nie wojskowy kawałek ranił szczególnie. Był poniżej pasa.

Pomyślałem, że nie miałbym nic przeciwko temu, żeby to był mały kawałek, i że chyba już pójdę, spotkamy się innym razem. Odparowaliśmy kilka pytań o przecieki w Anglii, by ich przekonać do naszej niewiedzy o tym, co się zdarzyło. To nie było zresztą trudne. Skip odprowadził nas do białego płotu przed domem w taki sam sposób, w jaki troskliwe wojsko zapewniało mu poczucie, że nigdy nie opuścił New Jersey. Następnego dnia wracał do Stanów Zjednoczonych, więc przekazałem mu pozdrowienia dla Barney'a. Przyrzekł, że je przekaże i wcisnął mi całą kupę papierosów. Uścisnęliśmy sobie dłonie i pozostał w mojej pamięci jako facet oszczędzający na fryzjerze i dysponujący zapasem anegdot, z których mógłby wyżyć każdy barman w mieście. Pamiętam, jak ze starym aparatem fotograficznym zatrzymywał każdą ładniejszą dziewczynę, mówiąc że jest z tygodnika Life i jak wierzył, że nie wezmą go za prostaka, gdy nie przedstawiony odzywał się do nich. Fotografie robił tym starym gruchotem: - I teraz wyrafinowane ujęcie na wypadek, gdybyśmy robili okładkę w tym tygodniu. - Nie sądzę, by Skip nawet wiedział, jak się zakłada film. Za to każdy dobrze wiedział, że zawsze mógł się pośmiać i służyć paroma dolarami.

- Przykro mi, że nie miałem sherry - odezwał się Skip. - Wiem, że nie pijecie whisky przed obiadem. - Kopnął piasek szpicem zrobionego na włoskim kopycie, cywilnego buta. Domyśliłem się, że Skip wie, iż przypuszczam, kim jest ciemnooki.

Podaliśmy mu obie ręce i - jak kiedyś to robiliśmy w żartach - potrząsnąłem naszymi splecionymi dłońmi.

- W porządku, Skip. Kiedy znajdziesz się w Londynie, czeka na ciebie nie tylko nasz zapas alkoholu. Wiesz? - Trochę się rozchmurzył i kiedy zęgnął Jean, nie uszedł mojej uwagi jego stary sposób na podryw.

Zapadał zmierzch. W wypalonych przez słońce, obdrapanych palmach niepokoiły się ptaki, fale zalewały kamienistą plażę i wygładzając kamyki wsiąkały w piasek. Słońce opuszczało nas, udając się do Indii. Piasek miał kolor czerwony, niebo fiołkowo-różowy. We włosach pięknej Jean był wiatr, jej dłoń w mojej.

W oddaleniu pół mili słychać było grającą szafę w klubie oficerskim.

Chłopak z zaróżowioną twarzą i w białej marynarce znalazł nam w rogu stolik przykryty kraciastym obrusem. Było słychać starego Ellingtona, którego z pomrukującej cicho szafy wybrał jakiś wiekowy miłośnik jazzu. Świeca w butelce po chianti migocącym płomieniem oświetlała twarz Jean, a ja się zastanawiałem, ile amerykańskich klubów oficerskich we Francji może mieć taki sam wystrój jak ten. Na zewnątrz była jasna, ciepła noc.

- Polubiłam tego Skipa. - Dla kobiet męskie przyjaźnie są czymś, czego się boją i czemu się dziwią. - Wygląda na trochę zamkniętego w sobie, chociaż...

- Powiedz dalej. Dokończ.

- Nie wiem, co chciałam rzeczywiście powiedzieć.

- Wiesz, więc powiedz. Nie musimy się krępować mówić tego, co się myśli. - Płomień świecy odchylił się od twarzy Jean. Oboje obróciliśmy wzrok, by zobaczyć, jak Dalby zapala od płomienia cygaro. Głęboko się zaciągnął. Był ubrany w czerwoną haitańską koszulę w niebiesko-żółte kwiaty, lekkie spodnie i spostrzegłem, że niedawno się golił. Dalby miał talent do takiego przebierania się, że trudno było go odróżnić do Amerykanów noszących podobne ciuchy.

- Występuje pan w stroju tubylców - zauważyłem.

Zanim się odezwał, przeciągnął palcami po cygarze i ostrożnie odłożył je do popielniczki. Zasygnalizował w ten sposób, że ma ochotę się przysiąść. Jego bzikiem były symboliczne gesty. Przestał się rozglądać i całą uwagę skierował na nas.

- Czy na pewno nie przeszkadzam? - zapytał, siadając obok Jean.

- Jean ma zamiar przekazać mi swoją opinię o Skipie Handersonie.

- Chętnie posłucham - wyznał, uważnie studiując menu. Ścierpła mi skóra. Dalby, by skoncentrować wzrok na jakimś przedmiocie lub kawałku papieru, zazwyczaj wywracał oczami jak joga. Podobny zwyczaj miała zresztą Jean. Zastanowiłem się, czy ja robię to samo, i czy Rossowi udało się zainteresować go dokumentami.

- No więc, wyglądał na przestraszonego. - Spojrzałem na Dalby'ego. Wbił oczy w jeden punkt menu. Słuchał.

Od sąsiedniego stolika doszedł mnie głos jakiegoś Amerykanina. - Żołnierzu, powiedziałem, że to osobisty bagaż mojej żony, więc rusz tyłek do przechowalni...

- Przestraszony? Sądzisz, że się mnie przestraszył? - Zawsze w obecności Dalby'ego miałem wrażenie, że się wplątuje w idiotyczną dyskusję. Miałem nadzieję, że Jean ją przerwie. W końcu nic nie wiedziała o Handersonie. O tym, że Handerson znalazł się w Korei i tam dał się ująć tylko po to, by zbierać informacje o kolaboracji w obozach jenieckich. Że wrócił do Waszyngtonu z trzema ranami od bagnetu, gruźlicą płuc i dossier, które nieźle dopiekło wielu bezczelnym byłym jeńcom na gorących ławach sądu wojennego. Skip został kapitanem dużo później, niż mu się to należało. Przyjaciele więźniów mieli przyjaciół. Ale żeby był przestraszony? Skip? On, który jako jedyny w CIA miał asystenta Murzyna, Barney'a Barnes'a i trzymał go mimo rozmaitych sprzeciwów? Ona po prostu nie miała pojęcia, jaki jest Skip. Ten łagodnie się uśmiechający Skip. Przeszło dwadzieścia lat i w końcu zrobili go majorem, odkomenderowując majora do nasłuchiwania nocnych koszmarów.

- Nie - powiedziała Jean. - I nie miałam także na myśli tego, że się boi swego nieszkodliwego policjanta. Nie chciałam powiedzieć, że się boi czegokolwiek. Patrzył na ciebie, jakby chciał cię oszczędzić, dobrze zapamiętać, jak wyglądasz. To prawie jak ostatnie spojrzenie.

- A więc myśli pan, że on był... że Skipa pilnował facet z twardą ręką - zwróciłem się do Dalby'ego. - Czy pański człowiek też ma taką obstawę, czy też miał taką pozycję, że można było mu zaufać?

Nie podnosząc wzroku znad menu, Dalby powiedział:

- Nie sądzę, by z powodu Handersona należało popadać w paranoję. W swoim czasie narobił mnóstwo głupstw. Oni się martwią tą sytuacją i wedle mnie ten policjant Handersona jest z nim za jego zgodą, a może nawet w ogóle był to jego pomysł. Nie chcą rozgłaszać zbyt wiele sprawy i właśnie w taki sposób stopują informacje bez obrażania starych kumpli.

- Oczywiście, już widzę Mc Cone'a leżącego bezsennie przez całą noc i zamartwiającego się, czy nie zerwałem ze Skipem starej przyjaźni.

- Och, świetnie to rozumiem - wtrąciła Jean. - Warto się trochę potrudzić, by zobaczyć, że nie zrywa się cennych kontaktów, bo podtrzymują je małe zmartwienia.

- Jakoś stale nie jestem do tego przekonany. Skip nie miałby żadnych oporów, żeby przerwać przepytwanie. Nigdy w życiu nie miał trudności z powiedzeniem "nie".



- Co prawda, to prawda - potwierdził ironicznie Dalby. - Gdyby był bardziej oszczędny w wygłaszaniu owego "nie", dzisiaj byłby generałem.

Nie byłem pewny, czy to miało oznaczać, że Dalby odpowiedział jednoznacznym "tak" na ofertę Rossa dotyczącą dokumentów z "Gumhurii". Usiłowałem uchwycić spojrzenie Dalby'ego, ale jakby chcąc uniknąć potwierdzenia mego domysłu, nawet nie mrugnął okiem. Skupił się bez reszty na przywoływaniu kelnera, i to z pozytywnym skutkiem.

- No, kochani, w porządku, co ma być? - Muskularny wojskowy kelner delikatnie oparł ręce na blacie stołu. - Mamy dziś w menu niezłą garkuchnię; jest świeża sałatka z homarów, wszystko mrożone i przyplęnęło ze Stanów. W porządku, trzy steki wołowe, to znaczy jeden na pół surowy, dwa średnio wysmażone. Od czego chcecie zacząć? Jest collins, rob roy, likier miętowy, a może specjalność baru - manhattan project albo tokwe twist?

- Nie bujasz mnie? - zapytałem.

- Nie, sir - odpowiedział kelner. - Są dwa naprawdę świetne drinki i mamy jeszcze jeden, nazywa się "zielony grzbiet"\* [ / Szczegóły-patrz Dodatek, str. 217] i jeszcze jeden...

- Dość tych komplikacji współczesnego życia - przerwał mu Dalby. - Zamówimy po prostu dzin z tym wermutem, który - o ile pamiętam - nazywa się martini.

Kelner przepchnął się przez tłum i zapalił papierosa. Wibracja samolotu przelatującego nad głównym pasem świadczyła, że wiatr obrócił się na południowy wschód. Jedna czy dwie kobiety w oficerskich mundurach nie dawały się namówić do tańca, wreszcie po dłuższej przerwie kilka cywilnych sekretarek rozpoczęło łaskawie wykonywać powolne, wirujące ruchy.

Rozległ się głośny śmiech, a kelner umiejętnie wykorzystywał łokcie, by chronić nasze martini. Dalby obróciwszy nieznacznie krzesło, niby przypadkowo obserwował lokal. Kelner ciężko postawił olbrzymie szklanki; zielone oliwki obracały się jak oczy. - Chcielibyście zapłacić za drinki?

Trzymałem otwarty portfel i sięgnąłem palcami po dolarowe banknoty.

- Jeden dwadzieścia pięć. - Kiedy mu płaciłem, palce dotknęły plastikowej krawędzi karty ubezpieczeniowej.

Popijałem drinka z lodem. Mimo klimatyzacji w klubie robiło się gorąco. Tańczyło już więcej par, a ja obserwowałem brunetkę w półprzezroczystej szyfonowej sukni. Wykładała mi rzeczy, o których nie śniło się Arthurowi Murray'owi. Partner był o kilka cali od niej niższy. Kiedy się pochylila, by usłyszeć, co mówił, w tłumie dostrzegłem Barney'a Barnesesa.

Z rozmowy ze Skipem wywnioskowałem, że Barney był jeszcze w Stanach, a poza tym nie był to człowiek, którego można było nie zauważyć na małej wyspie. Ucichła muzyka i pary zaczęły się rozchodzić. Barney trzymał damską torebkę, a towarzysząca mu dziewczyna zdejmowała czerwono-złoty jedwabny żakiet. Chłopak z zaróżowioną twarzą przełożył żakiet przez rękę i wskazał obojgu stolik pod wymalowaną na ścianie olbrzymią mapą z pulchnymi cherubinami dmącymi w złote galeony.

- Barney Barnes, przyjaciel Skipa Handersona, muszę się z nim zobaczyć.

Jean podniosła pięknie pomalowane brwi i spojrzała na mnie ponad krwędzią emaliowanej puderniczki z wyciśniętym w złocie rysunkiem grobowca Tutenchamona.

Chociaż nie zauważyłem, by bodaj raz spojrzał w tamtą stronę, Dalby zauważył:

- Porucznik w mundurze siedzi pod Australią.

- Nie miałam pojęcia, że jest Murzynem - powiedziała Jean. - Oczywiście ma pan na myśli tego wysokiego Murzyna z włosami na jeża. Tego, który siedzi z kapitanem od statystyki?

„Statystyka” - pomyślałem. Strasznie dużo na tym atolu statystyków ze Stanów Zjednoczonych. Zacząłem się zastanawiać, czy nie maczał w tym palców Carswell.

- Znasz ją? - zapytałem Jean.

- W zeszłym roku kręciła się przy ambasadzie w Tokio i chodziła tam na prawie wszystkie przyjęcia. Ale, przede wszystkim, ma wkrótce wyjść za mąż.

- Zamówić ci mleko na spodku?

- Ale to prawda, i jeśli jesteś przyjacielem Barney'a Barnes'a, powinieneś mu o tym powiedzieć.

- Słuchaj, Jeannie, Barney przez tyle lat dawał sobie radę bez mojej pomocy, daj więc spokój jego przyjaciółce.

- Kiedy wreszcie będzie ten stek? - Do rozmowy włączył się Dalby.

- Hej tam, niech pan wraca do śmiertelników - zawołałem. - Myślałem, że pozwolimy panu wrócić na rozkaz generała Skipa Handersona.

- Tamten następny stolik zwolnił się już dwa razy, a my ciągle siedzimy i pijemy okropny dżin destylowany w baraku przez jakiegoś skąpego kaprala.

- Przestań się podniecać - uspokajała mnie Jean. Po służbie wracała do roli kobiety dominującej, ale nie przestawała być zsubordynowana. - Wiesz, że gdybyśmy chcieli stąd nagle wyjść, trzeba by się kłócić z kelnerem, że ten alkohol nie jest takim trunkiem, jaki zazwyczaj pijasz w swoim pałacu.

- Niech mnie diabli, jeśli kiedykolwiek natknąłem się na bardziej zjadliwą parę.

- Niech pan nie mówi "zjadliwa" w hawajskiej koszuli - odciąłem się Dalby'emu.

- A zwłaszcza, posługując się ustami w dziewięćdziesięciu procentach zajętyymi przez dwudziestopięciocentowe cygaro - dodała Jean.

- Ale póki kelner ma trudności z oswojeniem krów, podskoczę na słówko do Barney'a.

- Niech pan siedzi na miejscu. Zanim cokolwiek zjem, już całkiem zamrze życie towarzyskie. - Dobrze znałem Dalby'ego i z brzmienia głosu mogłem odczytać jego nastrój.

Żeby zrobić mu przyjemność, należało słuchać i współczuć mu. Byle drobiazg mógł mu zepsuć cały dzień i wtedy trzeba było stawać na palcach, żeby to naprawić. Według Dalby'ego, powinienem być teraz w kuchni i pilnować, żeby do jego sałaty dali ocet z najlepiej sfermentowanego wina. To nie wymaga zbytniego wysiłku, żeby gładko załatwić pracodawcy jakąś sprawę. Kilka "tak, proszę pana", kiedy wiesz, że to nie zobowiązuje cię przecież do końca życia. Kilka słów wątpliwości na temat tego, co doskonaliłeś przez całe życie. Zapomnieć o wykorzystaniu informacji, które podważają jego pośpiesznie sformułowane, ale wygodne dla ciebie teorie. To wszystko nie wymaga zbytniego wysiłku, ale stanowi około 98,5 procenta więcej, niż mógłbym ewentualnie z siebie dać.

- Za chwileczkę wracam. - Przeprosiłem i precyzyjnie się obok zaczerwienionego pułkownika, który mówił do kelnera: - Powiedzcie szefowi, że ta młoda dama twierdzi, iż sery camembert są niedojrzałe, i wie, co mówi. Tak jest. I jeśli płacę rachunek, nie mam zamiaru dłużej dyskutować...

Nie obejrzałem się za siebie, ale wyobraziłem sobie, że Jean stara się jakoś udobruchać Dalby'ego.

Jeden kraniec restauracji zajmował bar. Niskie oświetlenie prześwietlało ciasne rzędy butelek z trunkami, które się odbijały w ścianie z luster. "Paryski wystrój" przy drugim końcu baru składał się z dużych ekspresów do parzenia kawy, sygnalizujących "brak pary". Za barem, między butelki powtykano ozdobne drewniane tabliczki z wypisanymi na nich dowcipami. Pod jedną, na której widniał napis: "Pluj na sufit. Na podłogę może napluć każdy idiota", stała grupka facetów w mundurach lotników. Opalony na brąz młody pilot pokazywał na kontuarze sztuczkę ze szklanką wody i pięćdziesięcioma zapałkami. Domyśliłem się, że sztuczka polegała na rozdzieleniu wody i zapałek wśród nie całkiem nieświadomych tego kolegów. Przyspieszyłem kroku. Właśnie Barney zapalał blondynce papierosa. Przeciąłem taneczny parkiet wielkości chusteczki do nosa. Wielka szafa grająca jarzyła się, dym zaczęły rozpraszać pierwsze takty cza-czy. Ruszył w moją stronę ze śmiechem spocony grubas w hawajskiej koszuli, boksując pięściami w takt muzyki. Kluczając i nurkując między ludźmi,

przedzierałem się do przodu. Z bliska można było dostrzec, że Barney mocno się postarzał od czasu, kiedy go widziałem ostatni raz. Trochę wytarł mu się jeź na czubku głowy.

Wypatrzywszy mnie z oddalenia, Barney szeroko się uśmiechnął. Zaczął coś szybko mówić do blondynki, która potakiwała głową. Uśmiechnąłem się do siebie, gdy pomyślałem, że rozszyfrowałem już Barneyowskie: - Jeżeli ktoś zapyta - jesteś moją asystentką - pracowaliśmy do późna - i teraz omawiamy ostatnie szczegóły.

Byłem na tyle Anglikiem, że trudno mi przychodziło mówienie miłych rzeczy ludziom, których rzeczywiście lubię, a ja naprawdę lubiłem Barney'a.

Blondynka Barney'a pochyliła się do przodu, przybliżając twarz do serwety, jak gdyby grzebała wskazującym palcem w bucie. Z mocno spiętych na karku włosów zwiślał jej niesforny kosmyk. Barney patrzył na mnie z niepokojem.

- Kochać bladą twarz - odezwał się.

- Czerwony człowiek mówić rozwidlonym językiem.

- Co dobrego, chłopcze? - Niebieskawobrazową twarz rozjaśnił mu uśmiech. Na szorstkiej koszuli od munduru nosił insygnia porucznika wojsk inżynieryjnych, a na białym plastikowym identyfikatorze widniały dwie fotografie, spod których zwiślała sięgająca do kieszeni koszuli różowa litera "Q". Według identyfikatora był to porucznik Lee Montgomery z "Sił"... dalej już nie mogłem odczytać. Barney wstał i nagle poczułem się przy tej masie karzełkiem.

- Właśnie już zjedliśmy, człowieku. - Pod popielniczkę włożył banknot. - Musimy już lecieć, wyrwaliśmy się tylko na moment, orka od świtu do nocy.

Kelner pomagał blondynce założyć jedwabny żakiet. Barney nerwowo obchodził stół, podciągając krawat i wycierając dłonie w nogawki spodni.

- Parę dni temu spotkałem twojego kumpla z Kanady. Trochę pogadaliśmy, ile to forsy zostawiało się w tym barze przy King Street w Toronto. Przypomniał mi tę piosenkę, którą zawsze śpiewałeś, kiedy byłeś wstawiony.

- Nat?

- No tak - zgodził się Barney. - Nat Goodrich. Czeka, co to za piosenka, jak idą słowa? Zaczynaj, o, już wiem!: "Jak dobrze nam zdobywać góry..."

Kilka razy powtórzyłem: - Pewnie, że dobrze - a on wesoło trajkotał: - Może się wkrótce spotkamy. Co to piliśmy w tym barze blisko ambasady? Pamiętasz tę benedyktynekę robioną według starych recept, ochrzciłeś ją  $E=mc^2$ ? Och, człowieku, ale zdradliwa. Ale dziś, kochany, nie mogę, nawet na chwileczkę. Jutro odpływam. Naprawdę, muszę już iść.

Blondynka przysłuchiwała się wyraźnie znudzona, aż wreszcie zaczęła się niecierpliwić. Pewnie była głodna. Nagle zza baru dobiegł nas śmiech. Domyśliłem się, że to jeden z pilotów odbierał w nagrodę szklankę wody. Był to jedyny mój trafny domysł tego dnia pełnego zagadek, ponieważ mniej prawdopodobne od tego, że piłem benedyktynekę, było tylko to, że śpiewałem. I w życiu nie byłem w Toronto, nie znalazłem żadnego Nata, i nie sądzę, żeby Barney znał jakiegokolwiek Goodricha.

## 19

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego). Ludzie, z którymi pracujesz, niewłaściwie rozumieją twoje zamiary, ale się nie martw. Zachowaj pogodę ducha).

Od rozpalonego piasku bił żar. Czerwone ukośne belki, tworzące szkielet wieży, pokrywały pęcherzykami nieostrożne ręce. Wijące się u podstawy wieży czarne gładkie kable i pofałdowane rury spoczywały obok siebie jak węże w skrzynce chińskiego aptekarza. W odległości pięćdziesięciu jardów otaczał wieżę wysoki na dwadzieścia stóp płot elektryczny, przy którym stali policjanci w białych hełmach, trzymający na krótkich smyczach alzackie psy. Przy bramie zatrzymał się biały jeep-amfibia, spod plandeki wystawała lufa półcalowego karabinu maszynowego. Kierowca zacisnął ręce wysoko na kole kierownicy, opierając podbródek na zewnętrznej stronie kciuka. Miał pod hełmem podkładkę w czarno-żółte paski, co oznaczało, że dysponuje zezwoleniem "Q". Wyglądał jak Danny Kaye.

W oddaleniu pół mili dostrzegłem na piaszczystej równinie małe, migoczące postaci regulujące automatyczne kamery, które przy tym dystansie mogły przetrwać jedynie dzięki jakiejś nedoróbce. Na dół wieży zjechała trzyosobowa winda, łagodnie podskakując na sprężynowym amortyzatorze. Moim przewodnikiem był przypominający jaszczurkę cywil z twardymi, zrogowaciałymi dłońmi, takąż twarzą i niesamowicie błękitnymi oczami. Na białej koszuli miał cery, jakie może robić tylko zakochana żona, i jakich nie sposób uniknąć przy kiepskich zarobkach. Na wewnętrznej stronie jednej ręki miał wytatuowaną kotwicę, z której środka wymazano jakieś imię. W złotym sygnecie odbijały się przez gęsty zarost palca słoneczne promienie.

- Mam tu licznik z rtęcią. - Postukałem w starą skórzaną teczkę. - Lepiej nie zbliżać się do zimnej skrzynki. - Spojrzałem w górę, dwie czy trzy platformy nad nami, gdzie biegly liczniejsze i grubsze niż na dole rury. Wskazałem niezdecydowanym gestem. - Może zareagować komora mroząca. - Ponownie zadarłem głowę, a on odczytał na moim identyfikatorze "Vickers Armstrong Engineering". Skinął głową bez większego wzruszenia.

- Proszę nie pozwalać nikomu tego dotykać.

Znów skinął głową, a ja otworzyłem okratowane drzwi windy i wszedłem do środka. Pociągnąłem rączkę i gdy silnik przewycięzał własną bezwładność, staliśmy nieruchomo, patrząc jeden na drugiego. - W minutę - powiedziałem, żeby nie stać bez słowa. Skinął mi z namysłem białą głową, jak niedorozwiniętemu dziecku lub cudzoziemcowi, i winda popłynęła do góry. Czerwone belki kroily biały, gorący piasek w kształty jak u Mondriana, przesuwały się przede mną coraz szybciej, w miarę tego, jak winda nabierała szybkości. Gdy stalowa naoliwiona lina przesuwała się obok mnie w dół, okratowany strop windy dzielił ciemnobłękitne niebo na prostokąty. Na platformy mogłem zerknąć dopiero wtedy, gdy znalazły się pod moimi stopami. Wzniosłem się na wysokość dwustu stóp, pode mną rozpościerał się, jak porzucony hula-hoop, krąg płotu. Przez szczeliny w podłodze obserwowałem białego jeepa żandarmerii, leniwie okrążającego wieżę. Koła samochodu orały piasek, który na skutek eksplozji już wkrótce miał się zamienić w szkło.

Nagle silnik zamilkł, a ja, odbijając się, zawisłem w powietrzu jak papuga wykonująca skok w klatce. Odsunąłem w bok zastawkę i wyszedłem na najwyższą platformę. Z tej wysokości było widać całą wyspę. Od południowej strony wyraźnie zarysowane pasy startowe lotniska dziwnie kontrastowały z nieregularnymi kształtami naturalnego krajobrazu. Z lotniska startował B52. Ciężar paliwa na długi, transoceaniczny lot zmuszał maszynę do przewycięzania siły ziemskiego przyciągania. Wśród fal oceanu huśtały się jak jabłka małe skaliste wyspy. Skomplikowana maszyna pod moimi stopami wpadała w gorączkowy szal. Stałem na szczycie czegoś, z czego wynikało wszystko inne: atol i miasto kosztujące wiele miliardów dolarów, wykwit technicznych osiągnięć XX wieku i główna przyczyna animozji na obu półkulach, a także to, że pracownika supermarketu w Leeds nie było stać na trzeci samochód, a rolnika w Szechwanie na trzecią miskę ryżu.

Z tych wszystkich powodów wieżę nazywano "góram", a ponieważ tak ją nazywano, wcale się nie dziwiłem, że na jej szczycie znalazłem Barney'a.

Był ubrany w biały, lekki kombinezon. Na naramiennikach miał dystynkcje starszego sierżanta, a w ręku 32-milimetrowy pistolet z tłumikiem. Tak się złożyło, że pistolet był wycelowany we mnie.

- Lepiej mieć pewność, blada twarzy - odezwał się.

- To już było, Sambo. Teraz odpuść sobie to całe przedstawienie i powiedz, o co chodzi.

- O ciebie.

- Miły jesteś.

- Nie wygłupiaj się, bo nadstawiam karku i łatwo mogę sobie go złamać. Kiedyś znaliśmy się nieźle, ale ludzie się zmieniają i muszę wiedzieć, czy ty też się zmieniłeś.

- Chyba tak.

Zapadła długa cisza. Nie miałem pojęcia, o czym Barney mówił i o co mu chodziło. Wymyśliłem coś:

- Budzisz się pewnego ranka i stwierdzasz, że wszyscy twoi starzy przyjaciele się zmienili. Stali się ludźmi, którym jeszcze niedawno pogardzałeś z wzajemnością. Zaczynasz więc martwić się o samego siebie.

- Tak - przerwał mi Barney. - I przestają się kłopotać o to, by zapobiec wspólnej szarpaninie.

- Ja nie przestałem.

- To dlatego, że nie wiesz, kiedy ponosisz klęskę.

- Możliwe, ale ja nie przywabiam ludzi do mordowni, żeby im to udowodnić. - Nawet się nie uśmiechnął. Żart chyba mi się nie udał.

- A więc zmieniłem się i jestem dziwakiem. Posłuchaj, biały człowieku, czy wiesz, co jest najgorętszym towarem na tej wyspie?

- A nie stoję na nim?

- Chyba, że staniesz na własnym grzbiecie. Tym towarem jesteś ty sam. Jesteś nie tylko opluskwiony, ale i pokrojony, i zapeklowany. "Przyjaciele"\* \*[ / Wydział V Wywiadu Wojskowego.] dyskretnie nam przekazali, że odszedłeś. Czy rzeczywiście odchodziłeś, nawet na krótko? Czy już odłożyłeś na dachę wyplątę z góry za jakiś stary materiał, który już znali? Powiedz.

- Powiedzieć ci? Powiedzieć? A więc przyjaciele rzucają mnie na drugi koniec świata, żebyś mnie namierzył na platformie tej bomby? Ale nim to się stanie, mam ci powiedzieć? Czyś ty naprawdę zwariował?

- Ja zwariowałem? A może jednak ty? Któryś z nas z pewnością, ale też możliwe, że obaj okazemy się sprytniejsi niż ci wokół nas. - Gorąca twarz Barney'a była o trzy cale od mojej. W chłodzie napiętej ciszy zatrzymał się czas. Świadomość fotografowała łagodny plusk fali i Danny Kaye'a, daleko pode mną odkładającego hełm i wycierającego białą chusteczką brwi. - Jeśli ktoś się dowie, że rozmawiałem z tobą, to już po mnie. Dlaczego sobie wyobrażasz, że przyczepili do Skipa tę kreaturę jak wrzód do tyłka, i że do mnie pali się ta krowiasta blondynka? Zbliżając się do ciebie, smaruję prowadnicę do kostnicy.

- Więc dlaczego nie dajesz składki na mój pogrzeb?

- Nie wiem. Prawdopodobnie dlatego, że kiedy w tym biznesie oceniasz ludzi, szybko stajesz się egoistą.

- Dziękuję ci. - To do mnie przemawiało. Staliśmy, wpatrując się w siebie, w końcu Barney podszedł do dźwigu i wcisnął w rączkę windy rękawicę, by nie można było uruchomić z dołu mechanizmu.

- Tutaj tylko ja wierzę ci w połowie, jedynie ja. Nawet ta dziewczyna jest częściowo przekonana o twojej winie - wyszeptał. Machnął rękę. - Nieważne, skąd to wiem, wiem i tyle. Ale z drugiej strony nie widziałem wielu kolorowych facetów skłonnych do westchnień. Trudno mnie przekonać, gdy dochodzi do jednomyślnego działania przeciwko komuś, kto może nawet nie wie, co się czai za jego plecami. Potem będzie już za późno, by stwierdzić, czy się ktoś nie pomylił.

Zacząłem mówić. Nie wiem, czy chciałem przekonywać, dziękować czy go przeproszać, ale Barney tylko machnął ciężką różową ręką.

- Nie dziękuj mi. Po prostu Skip nie miał tej okazji, którą miałem ja. Powinieneś podziękować mojemu sierżantowi. Jest przy jednej ciężarówce z prądnicą i udaje mnie. Założyliśmy, że większość wysokich negrów wygląda tak samo, jak blade twarze. - Barney otworzył usta w szerokim uśmiechu, ale nie było w tym nic z wesołości. - Cokolwiek o tym pomyśli, nie będzie miało żadnego znaczenia.

- Chwileczkę, niech się nad tym wszystkim zastanowię.

- Nie masz już czasu, kolego. Zapomnij, że mnie widziałeś i znikaj. Koniecznie.

Byłem całkiem oszołomiony. Ale wiedziałem, że Barney ma rację. Wywnioskowałem to z wielu zagadkowych rzeczy.

- Człowieku, nikt nie może nas tu zobaczyć. Muszę zdjąć buty!

- Barney, pozwolisz mi wyjść z bronią?

- Ze splotką? Nie masz chyba zamiaru wychodzić stąd, ostrzeliwując się. Jeśli chcesz zrobić sobie dobrze, to gadaj bez końca, ale w drodze do szybkiego samolotu, który cię STĄD zabierze.

- Broń.

- W porządku. Bądź szaleńcem. - Barney rzucił mi pistolet i metalową szpulę, które dla mnie przygotował. Podwinąłem nogawkę spodni i przykleiłem plastrem broń do zewnętrznej strony prawej nogi. Gdy opuściłem nogawkę, wręczył mi granatowy płócienny pas. Miał z pięć cali grubości i przypominał te, jakimi posługują się szmuglerzy złota. Rozpiąłem spodnie i zacisnąłem pod koszulą ciężko przepełniony pas z mnóstwem automatycznych zapinek. Wyciągając rękawicę, Barney wspiął się nad skraj platformy. Przesunął na dół wąską drabinkę i zawahał się, gdy jego plecy znalazły się na wysokości moich stóp. Może z obawy, że go kopnę w złości. Spojrzał z zadumą na moje buty i w geście



pożegnania łagodnie uderzył je pięścią. Gdy spojrział do góry, próbowałem ponownie zebrać w pamięci wszystkie szczegóły. Pamiętam przystojną twarz Barney'a, jak się pamięta nity w okularach naszego dentysty.

- I nie chodź z płaczem do nowego szefa, blada twarzo.

Dalby jest także przekonany? W ciągu ostatnich dni chodziły mi po głowie jego słowa, przypominał się jego stosunek do mnie.

Postawiłem podeszwę buta na wełniastych włosach Barney'a, kiedy mówił:

- On posługiwać się nożowo - rozwidlonym językiem człowieka.

- Spieprzaj stąd, niedorajdo - poradziłem mu.

- Bądź łaskaw zrobić to samo - odpowiedział Barney. - Spróbuj pionowo.

Podróż w dół wydawała się krótsza niż w górę. Białowłosa usunął ze słońca moją teczkę. Podniosłem ją i poszliśmy do bramy. Ze stojącej w niej ciężarówki wychodził kierowca, żeby ustąpić miejsca zandarmowi, który miał doprowadzić wóz do wieży. W dziepie Danny Kaye mówił coś bardzo serio do kanoniera. Przypuszczam, że dyskutowali, czy tym razem nie objechać wieży w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Machnęliśmy im z białowłosym przepustkami, ale nie wyglądało na to, by zdawali sobie sprawę, że właśnie wymyka im się najgorętszy towar na wyspie.

- W licznikach nie ma rtęci - powiedział starszy zachrypniętym głosem.

Nie chciało mi się z nim spierać, byłem za bardzo głodny. Zresztą w wieży z bombą wodorową nie ma komory mrozącej i nikt się tym nie przejmuje.

A więc Jean jest "częściowo przekonana". Przypomniałem ją sobie z poprzedniego wieczoru. Miała połyskujące włosy i oczy pełne współczucia, jak gdyby chciała mnie pocieszyć po opryskliwym zachowaniu Barney'a. Pamiętam ton jej głosu, kiedy mówiła: - Chciał ci dać do zrozumienia, że postępuje tak na czyjeś polecenie i dlatego powiedział, że już zjadł. Wiedział, że w to nie wierzysz. Jeśli jest, jak wspominałeś, serdeczny i wylewny, musiał wymyślić jakieś usprawiedliwienie, zanim wyszedł z restauracji. - Oby to była prawda. Pamiętam, jak Jean gasiła Dalby'ego, kiedy mogła więcej zyskać, zgadzając się z nim. Jednakże z drugiej strony, musieli już z pewnością zawrzeć jakieś porozumienie w mojej sprawie i Jean go uspokajała, gdy miałem zmięknąć. Pamiętam, gdy tańczyliśmy, zapach jej włosów i ciepło ciała. I udawanie, że coś sobie szepczemy, by zirytować Dalby'ego. Pamiętam jej czerwone paznokcie na zewnętrznej stronie mojej dłoni, gdy prosiła, żebym zrozumiał jej sytuację, i pytała, co mi powiedzieli. Pamiętam też, że to ostatnie pytanie zostawiłem bez odpowiedzi.

Kasyno oficerskie, przestronny budynek z prefabrykatów, stało w sąsiedztwie zabudowań administracji. Front kasyna ozdabiały karłowate kwiatki, układające się w numer jednostki, która to wszystko budowała. - Dzięki wojskowej służbie zaopatrzenia dostaniecie niestrawności. - Gdy wszedłem do środka, uderzył mnie podmuch gorącego powietrza pachnącego kurczakiem z różną.

We wnętrzu było chłodno i cicho. Długie białe stoły, na nich dzbanki z lodowatą wodą, wydające wysoki dźwięk ksylofonu. Nierdzewna stal, niskie pomruki poważnej, męskiej rozmowy, szum wentylatorów. To było rzeczywistością, to było realnym światem, a nie bajeczna scena za oknem.

W chłodnej i niezbyt gęstej zupie cebulowej było sporo świeżej śmietany, przez którą przebijał łagodny zapach porów. Rumiany, kruchy stek podano ze szparagami i pommes allumettes. Do kawy zjadłem kruche ciasto z truskawkami. Kiedy to wszystko pochłonąłem i popiłem lurowatą kawą, wygodnie się rozsiadając sięgnąłem po gauloise bleu. Jednak otrucie nie było skuteczną metodą rozwiązania problemu mojej dezercji.

## 20

(Wodnik (20 stycznia - 19 lutego). Działania przyjaciół mogą wydawać ci się dziwne, ale pamiętaj, że prawdopodobnie wpływa na nich twój zły humor).

Kasyno oficerskie mieściło się w jednopiętrowym budynku z prefabrykatów. Wychodziłem z restauracji, przeciskając się wśród wykrochmalonych koszul i jednakowo ostrzyżonych na jeża głów. Urywki niemieckiego i małe odpryski węgierskiego rozplýwały się jak pasma tkaniny w angielszczyźnie z Harvardu i przedłużanych samogłoskach facetów, którzy tak długo przebywali w Oak Ridge, że tamtejszy Instytut Badań Nuklearnych stał się ich domem. Szedłem wolno, wsłuchując się w to wszystko z zapartym tchem. Nikt nie zauważył, gdy wślizgnąłem się do holu, gdzie z myślą o niewygodzie przytwierdzano do cylindrycznych konstrukcji plastikowe obicia w kwiaty. Na stojącą przy oknie Jean nalatywała w zwartej formacji grupa pilotów, których wczoraj wieczorem widziałem przy barze. Wiedziałem, że byli z najlepszej ekipy Dowództwa Lotnictwa Strategicznego. Osiągali najlepsze wyniki w celności bombardowania i nawigacji. Ci chłopcy szybko awansowali, więc byli już majorami i podpułkownikami. Dwa razy w roku zdawali egzaminy, które polegały na dokładnym zapamiętywaniu kompletnych obiektów nieprzyjaciela. Jeśli któryś nie zdał egzaminu, wracał do swego poprzedniego stopnia. Naprawdę trudne sesje egzaminacyjne były w roku 1944, ale teraz latanie na ośmiosilnikowych B52 z szybkością sześciuset mil na godzinę, po półgodzinnych rozmowach kontrolnych przez interkom przed

startem, było kosmiczną frajdą! Weźmy obsługę samolotu-tankowca, o której ktoś może pomyśleć, że jest wyszkolona w nawigacji tak samo, jak oni. Ale tu, przy nabieraniu paliwa w powietrzu, trzeba utrzymać stałą szybkość, by lecieć za tankowcem w odległości trzech stóp, a potem udać się nad miasto, które się zna jedynie z fotografii. Zrzucenie bomby atomowej jest testem na matematyczną zręczność, pamięć oraz na zaufanie do ocen dowódców, co jest nieporównywalne z niczym do momentu, kiedy edykt Konstantyna dostrzegł ostatniego chrześcijanina wyrównującego rosnące rachunki z lwami. Często patrolowano przestrzeń powietrzną nad Związkiem Sowieckim, gdy Rosjanie planowali eksplozje i odpalenia rakiet. Amerykańskie Lotnictwo Strategiczne miało je obserwować z powietrza, by zdobyć dane porównawcze. Zapamiętywanie przez trzyosobowe załogi danych o sowieckich celach naziemnych było niezwykle cenną "sekwencją wywiadowczą".

Niewielkie były szanse, że Jean zignoruje wszystkie zasługi tych chłopaków, ale przysiadłem kilka foteli dalej i zająłem się nie zapłaconymi rachunkami za służbowe wydatki z nadzieją, że do mojej sprawy włączy się w ostatniej chwili Alice. Jean zachowywała się w sposób, którego mężczy agenci muszą się uczyć, ale dla większości kobiet jest on całkiem naturalny. Stała odwrócona plecami i pozwalała toczyć rozmowę innym, przysłuchując się i, kiedy potrzeba, kierując nią. Miałem nadzieję, że w momentach skupienia nie wytrzeszczała oczu, bo te typki tego by nie przegapiły. Przepychali się jeden przez drugiego, żeby porozmawiać, patrząc jej w oczy.

- Tak, proszę pana - powiedział łysiejący facet pod czterdziestkę, z maleńkimi oczkami i wydatną opaloną szczęką.

- Dla mnie Nowy Jork to dopiero miasto. Lubię podróżować, naprawdę, ale z Nowym Jorkiem, chłopie, nic się nie równa!

- Owszem, Nowy Jork nawet mi się podoba, ale jest trochę jak Chicago. Co innego Nowy Orlean!

- To znaczy, że w życiu nie byłeś w Paryżu, we Francji.

- Parley fransays. W Paryżu mieszkałem sześć miesięcy. To ostatnie miejsce na ziemi, gdzie kobiety są podporządkowane mężczyznom.

- To doszło aż do Indii. Masz pojęcie, że w Afganistanie wielbłąd kosztuje więcej niż żona? Jeden stary facet jeździł na wielbłądzie. Widywałem go tu i tam, mówił trochę po angielsku. Kiedyś mnie dogonił. Miałem wtedy czerwone MGA, pruł jak burza. - Dlaczego nie podwozisz żony, Chas? - zapytałem, nazywaliśmy go Chas.

- Nie, tu koło lotniska są pola minowe - odpowiedział.

- Ale pozwalasz jej chodzić?

A on na to:

- Tak, to bardzo cenny wielbłąd.

- Bijesz to zwierzę?

Odpowiedział:

- To bardzo cenny wielbłąd.

Pięknie owłosiony wysoki major rozcieńczył drinka wodą z lodem. - Bel Ami, który był Francuzem i wszystko wiedział o kobietach... Wiesz, on pije najpodlejszą miksturę na świecie. - Jean rozwarła oczy na osiem cali.

- Największym stanem jest Alaska. Tylko zapytajcie pierwszego lepszego Teksasńczyka - roześmiał się łysiejący pilot.

- I powiem ci, jaka będzie jego odpowiedź: - Ropa. Wysoki major, który znał Bel Amiego, uniósł szklaneczkę i zaprzeczył:

- Widzicie tego drinka? Czy gdybyście mierzyli jego objętość, wzięlibyście pod uwagę lód? - Na chwilę zamilkł. - Nie. I tak samo jest z Alaską. Nic, tylko lód.

Ogólny chichot przerwało otwarcie drzwi. Stojący w nich pulchny major żartobliwie rozejrzał się wokół. Okrągłą twarz przepoławiały mu ciemne okulary. Stojąca za nim schludna asystentka w nieco za ciasnej koszuli khaki i szerokich spodniach przesunęła się, by uniknąć zmysłowych spojrzeń tak wielu fachowych męskich oczu. Chcąc rozrzedzić gęsty jak mrożona legumina nastrój, przybysz zapytał, czy ktoś nie widział jego nawigatora. Nikt się nie odezwał, tu i ówdzie zaczęły się pojawiać nieżyczliwe uśmiešky, wyrażające odrazę do jego towarzyskiego sukcesu. Zakłopotany obrócił się w drzwiach, a ktoś uprzejmie powiedział:

- Proszę uściskać małżonkę i dzieci. Przerwę wykorzystał łysy.

- Mój papa mawiał: Scotcha pij zawsze czystego, ryżową mieszaj z odrobiną wody, a bourbona z czymś bardzo mocnym. - Wybuchnął śmiechem. - Z czymś bardzo mocnym - powtórzył.

- Podobają mi się Niemcy. Lubię niemieckie jedzenie. I picie. Podobają mi się niemieckie dziewczyny.

- Przez jakiś czas mieszkałem w Skandynawii.

- Ale to nie to samo. W Skandynawii jest jednak inaczej.

- Chodziłam do szkoły w dużym mieście na północy Skandynawii - powiedziała Jean, wtrącając się zrećźnie do rozmowy, jak to musi robić agent, i mówiąc czystą prawdę, jak agent powinien.

- Weźmy taki Narwik - dodał łysiejący pilot. - Świetnie znam to miasto. O tej porze w zeszłym roku zwiedziłem w Narwiku wszystkie bary. Prawda? - zwrócił się do Jean.

Skinęła głową.

- Ile ich tam jest? Trzy? - zapytał facet, który znał Bel Amiego.

W tym czasie, kiedy lotnicy, wychodząc z holu, "achali" i "ochali", umawiali się na później, wzajemnie poganiali do wyjścia, ja zdążyłem wypełnić większość zamówień na taśmę do maszyny, spinacze, taśmę do magnetofonu i podobne rupiecie. Zaszła od tyłu i dotknęła czubka mojej głowy. Niespodziewana poufałość fizycznego kontaktu z Jean była dla mnie szokiem, jaki bym przeżył, gdyby się rozebrała w publicznym miejscu. Gdy usiadła naprzeciwko, zrozumiałem jej intencje. Chciała dać mi znać, uspokoić.

Jawna ostentacja towarzysząca jej zapewnieniom, wykluczała wiarę w ich szczerłość. Prawdopodobnie Jean była moim Dolobowskim. Zaproponowała mi mentolowego papierosa, który smakuje jak rozpuszczalnik do farby. Odmówiłem.

- Te załogi B52 Dowództwa Lotnictwa Strategicznego przyleciały z Bodo w Norwegii i z nowego lotniska pod Heratem w Afganistanie. - Srebrną zapalniczką zapaliła papierosa. - Obserwują wyrzutnie koło południowo-zachodnich brzegów jeziora Bajkał i porty podwodnych okrętów atomowych na Nowej Ziemi. Tam lata Bob. Chyba już oglądałeś unowocześnione luki bombowe w dwóch nowych samolotach.

Skinąłem głową.

- Dwie załogi mają bombardierów z marynarki wojennej, mechanizm opóźniający działa chyba na zasadzie ciśnienia wody. - Podniosła wysoko podbródek i teatralnym gestem wypuściła prosto w sufit kłęb dymu. Skądś otrzymała letni mundur oficera Kobiecego Korpusu Służby Pomocniczej; podobnie jak Dalby, wyglądała znakomicie we wszystkim, co założyła. Czekwała na pochwałę jak małe dziecko. Słońce przydawało jej twarzy złocistego odcienia, ciemna skóra podkreślała jasność warg. Sprawdzając przez dłuższy moment gładkość lakieru na paznokciu, nagle zapytała, nie podnosząc głowy:

- Jeździłeś do Guildford? Skinąłem nie poruszając głową.

- W pierwszym tygodniu, kiedy są te gimnastyki i testy na inteligencję, czekasz głównie na rozmowę, żeby ci powiedzieli, byś został na drugi tydzień, a potem jest wykład o budowie komórki i wyłącznikach?

Dobrze wiedziała, że nie są to rzeczy, o których się opowiada. Miałem nadzieję, że w holu nie ma podsłuchu. Nie przerywałem jej.

- No dobrze, służbowy kontakt utrzymywałam tylko z Alice, za jej pośrednictwem miałam stałą łączność z wami. Jeśli chodzi o mnie... - Przerwała. - Od tego czasu, jak powiedział facet reklamujący mydło Pearsa, nie korzystałam z innych.

Siedziałem w milczeniu.

- Komplikacje towarzyszące mojej pracy tutaj są o wiele większe niż w Makao. Większe niż się mogłam spodziewać - powiedziała szeptem. - Nie bardzo widzę się w tej roli. Ale nieźle sobie radzę. Jednak muszą być jakieś granice, jeśli chodzi o indywidualne przypadki. Jestem kobietą. Nie umiem łatwo się podporządkować i biologicznie nie jestem zdolna odpowiadać za coś przed grupą.

- Chyba popełniasz duży błąd - odezwałem się raczej dla zyskania czasu, a nie dlatego, by miało coś to znaczyć.

- Nie sędzę, i jeśli masz czas, wyjaśnię dlaczego.

Miałem. Wyszliśmy na parking. Wdrapała się za kierownicę forda-kabrioleta, którego wewnątrz wypełniał mdlący zapach gorącego metalu i skóry. Przy przeciwsłonecznej zastawce od strony kierowcy było przymocowane metalowe pudełko z podziurkowaną jedną ścianką. Był to kontrolny nadajnik, przesyłający rozmowy do oddalonego o trzy mile odbiornika, oraz działający na zasadzie kompasu przyrząd, który wysyłał sygnały o kierunku jazdy wozu. W podobny sposób wyposażono wszystkie samochody na Tokwe. Oderwałem to dodatkowe wyposażenie od metalowej zastawki, do której przytwierdzały je dwa magnesy, i schowałem w pudełku z kleenexami na tylnym siedzeniu zaparkowanego obok chevroleta. Miałem nadzieję, że nikt nie będzie zwracał głowy, próbując się z nami połączyć.

Jean włączyła sprzęgło i gwałtownie dodała gazu, koła na żwirze wydały nieprzyjemny dźwięk. Milczeliśmy aż do momentu, kiedy po przejechaniu mili przystanęliśmy, by zasunąć dach kabrioletu. Skontrolowałem przednią szybę i górę drzwi.

- Chyba nikt nas nie obserwuje, ale zachowajmy ostrożność. Byłaś sprytna, biorąc kabriolet - pochwaliłem ją.

- Dałam w prezencie czterouncjową butelkę perfum Arpège, żeby się nie pieścić w innym samochodzie.

- Wlicz to w koszty.

Przez ponad milę szosa była wyśmienita i, jeśli nie liczyć paru jeepów żandarmerii, całkiem pusta. Jean przycisnęła pedał gazu, usłyszałem parskanie automatycznej przekładni skrzynki biegów i droga przed nami zafalowała jak gorąca mgiełka. Pęd powietrza bił niemiłosiernie w bębunki uszu. Jean trzymała kierownicę luźno, ale pewnie, co nieczęsto zdarza się kobietom. Dostrzegłem połyskiwanie morza i zaczęliśmy zwalniać. Jean

precyzyjnie wyczuwała odległość i rzadko używała hamulców. Zamiast jechać dalej szosą skręcającą w lewo ku centrum administracyjnemu w głębi wyspy, zjechaliśmy z drogi na prawą stronę. Szeroki, doskonale resorujący wóz przechylił się na zboczu i wjeżdżając na nierówną ścieżkę, uniósł do góry niebieski przód. Jechaliśmy już o wiele wolniej i dotarcie do kępy krzaków zajęło nam prawie pół godziny. Jean wjechała głęboko w niskie zarośla i wyłączyła silnik. Znaleźliśmy się poza osuszonymi terenami, na których pobudowano centrum administracyjne, kasyna i kwatery. Osłoniętą przed wiatrami część wyspy pokrywała bogata roślinność i ostre jak brzytwa wulkaniczne skały. Tu i ówdzie zaczęły już zamykać swoje płatki stożkowate musztardowo-żółte kwiaty.

Słońce stało nisko, kolczaste liście palm kroili ciężkie ciemno-błękitne niebo. Jean wyjęła ze skrzynki pod tablicą latarkę i poszliśmy dalej tą samą ścieżką. W niskich zaroślach było słycać tysiące owadów, wydających dźwięki podobne do tykania tandetnego zegarka.

- Nie chcę się bawić w śledztwo ani popadać w paranoję, ale co jest grane? - zapytałem.

Jean zwlekała z odpowiedzią i przypuszczam, że miała, tak jak ja, mnóstwo wątpliwości i była zakłopotana.

- Wczoraj wieczorem byłam tu z Dałbym. Przyjechałam tutaj, i gdyby ktoś nas zobaczył daleko od szosy, mógłby pomyśleć, że idziemy na rozbieraną randkę. Wróciłam sama. Ty jednak wracasz ze mną. Dobrze?

- W porządku - odpowiedziałem. A co innego mogłem powiedzieć? Szliśmy dalej w milczeniu.

- Wczoraj zostałam jednak w samochodzie. Teraz chcę zobaczyć tę część, której nie widziałam.

Pomogłem jej przejść ponad zardzewiałą spiralą kolczastego drutu. Nie byliśmy już widoczni z szosy, również dobrze ukryty był samochód. Na prawo, w pewnym oddaleniu od szosy, walały się na morskim brzegu złomowiska leżące tu od II wojny światowej. Na roztrzaskanym samolocie rozrastały się plamy rdzy. Wrak patrzył prostokątnymi otworami, jak gdyby ktoś przy pomocy przecinarki próbował odzyskać metal, ale w końcu praca przestała mu się opłacać. Leżący najbliżej nas desantowy samolot miał zwęglony dziób. Żar powyginał stalowe drzwi jak dziecko blaszaną zabawkę. Morskie fale poruszały z chłupotem przybrzeżne wodorosty. Pofałdowany teren stwarzał możliwość zorganizowania skutecznej obrony. Japońskie wojska inżynieryjne tak znakomicie wkomponowały w krajobraz obronne umocnienia, że spostrzegłem je dopiero wówczas, gdy Jean stanęła w wejściu do potężnej japońskiej fortyfikacji. Stalowe wsporniki wzmacniały betonowe ściany jej trzech bloków.

Wiatry i deszcze nadzarły kiepski beton, na którym szalała bujna roślinność. Wejście było za niskie nawet dla Japończyków, w środku przy wypalonych belkach rosły sięgające do pasa purpurowe kwiaty, czerpiące najwidoczniej pożywienie ze zwęglonego drewna.

Na piasku pozostały ślady gumowych podeszew butów Jean, a w miejscu, gdzie podłoże stawało się wilgotniejsze, dostrzegłem znacznie głębsze ślady obuwia Dalby'ego.

- Była ciężka - zauważyłem.

- Skrzynka, którą niósł? Tak, wyglądała na ciężką. Skąd o tym wiesz?

- Domyśliłem się, że nie spuszczałaś go z oka, a on był zbyt zaaferowany, by cię zauważyć.

Gdy podnosiłem przymkniętą klapę, Jean stanęła z boku.

- Kazał mi czekać przy samochodzie, ale byłem zbyt ciekawa, żeby tam zostać. Szłam za nim aż do tej płataniny kolczastych drutów. - Wnętrze fortu zmieniło jej głos, odbijając się echem od ścian. Była to solidna budowla. Wąskie przejście łagodnym spadkiem prowadziło do ciemnego pomieszczenia o powierzchni jakichś dwudziestu stóp. Powietrze było tu chłodne i wilgotne. Staliśmy w milczeniu, wsłuchując się w monotony szum przybrzeżnych fal i nieustanne chrobotanie robactwa. Zdjąłem ciemne okulary, by lepiej widzieć.

Większą część pomieszczenia zajmowały metalowe skrzynki w kolorze oliwki z wyblakłymi angielskimi napisami i rzędami cyfr. Słoneczne promienie oświetlały leżące w rogu połamane drewniane skrzynki, metalowe magazynki na amunicję i butwiejące skórzane pasy. Na wysokości mojej głowy rozpościerał się obszerny taras z murkiem, w którym widniały otwory na karabiny maszynowe. Oświetlając latarką murek ze strzeleckimi stanowiskami, Jean w pewnym momencie skierowała snop światła na punkt nad wejściem. Widziała, że właśnie przez tamten otwór świecił Dalby. Odsunąłem metalowe skrzynki, żeby zrobić krok. Dostrzegłem na spodzie jednej z nich całkiem świeży szablonowy napis: "5 karab. masz. US ARMY. 80770/GH/CIN/1942". Gdy podnosiłem drugą skrzynkę, by ją postawić na pierwszej, spod sóp czmychnęła mi barwna jaszczurka. Wspiąłem się na taras i chyłkiem szedłem po piaszczystym występie. Z bliska piach był prawie czarny, cuchnął śmiercią i tym, co na nim rosło.

Posuwałem się wolno na czworaka. Oślepiło mnie sączące się przez wąską szczelinę ostre światło dnia, a gdy wyjrzałem na zewnątrz, dostrzegłem wąski odcinek plaży. Na linii mego wzroku znalazł się największy samolot; spod tego kąta mogłem jedynie dojrzeć roztrzaskany zbiornik na paliwo, wciśnięty w otwarte drzwi jak pomarańcza w pysk świni na różnie. W sączące się ze szczeliny pasmo światła wleciał żółty motyl w czerwone prążki. Precisnąłem się w róg. Było tutaj ciemniej i panowała wilgoć. Jean rzuciła mi zapaloną



latarkę, którą oświetliłem drewniany dach nad głową. Część dachu musiała widocznie się zapalić od płomieni miotacza ognia. Drewniane wsporniki były zupełnie zwęglone, z porzuconego cekaemu pozostały mi w rękach jedynie metalowe części. Nie zauważyłem, by ostatnio tutaj coś ruszano. Poświeciłem latarką w lewo. Na drewnianej skrzynce widniał napis: "Harry Jacobson. 1944, 24 grudnia. OAKLAND. KALIF. USA". Jean powiedziała, że bym ruszył pudło pod spodem. I dobrze, że to zrobiłem. Był to karton z napisem: "Żywność. Tuzin funtowych opakowań mrożonych żurawin". Pod spodem znajdowała się mała kartka z wydrukowanym zaświadczeniem o przydatności do spożycia i długi numer seryjny. W kartonie była lampa katodowa długości siedmiu cali i ze świeżymi symbolami, dwanaście tranzystorów i biała koperta, a w żółte płótno zawinięto świeżo naoliwiony karabin maszynowy. Nie było tylko żurawin. W kopercie znalazłem kartkę papieru dwa na osiem cali. Tekst na kartce zawierał około pięćdziesięciu słów. W pudle znajdowało się ponadto radio o niskiej częstotliwości fal, kompas i karteczka z matematycznymi symbolami, które okazały się dla mnie trochę za trudne. Pokazałem je Jean. Spojrzała na mnie:

- Czytasz po rosyjsku?

Skinąłem głową.

- To chyba coś o...

Nie dałem jej dokończyć.

- No to w porządku. Nawet ja wiem, jak się pisze po rosyjsku "bomba neutronowa".

- Co chcesz z tym zrobić? - zapytała.

Delikatnie ujmując kartkę, wrzuciłem ją do kartonu z żurawinami, potem spaliłem kopertę, a popiół wtarłem obcasem w ziemię.

- No to już chodźmy.

Gramoliliśmy się stromym zboczem w stronę plaży. Promienie zachodzącego słońca rozdrapywały szarość zapadającego wieczoru. Chciałem się znaleźć bardzo daleko stąd. Szliśmy brzegiem morza, omijając skrzynki wypełnione śmiercią, puszkami coca-coli i bandażami.

- Po co przyniósł tu - Jean nie chciała wymieniać nazwiska Dalby'ego - lampę katodową?

- Nie mógł sobie darować, że spóźnił się na "pociąg" i nie chciał, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

Na twarzy Jean nie drgnął ani jeden mięsień.

- Nie prowadzę śledztwa, ale cała sprawa byłaby prostsza, gdybyś wyznała, co o mnie mówił.

- To całkiem jasne. Mówił, że jeden z wydziałów naszych "przyjaciół" jest przekonany, że pracujesz dla KGB. Podobno i CIA, i w ogóle wszyscy siedzą jak na szpilkach. Dalby nie ma stuprocentowej pewności, ale CIA jest skłonna w to wierzyć, ponieważ niedawno zabiłeś dwóch ludzi z wywiadu Marynarki Wojennej.

- Dalby nie wspomniał, że to on mnie oskarżył?

- Nie, tylko mi powiedział, że jeden wydział daje ci lepsze zaświadczenie o lojalności niż ma on, bo pracuje poza biurem. I nie wyglądał na zadowolonego z tej sytuacji. - Zamilkła, a po chwili skruszona zapytała: - Zabiłeś tych ludzi?

- Oczywiście - odpowiedziałem zjadliwym tonem. - Zabiłem ich. Teraz mam już na swoim koncie trzech, jeśli nie liczyć wojny. Jeśli nie liczyć wojny.

- Nie musisz mi wyjaśniać.

- Słuchaj, to była pomyłka. Nie można jej było uniknąć. Naprawdę, pomyłka. Co mam teraz zrobić? Czy chcę, żebym napisał do Jackie Kennedy, że tego nie chciałem?- Chyba teraz czekają, żeby cię sprawdzić, czy nawiązesz jeszcze kontakt; tak prawdopodobnie uważa Dalby. Zastanawiał się, czy współpracuje z tobą Carswell i wysłał zakodowane polecenie, żeby odizolować i Carswella, i Murray'a.

- Spóźnił się. Gdy tuż przed naszym wyjazdem dano im urlop, to jakbym dostał pałką w głowę.

- To powinno przekonać Dalby'ego - zauważyła Jean. Cudownie wyglądała w tym momencie, mając słońce za plecami i chciałoby się mieć więcej przednich płatów mózgowych, żeby o tym rozmyślać.

- Carswell moją wtyczką? - zapytałem zadumany. - Powiedziałbym, że on raczej podejrzewa o to ciebie.

- Nie jestem twoją wtyczką. - Wydawało mi się, że nie była tego całkiem pewna.

- Wiem, naiwniaczko. Gdybym rzeczywiście pracował dla KGB, byłbym na tyle sprytny, by nikt mnie o to nie podejrzewał, i wiedziałbym, kto jest moją wtyczką, zanim znalazłem się na tej wyspie. Nie miałbym ponadto możliwości wielokrotnego przeglądania twojego dossier. Ale ponieważ nie pracuję dla tego sześciopiętrowego gmachu przy placu Dzierżyńskiego, nie istnieje żadna wtyczka, a więc i ty nią nie możesz być.

Jean rozprysnęła nogą wodę i uśmiechnęła się dziecinnie. Słońce za jej głową przypominało otwarty hutniczy piec. Łagodna bryza od oceanu przyłgnęła do jej munduru jak tanie perfumy. Sprowadziłem myśli na ziemię.

- Zdaje się, że nie słuchałam tak uważnie, jak ty w Guilford.

Z wody wystawały gąsienice czołgu, między platformą poszczepianych metalowych elementów przelewały się spienione fale. Za nami leżał w połyskującej pianie przewrócony Ból bez jednej gąsienicy. Morze, do którego powrócił olbrzymim półkolem, drwiąco poklepywało jego metalową, skorupę. Jean przystanęła i spojrzała mi w oczy. Kosmyk ciemnych włosów na tle jej złocistej twarzy wyglądał jak rysa na wazie Sung. Musiałem się skupić.

- Załóżmy, że nie pracujesz dla KGB, ale ktoś cię o to podejrzewa i chce to przerwać. Co wówczas zrobią?

- Nikt w naszej sytuacji nie ośmielił się nawet o coś takim pomyśleć.

- Ale założmy, że to się zdarzyło. A więc powinni się zastanawiać nad tym.

- No dobrze - zgodziłem się. - Więc się zastanawiają.

Głos Jean był ochrypły i zgrzytliwy. Zrozumiałem, że spędziła wiele bezsennych nocy, rozmyślając o tym, co mogą ze mną zrobić i że w końcu zbyt wiele jej zawdzięczałem, by dalej z niej pokpiwać.

- Jeśli ci o to chodzi, to nie ofiarują im darmowej pomocy prawnej w Old Bailey, ale pozwolą im sprzedać pamiątki do niedzielnych dodatków.

- Ja myślałam tak samo. Ci, którym się na to pozwala, są jedynie wielokrotnymi mordercami. - Przerwała na moment. - A więc co będzie?

- Nie wiem. Jeszcze mi się nigdy coś takiego nie przydarzyło. Podejrzewam, że jest to zachęta typu "zawieś sobie kamień u szyi, zaraz odpływa łódź".

Fale z łoskotem bombardowały nadbrzeżne skały.

- Robi się chłodno - przerwała milczenie. - Wracajmy do samochodu.

## 21

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego). Opóźni się realizacja twoich prywatnych planów. Najlepsze zamierzenia mogą być niewłaściwie zrozumiane).

Dwa następne dni były nerwową szarpaniną. W miarę zbliżania się dnia eksplozji życie na atolu stawało się coraz bardziej szaloną, ale zorganizowaną krzątaniną.

O ile mogłem się zorientować, nie pozbawiono mnie statusu obserwatora i nie utrudniano, niestety, wejścia na najnudniejsze konferencje. Nie mogliśmy wymienić z Jean słowa bez obawy o podsłuch. Nasza decyzja, by demonstrować dystans między nami, stwarzała szansę niemieszania jej w całą aferę. Jednocześnie dojrzewało jednak we mnie przekonanie, że żaden mężczyzna nie powinien współczuć swojej sekretarce, jeśli chce zachować stanowisko, które upoważnia do wylania jej z posady. Widywałem ją, kiedy na

długich szarych korytarzach wyczekiwała na podpisy i dokumenty. Gdy tak stała bez ruchu, jej smukłe ciało niedostrzegalnie poruszało się pod lekką tkaniną letniego munduru, a ja myślałem o jej złotych okrągłych kolczykach, które znalazłem we środe w mojej bieliźnie pościelowej.

Gdy częściej, niż mogłem znaleźć na to wymówkę, prześlizgiwałem się obok niej, przebiegające między nami iskry elektryczne łagodziły doskwierające mi poczucie osamotnienia. Moje pragnienie nie było pełnią z trudem powstrzymywanych uczuć, lecz raczej łagodną potrzebą zapełnienia pustki. Strach powoduje w najważniejszym momencie pożądanie ostrzejsze niż klinga z Toledo i spełnienie żałośniejsze niż dźwięk fletu.

Przez dwa dni głównie pracowałem z Dałbym. To była prawdziwa przyjemność. Różnica między nim i innymi facetami z wywiadu, mającymi podobny życiorys, polegała na tym, że był gotów korzystać z informacji osób niższych stopniem i statusem społecznym. Pozwalał technikom wyciągać wnioski z ich własnych danych, podczas gdy inni próbowali zgłębiać różne techniczne tajemnice, zazdrośnie strzegąc przywileju decydowania o wszystkim.

Pudło znaleźliśmy z Jean w fortyfikacji we wtorek. We środe naczelny dowódca, generał X.O.Guerite zaprosił na party do swojego domu wszystkich wyższych rangą mężczyzn i osiągalne dziewczyny.

Dom generała stał na skalistym zboczu, tyłem do zatoki. Zachodzące słońce zabarwiała pnie drzew na kolor różu, powodujący wydzielanie soków trawiennych. I znów zachód słońca przypominał bladofioletowy tort. Pojawiły się owady staczające codzienną batalię z zasobami amerykańskiego przemysłu chemicznego. Usłużne wojska inżynieryjne nie zapomniały o przeprowadzeniu między pniami drzew przewodów z mrugającymi czarodziejsko światełkami. W dużych szklankach pobrzękiwało martini z lodem, rozjaśniane plasterkami cytryny i wisienkami. Niscy kelnerzy o ziemistej cerze snuli się na swych platformowatych, wiecznie zbolątych nogach; czuli się nieswojo zaraz po wyjściu z drzwi. Do tac z drinkami żwawo dobiegali postawni, krótko ostrzyżeni faceci i roznosili je wśród gości, upodabniając się białymi marynarkami do kelnerów.

Trzech wojskowych muzyków grało z matematyczną precyzją "Tam jest mały hotelik", zmieniające się interwały z chlubną synchronizacją omijały środkową ósemkę. Tu i ówdzie śmiech wznosił się na wyżyny hałasu.

Poza oświetloną strefą, w oddalonym zakątku ogródka generała, przysiadł na krawędzi skały Dalby. Dwie lub trzy stopy pod nim łagodnie kołysało się morze. W pewnym oddaleniu od brzegu szary niszczyciel demonstrował smugą dymu gotowość wyjścia w rejs. Białe

olbrzymie "R" na obu burtach mówiły, że jest to okręt do pomiarów natężenia i zasięgu podwodnego promieniowania przy pomocy aparatury umocowanej do drucianych sieci. Na stojącej obok okrętu łodzi kręcili się nurkowie w gumowych strojach i kontrolując osprzęt sieci, coś sobie wyjaśniali, pokazywali i wydawali wzajemnie jakieś polecenia.

Dalby kolistymi ruchami szklanki mieszał martini, wprawiając cienkie warstwy płynu w kontrolowane wirowanie. Upił trochę falującego na powierzchni płynu i potarł krawędzią okularów dolną wargę.

- Jakoś nie można wpaść w nałóg - zauważył. Nie mogłem tej uwagi nie odnieść do siebie, a on ciągnął: - Zrobienie z nimi jakiegokolwiek interesu w ogóle nie wchodzi w rachubę, głównie dlatego, że nie ma pewności, czy dotrzymają słowa. Najlepszym sposobem przedstawienia świata komunizmu staje się mikroskopijna wojna, wojna rozpoczęta przez komunistów. I nie sądźmy błędnie, że posłużą się tą dziecinną bombką. Nasycą teren gazami paralizującymi system nerwowy.

Popatrzył na importowaną, starannie ułożoną darń, na której tłoczyli się mężczyźni i kobiety w letnich mundurach. Od długich, uginających się pod jedzeniem stołów oddzielała mnie pulchna dziewczyna w objęciach dwóch poruczników marynarki wojennej. Ich głowy pochylały się jednocześnie, gdy białe pantofleki dziewczęcia podążały za rytmem i nakładającymi się na siebie dysonansami cza-czy.

- Nie popełniaj błędu, Jimmy - mówił Dalby do szefa sztabu. - Wasze siły zbrojne mają wsparcie handlu i przemysłu, więc jesteście absolutnie najmocniejsi. Ten cały atol to wyczyn bez precedensu, jest to osiągnięcie logistyki i organizacji, i macie w obu tych dziedzinach wprawę. Nie ma zbyt wielkiej różnicy między wybudowaniem fabryki coca-coli ze strzelnicą dla pracowników, a postawieniem fabryki broni z pasażem, gdzie pracownicy piją coca-cole.

- A więc o co chodzi, Dalby? - Szef sztabu, atletyczny sześćdziesięciolatek z siwiejącymi włosami, miał okulary w pięknych złotych oprawkach, które migotały w czarodziejskich światłach. - Kto się będzie przejmował po czyjej stronie są zasługi? Jeśli możemy wywołać największy z największych piekielnych wybuchów, nikt nie będzie zawracał sobie głowy pieprzonymi detalami. Im chodzi o to, żeby Wujka Sama zostawić na uboczu. - Zorientowawszy się, że słuchacze wyczuli jakieś niedopowiedzenie, pośpiesznie dodał: - A także NATO. W istocie cały wolny świat.

- Wydaje mi się, że Dalby nie to miał na myśli. - Zawsze wyjaśniałem słuchaczom, co chcieli powiedzieć inni. - Przyznał, że dysponujecie możliwościami, ale niewiadomo, czy właściwie je wykorzystacie.

- Chce mi pan, chłopcze, wcisnąć coś w rodzaju tej staroci, że "Europa jest ojczyzną dyplomacji", prawda? - Szef sztabu odwrócił olbrzymią siwą głowę w moją stronę. - A ja myślałem, że taktyka Chruszczowa kazała wam zapomnieć o takich przeżytkach.

- Nie, tylko że Europejczycy dysponują solidną wiedzą o tym, co się dzieje wówczas, gdy zawodzą dyplomaci - wyjaśniłem mu.

- Dyplomaci i chirurdzy nigdy nie zawodzą - wtrącił Dalby. - Zbyt wiele ich łączy, żeby się przyznawali do porażek.

Dokończyłem swoją myśl.

- Amerykanie nie są specjalnie znani jako ludzie, którzy zanim się do czegoś wezmą, zakładają możliwość niepowodzenia.

- O, do diabła, relacje między rywalizującymi w jakiejś dziedzinie zespołami są takie same, jak między narodami.

- Myślę, że tak było kiedyś, ale obecnie możliwości poczynienia zniszczeń są takie, że by poszerzyć pańską analogię, musimy myśleć kategoriami karteli. Rywale muszą się dziś jednoczyć, żeby przeżyć i pozwolić żyć innym.

- Wy, Europejczycy, zawsze myślicie kategoriami karteli. To wasza największa wada. Kiedy Amerykanin zastanawia się, jak zrobić długopis, to kalkuluje, że będzie je sprzedawał po pięć centów za sztukę. A kiedy wy w Europie wyprodukowaliście pierwsze długopisy, widziałem je w sprzedaży po prawie dwa funty! Różnica między nami polega na tym, że Anglik ma trzy i pół tysiąca procent zysku, i konkurenci idą jego śladem, ale Amerykanin z dwuprocentowym zyskiem sprzedaje tyle, że trudno się połapać i ląduje jako milioner.

Zza pleców szefa sztabu wyłoniła się wysoka, chuda dziewczyna z końskimi zębami i okalającym głowę pasmem srebrnych włosów, przytykając do jego ust wytwornie wymanikiurowane palce. Taneczny parkiet wielkości płyty gramofonowej był oblepiony niczym magnes, który wpadł w żelazne opiłki. W jego stronę prowadzono już szefa sztabu. Staliśmy z Dalbym zanurzeni w morzu dźwięków i szumie drzew, w świergocie ptaków i melodii "Lady be Good", w odgłosach poklepywania się po ramionach i warkocie przejeżdżającego jeepa oraz "dlaczego stąd nie wyjeżdżamy, gdy jest taki piękny księżyc", dostrzegliśmy jak ktoś wylał na mundur pełną szklankę i doszły nas słowa "jeśli jest twoim przyjacielem", aż wreszcie Dalby orzekł:

- Śmieszni są ci Amerykanie. - Nie usłyszawszy odpowiedzi, ciągnął dalej: - Amerykanie są zbyt brutalni, gdy chcą zrobić forszę i zanadto sentymentalni, a nawet naiwni, gdy już ją mają. Najpierw więc uważają, że świat jest oszukańczy. Potem, że niesłychanie małowniczny.

- Do której kategorii zaliczyłby pan swojego przyjaciela, szefa sztabu?- Do żadnej z nich. - Miał błysk w oku, świadczący, że chce jeszcze coś dodać. - To jedna z najtęższych głów, jakie znam. W okresie międzywojennym miał w Monachium niewielkie wydawnictwo, a po wojnie zajmował się różnymi rzeczami. Mówi się, że trzykrotnie miał milion dolarów, a dwa razy tylko stary, pogruchotany samochód i jedno ubranie na grzbiecie. Przed paru miesiącami, gdy mu się bardzo kiepsko powodziło, wojsko powołało go do służby na tej wyspie. Niezwykły facet, co?

Znów go dojrzałem, za rozpiętą kremową koszulę miał wetknięty szaro-zielony krawat, i gdy wykonywał w miejscu powolne taneczne ruchy, jego mięsista twarz rytmicznie wyłaniała się i zapadała w cień.

- Chcieli pana na rok wypożyczyć - poinformował mnie Dalby. Obaj uważnie obserwowaliśmy parkiet.

- I dostali mnie?

- Chyba, żeby panu na tym zależało. Powiedziałem, że woli pan zostać na Charlotte Street.

- Proszę mnie powiadomić, kiedy zmienię zdanie w tej sprawie

- zażartowałem. Dalby spojrzał na mnie z ukosa.

- Niech się pan teraz nie da nastraszyć - poradził mi. Pulchna dziewczyna w bieli bez przerwy demonstrowała w tańcu nowe kroki.

- W zasadzie nie powinienem tego mówić. Chcieli pana przymknąć, ale obawiali się, że to wywoła wysoko sięgające podejrzenia, więc się wstrzymali. A on zaczął panu przykładać już na ochotnika. Niech pan robi dobrą minę do złej gry i jeszcze trochę poudaje cierpiącego.

- Dopóki oprawca nie odkryje naszego małego sekretu. - Z tymi słowami udałem się w kierunku dziewczyny w bieli pobrać lekcję cza-czy.

W pół do pierwszej w nocy byłem już nafaszerowany sardynkami, kawałkami sera i chyba trzystoma zimnymi już grzankami. Ulotniłem się tylną furtką i przeszedłem obok urzędu pocztowego. W pomieszczeniu do sortowania przesyłek paliło się światło i grało radio, zagłuszając odgłosy muzyki i śmiechów z ogródka generała. Za budynkiem poczty stał na odosobnieniu półcyldryczny barek z falowanej blachy. Wszedłem do środka. Blondynka

z prawie niewidocznymi wąsikami i dystynkcjami starszego szeregowca wręczyła mi zza kontuaru dwie depeze, które nadeszły po szóstej trzydziści, kiedy ostatnio ją odwiedziłem.

Ludzie zwykli mawiać, że "szpieg nie ma przyjaciół", ale sprawa jest bardziej skomplikowana. Szpieg powinien mieć przyjaciół, a właściwie grupy przyjaciół z różnych kręgów. Powinien mieć takich przyjaciół, których zyskał, robiąc pewne rzeczy i uchylając się od zrobienia innych. Każdy agent dysponuje "siatką starych kumpli", która nakłada się częściowo na inną" siatkę starych kumpli", mających te same zawody i kontakty, co ci pierwsi. To jest swego rodzaju taktyka ubezpieczająca. Nikt z nikim nie zawiera jakichś specjalnych układów, nie ma żadnych szyfrów, poza wzajemnym uwrażliwieniem na niedomówienia.

Otworzyłem pierwszą depezę. Przysłał ją facet o nazwisku Grenadę\*.<sup>.\*[ Patrz Dodatek: Grenadę, str. 218]</sup>

Był obecnie politykiem, i to tak wysokiego szczebla, że nie musiał używać przed nazwiskiem służbowego tytułu. Depesza mówiła: TWOJA KANDYDATURA ZBYTECZNA STOP 13BT1818 ZAPŁACI BERT. Była nadana na pocztę głównej w Lyons i w żaden sposób nie mogłem sobie tego skojarzyć z nadawcą. Wiedziałem tylko to, że gdy kiedyś w przeszłości odbierałem nasłuchy, ktoś pracował we francuskim wywiadzie i miał pseudonim Bert.

Koleżanka starsza szeregowca zapaliła mi papierosa, krztusząc się mocnym gauloisem, którym ją poczęstowałem. Zjrzałem do drugiej depezy. Była nadana w urzędzie pocztowym przy Gerrard Street w Londynie i opłacona gotówką. Przeczytałem: LEKTURA ROZPRAWY W JC, TRZECIA W DRUGIM. I podpis: ARTEMIDORUS.

Popatrzyłem na dwie kartki papieru. Każdy z nadawców przekazywał informacje we właściwy sobie sposób. Grenadę jasno mówił, żebym wykonał wielki skok, pobierając fundusze z podanego numeru konta w szwajcarskim banku. Ustalenie, o który bank chodzi, było dość proste, ponieważ miały one różne kody, i każdy, kto się powołał na właściwy numer, mógł pobrać pieniądze bez specjalnych kłopotów. Uśmiechnąłem się na myśl, że to konto mogło powstać przy okazji podrabiania kart American Express, w co Grenadę był kiedyś wmieszany. To by była ironia losu, gdyby mnie przymknęli jako współsprawcę przestępstwa. Drugi telegram przysłał Charlie Cavendish, tajny agent pracujący dla Połączonych Służb Kontroli Wywiadu (C-SICH). Lubił mnie, ponieważ służyłem z jego synem w wojsku. Kiedy syn zginął, przekazałem ojcu wiadomość o tym, i, jako że nie był jeszcze bardzo stary, często potem się z nim widywałem. Miał wspaniałe poczucie humoru, rozjaśniające ciemne zakamarki życia i przeszkadzające mu awansować. Mieszkał w ciasnym



mieszkań w Bloomsbury, żeby - jak mawiał "być bliżej British Museum", i najwidoczniej nie miał paru szylingów na opłacenie depechy. Była to najbardziej rzeczowa wiadomość.

Na przyjęciu zaczęły się tworzyć małe grupki. Uśmiechnąłem się do młodziutkiego żołnierza siedzącego na oparciu fotela przed wejściem do pokoju, który był drugim biurem generała.

- Generałowi absolutnie nie można przeszkadzać, prawda? - zapytałem, spoglądając z ukosa na chłopaka. Uśmiechnął się zakłopotany, ale pozwolił mi wejść do biblioteki. Przeszedłem obok niego wolnym krokiem i już w środku zapaliłem papierosa.

Generalski komplet dzieł Szekspira był ręcznie oprawiony w świńską skórę i przyjemny w dotyku. Nie musiałem w zasadzie zaglądać do trzeciej sceny drugiego aktu "Juliusza Cezara". Staruszek wiedział, że całkiem nieźle znałem tę sztukę i kwestię Artemidora. Ale zajrzałem.\* [\* / Patrz Dodatek: Juliusz Cezar, str. 219]

W przyćmionym świetle lampy na biurku dojrzałem stojącą w drzwiach szczupłą sylwetkę. Druga rakietka rozerwała się z takim hukiem, że aż podskoczyłem. Tajemniczą postacią okazał się być starszy szeregowiec z obandażowaną szyją i rudymi, zmarszczonymi w skupieniu brwiami. Podszedł do mnie blisko, by przeczytać plakietkę i porównać fotografię z twarzą. W końcu zasalutował niedbałym ruchem ręki.

- Pozdrowienia od brygadiera Dalby'ego, sir - zameldował. "Brygadier" - pomyślałem. Co, do licha, jeszcze mnie czeka?

Żołnierz stał w milczeniu.

- Słucham? - zapytałem zaintrygowany, odkładając na półkę "Juliusza Cezara".

- Zdarzył się wypadek. Przy "Krwawym kącie" wypadła z szosy ciężarówka z generatorem. - Znałem to miejsce, noszące nazwę jednego z bojowych stanowisk generała Lee w czasie Wojny Secesyjnej. Od wypadnięcia z wykutej w skale szosy prosto w przepaść chronił jedynie niski murek pomalowany w czarno-żółtą kratkę. Zakręt był niebezpieczny nawet dla jeepów, ale pokonanie go przez ciężarówkę długości trzydziestu stóp przypominało picie wody z kwadratowej szklanki. Nie musiał mi więcej wyjaśniać. - Ciężarówką dowodził porucznik Montgomery. - To Barney. Młodziutki szeregowiec w obliczu śmierci odczuwał zakłopotanie. - Przykro mi - powiedział. Chciał się sympatycznie zachować i zyskać tym w moich oczach. - Brygadier poszedł już po swój wóz. Powiedział, że jeśli nie ma pan czym pojechać, to ja bym...

- W porządku, dziękuję. - Gdy znalazłem się na dworze, chmury przysłoniły księżyc.

Była czarna noc, jakie się spotyka jedynie w strefie tropikalnej. Przy wypucowanym fordzie stał Dalby w wełnianej wiatrówce. Krzyknąłem: - Jedziemy - ale odpowiedź zagłuszył

podwójny trzask rakiety. Nie mogłem przywyknąć do myśli o śmierci Barney'a Barnes'a. Wmawiałem sobie, że to pomyłka, jak to bywa z faktami, do których wolelibyśmy się przyzwyczajać stopniowo.

Zanim wyskoczyłem lincolnem na drogę, tylne światła wozu Dalby'ego były już daleko na autostradzie za domem generała Guerite. Zobaczyłem, że Dalby skręcił w lewo i wjechał na nadbrzeżną szosę. Jeździły nią jedynie olbrzymie ciężarówki ze specjalnymi dostawami, więc miała gorszą nawierzchnię. Od znajdującej się na lewo od nas Wyspy Próby dzieliło jedynie sto metrów morza. "Góra" byłaby lepiej widoczna w bezchmurną noc. Dalby puł do przodu, i mimo kiepskiej szosy, musiał mieć na liczniku sześćdziesiąt mil. Miałem nadzieję, że jeśli znajdziemy się na zamkniętym dla normalnego ruchu odcinku drogi, jakoś nas usprawiedliwi. Ryk samolotów odbijał się echem od wysokich na czterdzieści stóp wież. Na większości z nich były zamontowane kamery telewizyjne na podczerwień, ale tylko co trzecia była obsadzona wojskiem. Bałem się, czy któryś z uczestników przyjęcia nie zadzwoni, by nas zatrzymano. Płatanina zarośli przysłoniła światła samochodu Dalby'ego. Zerknąwszy na cień, który się pojawił na przedniej szybie, dostrzegłem czerwony znak drogowy UWAGA ZATRZYMAĆ SIĘ - 25 JARDÓW. Zatrzymałem wóz. Było dwanaście po drugiej w nocy.

Trzy mile drogi do skrzyżowania zamknięto dla samochodów. Nigdzie nie było widać Dalby'ego, najpewniej pojechał mimo wszystko dalej. Włączyłem oświetlenie tablicy rozdzielczej w poszukiwaniu paczki z papierosami. Na siedzeniu zobaczyłem ciężkie rękawice izolacyjne. Przez głowę przemknęło mi pytanie, czy Barney był rzeczywiście w ciężarówce i "dowodził" nią. Sięgnąłem po gauloisy.

Nacisnąłem zapadkę zapalniczki i czekałem na pojawienie się czerwonego płomyka.

Zanim się pojawił, niebo eksplodowało blaskiem słonecznego dnia, tylko że ów blask jeszcze nigdy nie był tak jaskrawy.

## 22

Otworzyłem drzwi i wytoczyłem się w jasną jak dzień, mroźną noc. Byłem spokojny aż do momentu, gdy z odległych zakątków wyspy zaczęły przeraźliwie wyc syreny.

Dwa helikoptery powietrznej policji, lecąc w kierunku Wyspy Prób, zaczęły rzucać do morza ręczne granaty. Olbrzymie reflektory spod kadłubów omiały pobliski teren.

Zanim zacząłem cokolwiek dostrzegać, policja rozpoznała i zlokalizowała olbrzymi migoczący płomień, kierując się w jego stronę. Jeden z helikopterów zatrzymał się, zrobił zwrot i zawrócił do mnie. Płomienie wybuchały i przygasały, a mnie oślepiał blask reflektora. Nieruchomo przykucnąłem. Było siedemnaście po drugiej. Wirujące łopaty helikoptera kroiliły

chłodne powietrze nocy. Z głośnika umocowanego przy reflektorze rozległ się głos. Początkowo nie mogłem zrozumieć mocno akcentowanych słów.

- Ani kroku, chłopcze - powtórzył głos z powietrza.

Oba helikoptery unosiły się tuż nad samochodem. Reflektor maszyny, z której doszedł mnie głos, świecił jakieś sześć cali od moich oczu. Drugi helikopter oświetlał linię wysokiego napięcia i wieżę z kamerą. W zestawieniu z buchającymi w górę zielonkawymi płomieniami światło reflektorów było bladożółte. Tnący ciemność snop światła pełznął po stalowej drabinie wieży w górę. Nim dotarł do wierzchołka konstrukcji, dojrzałem w półmroku zwisającego z roztrzaskanego okna martwego żołnierza. Nie było dla mnie zaskoczeniem, że był martwy. Nikt nie mógł przeżyć w metalowej wieży, którą fachowo podłączono podgiętymi prętami i sworzniami do linii wysokiego napięcia.

Okolo drugiej trzydzieści sześć przyjechał pułkownik żandarmerii, by mnie aresztować. W pół minuty później przypomniałem sobie o rękawicach leżących na siedzeniu wozu. Ale gdybym nawet przypomniał sobie o nich wcześniej, co by to dało?

## 23

Otworzyłem oczy. Ze środka sufitu zwisała dwustuwatowa żarówka. Jej światło wdzierało się aż do mózgu. Zamknąłem oczy na powrót. Czas płynął.

Znów otworzyłem oczy, tym razem powoli. Sufit przestał się unosić i opadać. Mógłbym prawdopodobnie stanąć na nogi, ale postanowiłem tego nawet nie próbować przez miesiąc. Czułem się bardzo staro. Po drugiej stronie pokoju siedział ten sam żołnierz, którego widziałem przed biblioteką generała, i ciągle czytał ten sam numer "Confidentiala". Dojrzałem tytuł na pierwszej stronie: "Czy jest on poszukiwanym pijakiem?".

Mógłbym wam powiedzieć, kogo przedstawiała fotografia na pierwszej stronie, ale nie stać mnie na proces o milion dolarów, na który może sobie pozwolić ten facet. Żołnierz przewrócił stronę i zerknął na mnie.

Pamiętam, że znalazłem się w tym pomieszczeniu przed trzecią w nocy. Pamiętam sierżanta, zwracającego się do mnie czteroliterowymi anglo-saksońskimi monosylabami, które w trosce o składnię przetykał "komuchem". Przypominam sobie, że była trzecia czterdzieści, gdy powiedział: - Nie musicie patrzeć na zegarek, pułkowniku. Pańscy przyjadę są już daleko stąd. - Była trzecia czterdzieści dziewięć, kiedy mi przyłożył, ponieważ po raz dwusetny odpowiedziałem: - Nie wiem. - Później przykładał mi jeszcze mnóstwo razy. Bił mnie do momentu, gdy w końcu postanowiłem mu powiedzieć cokolwiek. Mój zegarek pokazywał wówczas czwartą dwadzieścia dwie. Stał. Był po prostu rozwalony.

Miałem nadzieję, że poddadzą mnie rutynowemu przesłuchaniu, którego zalety miałem już wkrótce poznać. Leżałem na wojskowych noszach. Okiennice nade mną były zamknięte na kłódkę. W świetle lampy fluorescencyjnej kremowe ściany obszernego pokoju nabierały bladozielonego odcienia. Domyśliłem się, że jesteśmy w jednopiętrowym budynku administracji na północnym skraju wyspy. W pokoju był jedynie telefon i stojące nad nim krzesło, na którym siedział mój strażnik. Jawny znak, że nie mieli zamiaru żartować.

Uwierały mnie twarde, metalowe nosze. Zgiąłem poobtłukiwane mięsne i spróbowałem odemknąć spuchnięte powieki. Mój towarzysz oderwał się od gazety i podszedł do mnie. Udawałem trupa, chyba miałem do tego wrodzony talent, bo wydawało mi się to dziecinnie łatwe. Kopnął mnie w nogę. Nie było to zbyt silne kopnięcie, ale wszystkie nerwy od kolana do pępka przeszył mi ostry ból. Z największym trudem powstrzymałem jęk i jakoś nie zwymiotowałem. Młody wojak sięgnął do kieszeni koszuli. Usłyszałem trzask zapalanej zapalki. Delikatnie włożył mi do ust papierosa.

- Jeśli to jest Ellis Island\* [Ellis Island - wyspa koło Nowego Jorku i obóz dla deportowanych i imigrantów, których nie wpuszczono do Stanów Zjednoczonych, (przyp. tłumacza.)], to zmieniłem zdanie - odezwałem się.

Żołnierz uprzejmie się uśmiechnął i jeszcze raz kopnął mnie w nogę. Ten dzieciak miał duże poczucie humoru, dał mi ciętą ripostę.

Byłem bardzo głodny. Zanim mnie stąd wzięli, dzieciak zdążył przeczytać Confidentiala, Screen Romances, Gals and Gags i Reader's Digest. Na zewnętrznej stronie drzwi przeczytałem POCZEKALNIA NR 3. Przeszliśmy kilka kroków korytarzem.

Drzwi z napisem "Lekarz Dyżurny Wydziału Bezpieczeństwa" prowadziły do przytulnego pokoju, w którym spora metalowa lampa rzucała jasny krąg światła na mahoniowe biurko.

W świetlnym kręgu stał metalowy ekspres pełen aromatycznej kawy, niebieski dzbanuszek z gorącym mlekiem, grzanka, masło, świeżo usmażony bekon, dzbanek gorącego syropu kukurydzianego, jajko en cocotte i dżem pomarańczowy. Za biurkiem siedział starszy pan w mundurze dowódcy brygady. Rozpoznałem głowę z krótko przystrzyżonymi włosami. To był ten facet, z którym rozmawialiśmy razem z Dałbym. Był tak zajęty jedzeniem, że nawet na mnie nie spojrział. Włożył do ust bekon i widelcem wskazał skórzany fotel.

- Filiżankę kawy, synu? - zaproponował.

- Nie, dziękuję. - Wydobywający się zza spuchniętych warg mój głos był dziwnie zniekształcony. - Jadłem obfity posiłek, który mi wystarczy na cały dzień.

- Rzeczywiście jesteś twardy, co, synku? - Do czarnej filiżanki nalał kawy i wrzucił cztery kostki cukru. - Cukru można dodać - wyjaśnił.

Napiłem się słodkiej kawy, która zmyła mi z warg zakrzepłą krew. - Dobra porcelana, ale rzeczywiście dobra, jest niezbędna w każdym domu, porządnym domu. - Podzieliłem się z nim własnym przemyśleniem.

Podniósł słuchawkę.

- Przynieście zaraz gorący bulion i kanapkę z bekonem.

- Dobrze wysmażonym i na grzance - uzupełniłem.

- To niezłe - powiedział do mnie, a potem do słuchawki: - Zrób dwie grzanki z dobrze wysmażonym bekonem.

Ten facet dobrze znał ludzki organizm. Chciał być uprzejmy, obserwował, co robiłem. Zjadłem kanapkę i wypilem bulion. Nie zwracał na mnie uwagi, ale kiedy skończyłem bulion, poczęstował mnie cygarem. Gdy odmówiłem, wyciągnął paczkę gauloisów i nalegał, żebym ją sobie zatrzymał. Panowała przenikliwa cisza. W mroku za biurkiem dojrzałem staroświecki zegar, który właśnie wybijał dyskretnie pół do jedenastej. Antyczne meble i ciężkie zasłony świadczyły, że pomieszczenie zajmuje człowiek na tyle ważny, by nawet tutaj, na Tokwe, żyć w wytwornych warunkach. Zaczął coś pisać. Potem, nie spojrzawszy na mnie, powiedział:

- Zawsze, kiedy się do tego zabieram, wychodzą na wierzch jakieś śmierdzące szczegóły. - Myślałem, że kierował to do mnie, ale tylko przesunął na biurku kilka jakichś fotografii. Jedna z nich była portretem w winietce, jaki można sobie obstałować za dolara u prowincjonalnego fotografa. Dwie pozostałe były zdjęciami do paszportu. Wszystkie przedstawiały jasnowłosego kaprała w wieku około dwudziestu dwóch lat. Był pewnie synem farmera ze środkowego Zachodu. Płątała się jeszcze czwarta fotografia, mocno zamazana migawką. Widać było na niej dziewczynę o dość pospolitej urodzie, stojącą obok nowego buicka. Na odwrocie zdjęcia napis: "Drogeria Schulza. Fotografie przez całą dobę". Odłożyłem je na blat biurka.

- A więc? Jakiś żołnierz - odezwałem się.

- Bardzo sympatyczny chłopak. Od sześciu miesięcy w wojsku. A wie pan co? Pierwszy raz w życiu widział ocean, kiedy miesiąc temu przejeżdżał przez San Francisco. - Oficer wolno się schylił. - Kiedy skończy pan kawę, coś tutaj pokażę. - Cierpliwie czekał, aż dopiję.

- Do następnej będę miał chyba sporo czasu - zauważyłem.

- Bardzo możliwe - zgodził się z uśmiechem zadowolonego człowieka. - Chodźmy do pańskiego pokoju.

Mrok korytarza rozpraszało pasmo niebieskiego światła, drzwi do poczekalni numer trzy nie były zamknięte. Uchyliłem je i nagle się zorientowałem, że to już nie dziesiąta czterdzieści wieczorem. Było jasne przedpołudnie.

Oślepiły mnie wpadające przez odemknięte okiennice promienie tropikalnego słońca. Wszystko było na swoim miejscu: krzeselko i telefon, Confidential i Screen Romances, Gals and Gags i dwa numery Rider's Digest. Pod ścianą stały oliwkowe nosze, które niedawno opuściłem. Przykrywający je niebieski koc był jeszcze poplamiony moją krwią. Nie zauważyłbym żadnych zmian, gdyby na kocu nie leżały okropnie pokiereszowane nagie zwłoki.

Oficer podszedł do trupa.

- To jest kapral Steve Harmon. Piszę list do jego rodziców. To jest właśnie chłopak, którego pan zabił w nocy.

## 24

(Wodnik (20 stycznia - 19 lutego). Kłopotliwe przepisy mogą utrudnić dalsze działania, ale nie bądź zbyt impulsywny. Szanse zawarcia nowych, interesujących przyjaźni).

W ciągu następnej doby chyba czternaście godzin spędziłem z dowódcą brygady, ale też nieźle mnie obrobili lekarze. Tego samego wieczoru znów byłem w jego gabinecie. Podano mnóstwo gorącej kawy i kanapek ze smażonym bekonem. Brygadier nalał sobie szóstą filiżankę kawy i przerwał długą ciszę.

- Pułkowniku, pańskie dossier jest tutaj oznaczone trzema gwiazdkami, jak opony Michelin, co oznacza, że daliśmy panu naszą najwyższą ocenę. Nie musi ona sugerować, że jest pan tak dobry w swoim fachu, ale to, że jest pan dla nas trzygwiazdkowym potencjalnym zagrożeniem. Chociaż jeśli chodzi o mnie, sądzę, że jest pan nieźle wyszkolony i istnieje na to brutalny dowód. Nie twierdzę, że tak jest w istocie. Przysłali mnie tutaj, żebym sprawdzał, czy w kolczastych drutach nie gnieźdzą się ćmy. Proszę mi powiedzieć, że w środę w nocy nie wysyłał pan sygnałów do rosyjskiej łodzi podwodnej. Chcę panu wierzyć. W porządku. Niech pan uzupełni moją wiedzę i opowie o swojej działalności.

Doceniałem fakt, że staruszek był sympatyczniejszy niż wymagała jego rola, zwłaszcza, jeśli wziąć pod uwagę jego przeświadczenie, iż to ja połączyłem wieżę z linią wysokiego napięcia i zrobiłem żużel z jego policjanta.

- Nie chce mi się wierzyć, że ta łódź nie wystrzeliła własnej rakiety oświetlającej.

- Nie żartuj ze mną, synu. To oczywiste, że wystrzeliła.

- W porządku. Więc po co w ogóle miałby działać tu jakiś agent?

- Synku, popatrz na to tak. Sygnał przejęli tylko dzięki...

- Pytam, o jaki sygnał chodzi, a pan mi nie chce powiedzieć...

- Właśnie ten, który wysłałeś, synku, który wysłałeś... bo jesteś... - szukał odpowiedniego słowa - w tym ubabrany, właśnie ubabrany.

- Poczul zakłopotanie z powodu własnej irytacji i zaczął przecierać okulary - Jestem za stary na tę waszą wojnę...

Dobry agent wykorzystuje każdą okazję do sporu, zwłaszcza jeśli jego przedmiotem jest przedłużenie własnego życia.

- A zdawało się nam, tak przynajmniej sobie wyobrażałem, że jestem zbyt prostoduszny, bym się nadawał do takich przesłuchań. - Skinął głową. - Sygnałem były elektryczne impulsy wysokiej częstotliwości. Tak jak Morse może być wysyłany szybkimi seriami, przekazującymi w sekundę długą wiadomość, którą się zapisuje i później wolno odczytuje - podobnie można przysyłać elementy obrazu telewizyjnego. Wczoraj wieczorem kamera z przekaźnikiem, którą mógł przerosić jeden człowiek, była skierowana na "górze", i niezależnie od tego jak potrząsano kamerą, szybkość przekazywanych impulsów zapewniała wyraźny obraz.

- Tak samo jak film robiony na wolnych obrotach jest mniej wrażliwy na wstrząsy kamery - wtrąciłem, by zademonstrować swoją inteligencję.

- No właśnie - powiedział brygadier, który nie miał wątpliwości, że to ja korzystałem ubiegłej nocy z tego sprzętu i aż go podrzuciło na tę myśl.

- Ale ostatnia noc była niezwykle ciemna. Czy w takich ciemnościach można w ogóle robić zdjęcia fotograficzne?

- Nie powinienem panu tego mówić, ale skoro już gramy tę komedię... - Zapalił cygaro z pudełka z kości słoniowej. Jak przystało na konesera cygar, zapalił je zapałką. Obrócił je w ustach i wyjmując wypuścił dym -...nasi chłopcy nie są całkiem pewni: być może przy szybkich impulsach powstaje szczelina, umożliwiająca robienie zdjęć w ciemnościach. A jeśli nie, to prawdopodobnie łódź podwodna oświetliła przysłoniętą chmurami bazę reflektorem na podczerwień, by odebrać odbite światło. Byłoby to, naturalnie, niewidoczne dla ludzkich oczu...

- I co?

- Skąd ten błysk? Tak, ów błysk to sprzeczność, ale przy poderwaniu kamery transfokator mógł maksymalnie wydłużyć ogniskową - tak jak to się robi podczas meczu piłki nożnej - ale wówczas jasność obiektu byłaby bardzo mała. A przy błysku i olbrzymiej szybkości impulsów można było otrzymać bardzo zbliżone obrazy "góry". Prawdopodobnie

błysk był wywołany automatycznie przez aparat odbiorczy, gdy "obraz", by tak rzec, okazał się zbyt ciemny. Kamerę utrzymywał w odpowiednim położeniu, to znaczy w kierunku "góry", elektroniczny żyroskop sterowany kompasem, który korygował kierunek.

- Nie pozostawili nic przypadkowi, nieprawdaż? - zapytałem. Cierpko na mnie spojrzał. Ciągnąłem dalej:

- To dziwne, że nie mogli się obyć bez tego błysku, przecież nikt by o niczym nie wiedział.

- Wcale nie. Jak ciągle panu powtarzam, wszystko rejestrowaliśmy. Jeśli pan chce, mogę to pokazać. Ale nie robi pan głupstwa, zgoda? - zapytał starszek. - Ponieważ...

- Nie sposób pana nie doceniać - wtrąciłem.

- Pękam z dumy - uśmiechnął się. - Pana również - odwdzieczył się. - Oczywiście, przyjęcie wczoraj wieczorem było wydane dlatego, że coś na "górze" robiliśmy. Nie powiem co. - Spróbowałem zrobić minę człowieka, który to wiedział, ale zaraz kopnąłem się w kostkę, że tak łatwo dałem się wystrychnąć na dudka. Co do przyjęcia, to powinienem się domyślić, że to nie było ot, takie sobie zebranie towarzyskie. Zachodziłem w głowę, czy Dalby mógł wiedzieć, że w tym samym czasie, kiedy się odbywało garden-party, dokonywano tajnych eksperymentów. Brygadier był na przyjęciu, by mieć pewność, że tam jesteśmy. Teraz to wszystko zaczynałem rozumieć. Domyśliłem się, że chodziło o bombę neutronową\*<sup>[ / Patrz Dodatek: Bomba neutronowa, str. 219]</sup>, którą mieli eksplodować.

Informacja, którą nam podano, że jest to bomba z uranem 238 i układem wyzwalającym SUVOM była prawdziwa, ale tej nocy na teren eksplozji wysłano zespół, który miał bombę zmodyfikować. Kontynuując naszą rozmowę, zapytałem:

- Ma pan na myśli zainstalowanie mechanizmu neutronowego? Skinął głową.

- Czy wykonaliście "helikopterowe wahadło z płaskiego szczytu"?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział z kąśliwym uśmiechem. Wtoczył na środek biura metalowy wózek. Przygotowując do uruchomienia stojący na nim szesnastomilimetrový projektor, zaczął mówić:

- Na wieżach mieliśmy kamery na podczerwień, które kontrolowały szosę i kanał żeglugowy. Niektóre wieże są obsadzone przez ludzi, ale większość jest kontrolowana zdalnie. Każda kamera przekazuje obraz na tej samej częstotliwości i aparatura odbiorcza pokazuje... - Nawinał końcówkę taśmy i zamknął metalową klapkę szarego aparatu. Zgasła lampa na biurku, na ścianie zabłysnął szary prostokąt i zaczął nabierać wyrazistości przy akompaniamencie pomrukiwania projektora. Wielkie cyfry czołówki ustąpiły miejsca pośpiesznie obrobionemu filmowi. Gospodarz ciągnął dalej:



-... pokazuje coś w rodzaju zniekształconego planu stoku wyspy.

Ekran był szary, jedynie u dołu pojawił się pelzający w górę biały podłużny kształt. - To jest pański samochód - powiedział. Domyśliłem się, że to kombinacja wozów Dalby'ego i mojego, ale wołałem milczeć. Gdy krótki, podłużny kształt znalazł się u góry, przez ekran przemknął horyzontalny cień.

- To się stało, gdy wieżę z załogą podłączono do przewodów elektrycznych. Wyłączyła się wtedy kamera, ale, na szczęście, pola widzenia kamer zachodziły na siebie. Teraz pan to widzi. - Podłużny kształt ściągnął się w kropkę, gdy zatrzymałem mój wóz i nagle obraz stał się gmatwaniną podłużnych, intensywnych pasm o zróżnicowanej szerokości i jasności. - Przy szybkich impulsach przekazywanego obrazu otrzymujemy setki zdjęć telewizyjnych na czas trwania jednej klatki. - Pasma pociemniały. - Gdzieś tutaj pojawił się błysk.

Na zupełnie czarnym ekranie pojaśniała kropka mojego lincolna.

- Trzepaczki do jajek. - Z boku pojawiły się drgające plamki dwóch helikopterów. Przypatrywałem się, jak zawróciły do mojego samochodu i zaczęły nad nim krążyć. Jak dotąd, nie zobaczyłem niczego, o czym bym już nie wiedział. Ale sumienne laboratorium filmowe dokleiło na końcu incydent z moim aresztowaniem. Dwa wozy jechały szosą z góry ekranu, a jeden z dołu w górę. Wreszcie się czegoś dowiedziałem. Aparatura uwidoczniała wyraźną różnicę między dwoma pierwszymi samochodami i tym drugim. Wiedziałem, że Dalby jechał przede mną w odległości kilku jardów. A więc jego wóz nie był w ogóle widoczny dla radarów strzegących wyspy.

Teraz bez trudu zrozumiałem, do czego miała służyć kartka znaleziona w pudle z żurawinami. Radio o wysokiej częstotliwości fał służyło zwykle do porozumiewania się z łodziami podwodnymi w zanurzeniu. Kompas miał być przymocowany do elektronicznego żyroskopu przy kamerze. Miałem w tym wszystkim szczęście, że nie włożyłem kartki do kieszeni.

Poza tym przekaz telewizyjny był potrzebny, ponieważ eksplozja bomby neutronowej nie jest, jak w przypadku bomby wodorowej, jednym wielkim błyskiem; jest tak zaprojektowana, że unosi się nad miastem i bombarduje je neutronami. Jedynie obrazy ukazujące ich spadanie i rozprzestrzenianie się mogą na coś się przydać. Obraz nieruchomy wyjaśnia niewiele albo zgoła nic.

Na drugi dzień pokazali mi powykrzywiane metalowe elementy aparatury telewizyjnej. Ciężkie uchwyty były mniej powyginane niż cienka blaszana obudowa. Oglądałem też fotografie i inne materiały. Wyglądało na to, że mieli niezłą kolekcję odcisków

palców na aparaturze. Oczywiście, były to moje odciski. Nigdy nie dotykałem tej diabelnej maszyny, ale nie wątpiłem w szczerść obu stron.

**25**

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego). Odnoszę się do ludzi taktownie. Świeżo zawarte znajomości stworzą widoki na emocjonujące podróże).

Następne dni zlewały się w jeden wielki chaos. Rozpoczął się o czwartej dwadzieścia dwie, równocześnie z długim dniem przerywanym przesłuchaniami, jak filmy po dzienniku reklamami telewizyjnymi.

Każdego dnia przez godzinę badali mnie psycholodzy i lekarze. Poddawano mnie testom na inteligencję, prowadzono ze mną wywiady i proszono o napisanie życiorysu. Kojarzyłem trójkąty i koła, wtykałem drewnianka w drabinki. Badano moje reakcje, szybkość i koordynację ruchów oraz wydolność mięśni. Fotografowano i mierzono centymetrem znamiona na ciele, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Umysł mąciły mi zimne prysznice i gorące lampy. Zapomniałem o istnieniu Jean i Dalby'ego, czasem wątpiłem we własne.

Nieraz strażnicy podawali mi czas, mówiąc najczęściej, że minęła właśnie czwarta dwadzieścia. Pewnego dnia, a może to była noc, po pierwszej zmianie warty zjawił się w poczekalni numer trzy kapitan amerykańskiej armii. Nie podniosłem się z noszy, czując się tutaj jak w domu. Kapitan miał jakieś czterdzieści dwa lata i poruszał się jak Europejczyk, to znaczy taki facet, który dla podtrzymania spodni nosi szelki. Miał pomarszczone ręce i wyglądał, jak gdyby nigdy nie używał mydła, by usunąć zalegający mu porożek czarno-ziemi. Brakowało mu płatka jednego ucha i łatwo było sobie wyobrazić niezdarną wiejską akuszerkę wczesnym rankiem gdzieś na Bałkanach.

- Jo napot kivanok - powiedział.

W Cafe Budapeszt słyszałem to powitanie kilka razy i zawsze się przekonywałem, że najlepsze wrażenie na młodych kelnerkach robiło "kezet csokolm" (całuję rączki).

Nad tym chłopakiem przepłynęło to jak balon na uwięzi.

- Podnoś się, pielucho - odparł, zmieniając podejście do sprawy.

Mówił z twardym akcentem, szczerze sypiąc idiomami. Idiomy miały mnie utwierdzić w przekonaniu, że jest Amerykaninem do szpiku kości i dawały mu chwilę wytchnienia na to, żeby mógł sobie przetłumaczyć następne zdanie.

- No spik inglese - powiedziałem, wzruszając ramionami i wyciągając do góry dłonie obu rąk.

- Wstawaj, bo ci przyłożę!

- Żebyś tylko nie rozwalił mi zegarka.

Rozpiął górną kieszeń munduru i pokazał mi kartkę papieru.

- To jest rozkaz deportacji podpisany przez sekretarza Stanu. - Mówił to, jak gdyby miał nakleić karteluszek na grzbiet kieszonkowego wydania pism Thomasa Paine'a. - Masz cholerne szczęście, że cię wymieniamy na dwóch pilotów, znajomych senatora, bo inaczej zrobilibyśmy ci ciaaach. - Wydając obraźliwy dźwięk, przeciągnął palcem po grdyce.

- Nie chciałbym cię zamęczać, wujku Tomie, ale dlaczego Anglia wymienia mnie za dwóch pilotów?

- Ho, ho, Anglia! - odrzekł z oznakami rozweselenia. - Anglia? Nie jedziesz do śmierdzącej Anglii świnio. Wracasz na Węgry! Bardzo cię tam lubią za to, że spieprzyłeś sprawę na wyjeździe. Ho, ho! Oni już zrobią ciaaach!

- Ho, ho! Zostawię ci trochę kaszanki. - Początkowo nie brałem na serio pomysłu z wysłaniem mnie na Węgry.

Niewiele mogłem zdziałać. Ani Dalby, ani Jean nie mogli się do mnie dostać. Nie bardzo mogłem liczyć na jakąś inną pomoc. A teraz te węgierskie brednie.

Zamartwiałem się tym wszystkim przez dwie godziny, a potem przyszedł medyk z długim wózkiem na kółkach i emaliowaną tacką, na której było widać eter, watę i strzykawkę. Nawilżył białą poduszeczkę na tacce i wygładził czerwony koc. Zmierzył puls, podniósł mi powieki i przy pomocy stetoskopu osłuchiwał piersi. - Proszę się położyć na stole. I zupełnie odprężyć.

- Która godzina? - zapytałem.

- Dwadzieścia po drugiej, podwinąć rękaw. - Potarł eterem skórę i z zawodową wprawą wbił w znieczulone ciało ostrą, błyszczącą igłę-

- Która godzina? - wycharczałem.

- Dwadzieścia po drugiej - powtórzył.

- Co, co, co. Godzina, godzina, godzina. - To nie ja mówiłem, to powtarzało metaliczne echo: - Godzina, godzina, godzina. - Spojrzałem na faceta w bieli, który stawał się coraz mniejszy i mniejszy. Stał daleko przy drzwiach, ale ciągle ścisnął mi rękę. Czy to możliwe? Godzina, godzina, godzina. Ciągle ścisnął mi rękę, ręce, to znaczy obie ręce. Dwóch tych facetów, obie moje ręce. Z takiej odległości, tacy mali ludzie przy malusieńkich drzwiach.

Przetarłem czoło, bo ciągle kręciłem się wraz ze stołem i spadałem w dół. Ale coś musiało mnie unosić, chociaż wciąż się obracałem i spadałem w dół, bo stale pozostawałem na takiej wysokości, by ciągle się kręcić i spadać. Przetarłem czoło ciężką ręką. Była wielka

jak balon zaporowy i można się było spodziewać, że zakryje mi całą głowę, ale czoło było takie szerokie.

Szerokie. Szerokie jak stodoła. Wieziono mnie. W stronę drzwi. Nie przepchną takiego olbrzyma przez te maleńkie drzwi. Nie mnie, nigdy. Ha, ha. Nigdy, nigdy, nigdy. Łup, łup, łup.

Do podświadomości dotarło dudnienie silników, przekraczając próg półsnu. Ilekroć się budziłem, widziałem nad sobą jakąś postać. Ostry ból w ramieniu wywoływał mdłości, przepływając przeze mnie na przemian falami gorąca i przejmującego zimna. Wieziono mnie na wózku korytarzami i po nierównym terenie, przerzucano jak kosz na śmieci, wpychano do jakichś pojazdów i taszczono do samolotów. Ale z pewnością ani razu nie było wysoko nade mną rozmazanej twarzy księżycy. Ostry ból przysłonił mi twarz mgłą nieświadomości.

Wolniutko wyłaniałem się na powierzchnię. Z głębokiego mroku unosiłem się w stronę błękitnej, szemrzącej zatoki życia bez trujących leków.

Odczuwałem ból, więc żyłem.

Przywarłem do wilgotnej ziemi. Dzięki płynącemu z małego okienka światłu dojrzałem rozbity zegarek, na który zwymiotowałem. Wskazywał czwartą dwadzieścia dwie. Zatrząsałem się z zimna. Gdzieś z bliska dochodziły mnie jakieś odgłosy. Żadnych rozmów, głównie jęki.

Stopniowo odzyskiwałem wrażliwość na bodźce. Otaczało mnie gorące, mokre powietrze. Oczy z trudnością przywykały do półmroku. Zamknąłem je. Pograżyłem się w głębokim śnie. Noce często dłużyły się jak tygodnie. Stawiano przede mną powyginane miski z czymś, co przypominało owsiankę, i jeśli tego nie zjadłem, zabierano. Zjedzeniem przychodził zawsze ten sam człowiek. Miał płaską twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi. Gdy pewnego dnia siedziałem na ziemi w kącie pomieszczenia - mebli tu nie było - usłyszałem odsuwanie rygli przy drzwiach. Wszedł Kublai Khan, tym razem bez jedzenia. Nigdy przedtem nie słyszałem jego głosu.

- Niebo jest błękitne, ziemia czarna - odezwał się zachrypnięty. Wpatrywałem się w niego w milczeniu. Powtórzył:

- Niebo jest błękitne, ziemia czarna.

Podszedł i uderzył mnie otwartą dłonią. Na tym etapie mego przeszkolenia nie musiał mocno bić. K. K., wychodząc, zasunął zasuwę, a ja zostałem głodny. Po upływie dwóch dni zrozumiałem, że mam powtarzać za K. K. to, co mówi. To było nieskomplikowane. Przez te dwa dni tak osłabłem z głodu, że później wylizywałem miskę z jedzeniem do czysta. Papka była wysmienita, toteż nie korzystałem z łyżki. Od czasu do czasu K. K. mówił:

- Ogień jest czerwony, chmura biała - albo: - Piasek jest żółty, jedwab jest biały. - Często mówił tak niewyraźnie, że zaczynałem go rozumieć dopiero po kilku godzinach nieustannego powtarzania słów. Pewnego dnia zaproponowałem:

- Załóżmy, że kupię panu podręcznik do języka angielskiego, czy wtedy się stąd wydostanę? - Za tę propozycję nie dostałem przez cały dzień jedzenia i brudnego koca na noc. Dziewiątego dnia nauczyłem się, jakiego koloru jest niebo. Przez cały czas K. K. pokazywał rozmaite rupiecie i recytował ich nazwy. Ale powtarzałem to nie tak, jak należy. Na przykład:

- Niebo jest czerwone, jedwab jest błękitny. - K. K. wrzeszczał i lekko bił mnie po twarzy. Nie jedząc i nie mając koca, trząsałem się nocami z zimna. Od tej pory raz rozumiałem go właściwie, raz nie, w zależności od koloru, jaki K. K. wszystkiemu przypisywał. Mimo papki byłem coraz bardziej wycieńczony. Przeszedłem "fazę dowcipkowania", potem fazę "zadawania pytań" i "czy rozumiesz po angielsku?" Byłem już tak wyczerpany, że pewnego dnia zacząłem wszystko poprawnie rozumieć i K. K. przyniósł mi zimny kawałek gotowanego mięsa. Szlochałem przez godzinę, choć wcale nie było mi smutno. Każdego ranka otwierano drzwi, a ja wystawiałem wiadro z nieczystościami, które wracało na noc. Zacząłem liczyć dni. Na drewnianych drzwiach wyskrobałem paznokciem prymitywny kalendarz. Pewne daty zaznaczałem podwójnymi nacięciami, które oznaczały dni, kiedy słyszałem jakieś hałasy. Były tak głośne, że wybijały mnie ze snu. Z pewnością hałasowali ludzie, ale trudno było się zorientować, czy jęczeli, czy coś wykrzykiwali. Pewnego dnia K. K. wręczył mi kartkę z wypisanymi na maszynie instrukcjami w rodzaju: "Więzień ma spać z rękami na kocu", "Więźniowi nie wolno spać w dzień".

Kiedyś K. K. dał mi papierosa i zapalił go. Gdy usiadłem i zaciągnąłem się, spytał:

- Dlaczego pan pali? - Odparłem, że nie wiem, a on wyszedł. Ale na drugi dzień zielony nazwałem sepią i znów dostałem w łeb.

Kiedy zaznaczyłem na kalendarzu dwudziesty piąty dzień, K. K. przyniósł mi kartkę z informacją, że "Więzień ma na rozmowę z odwiedzającym (-cą) tylko sześć minut". Na korytarzu rozległy się jakieś kroki i K. K. wpuścił do mnie młodego kapitana węgierskiej armii. Całkiem niezłe mówił po angielsku. Staliśmy przez chwilę naprzeciw siebie, wreszcie powiedział:

- Prosił pan o spotkanie z ambasadorem Wielkiej Brytanii.

- Tego nie pamiętam - odparłem powoli.

K. K. tak mocno mnie popchnął, że gruchnąłem o ścianę celi i straciłem oddech.

Kapitan nie przerywał.

- Ja nie pytam. Ja to stwierdzam. Prosi pan. - Był naprawdę uroczy i ciągle się uśmiechał. - Sekretarz ambasady jest na zewnątrz. Za chwilę pana odwiedzi. Już idę. Tylko sześć minut.

K. K. doprowadził gościa, który uderzył głową w górną poprzeczkę futryny. Zakłopotany wyjaśnił, że to nie była jego decyzja, a on jest tylko trzecim sekretarzem itp. Wspomniał również, że nie było wzmianek o moim brytyjskim obywatelstwie, chociaż przyznaje, iż wyglądam na Brytyjczyka. Był tak skrupowany i zakłopotany całą sytuacją, że nigdy nie wziąłbym go za brytyjskiego urzędnika, za jakiego się podawał.

- Proszę mnie nie brać za impertynenta - powiedziałem - ale chciałbym zobaczyć jakiś pański dokument.

- Absolutnie nie - powtórzył kilkakrotnie, jeszcze bardziej zakłopotany.

- Nie chodzi mi o paszport. Pan rozumie, po prostu coś, co by świadczyło o regularnych kontaktach z krajem.

Wpatrywał się we mnie pustym wzrokiem.

- Jakieś przedmioty codziennego użytku, żebym się upewnił. Rzeczywiście chciał mi pomóc. Wrócił z jakimiś drobiazgami i wyjaśnił mi, dlaczego ambasada nie mogła nic zrobić. Najbardziej się obawiał, że mogłem wplątać w całą aferę grupę Dalby'ego i ciągle się dopytywał o jakieś oświadczenie, które miałem złożyć węgierskiej milicji.

Podjeżdżanie mnie o to przy jednoczesnym utrzymywaniu, że nie jestem brytyjskim poddanym, było szalonym wysiłkiem nawet dla starej szkoły brytyjskiej dyplomacji.

- Żeby tylko pana nie wysłali do więzienia dla politycznych - ciągle powtarzał. - Oni bardzo źle traktują więźniów politycznych.

- W końcu to nie YMCA - wtrąciłem przy okazji. Wolałem, żeby już do mnie nie przychodził. Lepiej znosiłem K. K., przy nim przynajmniej wiedziałem, gdzie jestem.

Podczas gdy noce stawały się chłodniejsze, każdy dzień wydawał się bardziej upalny od poprzedniego.

K. K. znał angielski wystarczająco jak na codzienny użytek, to znaczy, żeby dać mi jedzenie i rąbnąć w nos. Z czasem doszedłem do wniosku, że jeśli poproszę po węgiersku, dostanę od jednego ze strażników kubek czarnej kawy. Starszawy facet o wyglądzie muzykanta z marnej opery dawał mi czasem trochę tytoniu do żucia.

W końcu przyszedł z ostatnimi odwiedzinami wysoki Brytyjczyk. Weszli do celi głośno się przekrzykując, ale tym razem mówił jedynie kapitan:

- Rząd Jej Królewskiej Mości w żadnym wypadku nie może pana uznać za brytyjskiego obywatela. I dlatego - ciągnął - proces się odbędzie według węgierskiej procedury. - Facet z ambasady dodał, że jest mu bardzo przykro.

- Proces? - zapytałem, ale K. K. trzasnął mnie o ścianę, więc natychmiast zamilkłem. Brytyjczyk, zakładając kapelusz z podwiniętym rondem, spojrzał na mnie ze współczuciem i wyszedł.

K. K. w rzadkim przypływie altruizmu przyniósł mi czarną kawę w filiżance z prawdziwej porcelany. Niespodzianka gonila niespodziankę, bo gdy zacząłem pić, poczułem w kawie odrobinę śliwownicy. Jakoś dłużył się dzień. Podkułem nogi i objąłem je rękami. Zасыpiając myślałem: - "Jeśli się szybko stąd nie wydostanę, będzie nam, koledzy, wzajemnie siebie brakowało".

Nieraz zostawiali mi światło na całą noc, i gdy myliłem kolory K. K., przysyłali wąsatego strażnika, który mi nie pozwalał zmrzyć oka. Bez przerwy gadał, a jeśli był przy mnie K. K., to wrzeszczał, żebym się nie opierał o ścianę. Mówił, co mu ślina przyniosła na język, a to o rodzinie, a to o służbie w wojsku, bylebym tylko nie zasnął. Nie rozumiałem ani słowa, ale łatwo było poznać, że jest prostym człowiekiem. Pokazał mi, jak wysoka jest czwórka jego dzieciaków, dając znak, że mogę się oprzeć o ścianę, podczas gdy on wyglądał na korytarz, czy nie idzie K. K.

Co trzeci dzień zaglądał kapitan i, chociaż może się myliłem, zacząłem wierzyć w to, że jak mówił - jest moim adwokatem. Podczas pierwszej wizyty odczytał mi akt oskarżenia, co trwało prawie godzinę. Oskarżenie było napisane po węgiersku. Tłumaczył mi zwroty w rodzaju "wróg państwa", "zdrada stanu", "spiskowanie przeciwko demokracji ludowej", między które powrzucono trochę "kapitalizmu" i "imperializmu".

Na drzwiach wskrobałem już trzydzieści cztery znaki. Dorywczo wypoczywając i śpiąc, trochę zebrałem się do kupy, choć daleko mi było do Steva Reevesa. Fizycznie i psychicznie czułem się kiepsko. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie dam rady popłynąć pod wrogi mi prąd. Nie było szansy ucieczki, czy wywalczenia sobie wyjścia przez główną bramę. Jeśli mógłbym stąd wyjść, to jedynie wolnym, spokojnym krokiem. Do takiego właśnie wniosku doszedłem trzydziestego piątego dnia izolacji i głodowania.

Jedyną osobą łamiącą miejscowe przepisy był stary wąsaty strażnik. Wszyscy zamykali za sobą drzwi, a jedynie on stawał w progu. Nie miałem wyboru. Jedyną moją bronią były drzwi do celi. Chciałem uciekać w nocy, a więc nie mogłem posłużyć się elektrycznym przewodem. Wiadro z nieczystościami było zbyt ciężkie. Nie, jedynie drzwi, co oznaczało, jak się obawiałem, że strażnik nimi dostanie. Tej nocy postanowiłem spróbować.

Udając, że chcę odpocząć, oparłem się o ścianę przy drzwiach naprzeciwko mojego celu. Nie podszedł wystarczająco blisko. Stałem bez ruchu. Kiedy wreszcie podszedłem do łóżka, dostałem dreszczy. Parę wieczorów później stary przyniósł mi papierosa. Kiedy uderzyłem go drzwiami, zasuwa trafiła w głowę i nieprzytomny upadł na podłogę. Wciągając go do środka, zauważyłem, że ma nieregularny oddech i zakrwawioną twarz. Był starym człowiekiem. W ostatnim momencie o mało nie przerwałem tych ćwiczeń. Zawahałem się, czy go uderzyć, gdy leżał, trzymając jeszcze w ręce przyniesionego dla mnie papierosa.

Zabrałem mu ołówek, zamknąłem drzwi i, ubrany w jego służbową marynarkę i czapkę oraz moje więzienne spodnie, cicho zszedłem po drewnianych schodach. W głównym holu paliła się słaba żarówka, spod drzwi po prawej stronie wychodziło pasmo światła i płynęła cicha muzyka. Główne drzwi były od wewnątrz nie strzeżone, ale postanowiłem ich nie dotykać. Ołówkiem otworzyłem drzwi pokoju z prawej strony. Od momentu, kiedy wyszedłem z celi i przemknąłem się bezszelestnie po schodach, musiało upłynąć trzy i pół minuty.

Zamknąłem za sobą drzwi ciemnego pokoju. Światło księżycy wydobywało z mroku szafy na dokumenty. Przeciągnąłem palcami po okiennej ramie, wymacując przewód alarmu elektrycznego. Wchodząc na biurko, żeby wykręcić żarówkę, usłyszałem głośny trzask ołówka, który niechcący zmiażdżyłem butem. Nagle w sąsiednim pokoju zamilkła płynąca z radia muzyka. Wstrzymałem oddech, ale okazało się, że to tylko ktoś zmieniał stacje. Z wysiłku zaczęły mi się trząść wyciągnięte do góry ręce.

Wyjąłem z kieszeni sześciopensówkę, którą mi podarował jeden z przyjaciół Anthony'ego Edena, włożyłem ją w oprawkę i wykręciłem żarówkę. W świetle księżycy ostrożnie zsunąłem się z biurka i zacząłem po omacku przeszukiwać podłogę. Miałem szczęście, bo natknąłem się na duży grzejnik elektryczny podłączony do wtyczki w ścianie. Mocny różaniec, który Brytyjczyk przyniósł mi do celi jako drugi z kolei angielski "drobiazg codziennego użytku", zwinąłem wówczas bardzo ciasno. Nie było czasu na sztuczki z elektrycznością. Połączenie ściennego gniazdka z kontaktem nie trwało dłużej niż minutę. W pokoju nie było bezpieczników, więc błysk i huk spięcia okazał się być całkiem przyzwoity. Usłyszałem, jak ludzie zaczęli po omacku poszukiwać drzwi i włączać kontakty. Przy okazji musiał pójść także bezpiecznik głównego zasilania, bo okno otworzyło się bez brzęczyków i dzwonek. Szybko prześlizgnąłem się przez parapet na zewnątrz i przymknąłem za sobą okno.

Przycupnąwszy w mokrej trawie, zobaczyłem najpierw otwierające się frontowe drzwi, a potem światło latarki w pokoju, z którego się przed chwilą ulotniłem. Nikt na



szczęście nie próbował otwierać okna. Czekałem skulony. Zawarczał silnik i doszły mnie odgłosy rozmowy dwóch osób, ale warkot zagłuszył słowa.

Wolno przeszedłem na tył budynku. Chyba jednak zbyt zaufałem mojej czapce z daszkiem, bo zaraz ugrzązłem w rozmięklej ziemi i wydobywając się, wpadłem w kolczaste zarośla. Gdzieś w pobliżu głośno zaszczekał pies. Dojrzałem ścianę tylnego ogrodzenia, które sięgało mi do czubka głowy. Wymacałem palcem, że na wierzchu nie było kolczastego drutu ani tłuczonego szkła. Dłońmi uchwyciłem się muru, ale już nie miałem siły podciągnąć całego ciała. Znów zaszczekał cholerny pies. Obejrzałem się na budynek więzienia. Ktoś kręcił się po szklarni, świecąc mocnym przenośnym reflektorem. Mógł go w każdej chwili skierować na ogrodzenie. Powinienem więc raczej leżeć w głębokiej trawie, ale kiedy wystrzelił snop silnego światła, udało mi się już umieścić jedną stopę na wierzchu muru. Zgiąłem nogę i przeciągnąwszy pusty brzuch po murze, spadłem po drugiej stronie ściany. Chociaż było bardzo przyjemnie oddychać pachnącą trawą, nocnym powietrzem, nie mogłem tu dłużej zostać. Nareszcie wolny, ale przemoknięty, głodny i przerażony ruszyłem przed siebie, by się natychmiast zaplatać w jakieś drewniane pręty i zwoje drutu. Im bardziej chciałem się z tego wydostać, tym głębiej brnąłem w pułapkę. Przede mną rozwarła się wąska szczelina światła, w której dojrzałem ludzką sylwetkę.

- Jest tam kto? - zawołał człowiek, gdy oczy przywykły mu już do ciemności. - Hej tam, wyłaź z mojej fasoli, przyglupie! Usłyszałem jak zegar bije dziesiątą.

## 26

Łatwo byłoby teraz udawać, że znałem wówczas odpowiedzi na wszystkie pytania. Łatwo udawać, że od początku wiedziałem, iż trzymali mnie w londyńskim Wood Green. ALE wcale nie udawałem. Częściowo mogłem się tego domyślać, ale z dnia na dzień byłem coraz mniej przekonany. W miarę tego, jak marniałem z głodu i zgryzoty, coraz trudniej było mi myśleć o czymkolwiek poza K. K. i moją celą. W ciągu następnych dziesięciu dni całkiem wyparował mi ze świadomości domysł, że zaraz za ogrodem jest Londyn. I dlatego uciekłem. Musiałem to zrobić wtedy albo już nigdy.

Opuszczenie domu pana Keatinga: - Nazywam się Alf Keating, wymawia się jak nazwa tego pudru - było stosunkowo łatwe. Powiedziałem mu, że się pobiliśmy ze szwagrem, który nie tylko był pijany, ale znacznie ode mnie większy, i gdy sąsiad zadzwonił po policję, przeskoczyłem przez mur ogrodu.

- Uch! - zawołał Alf, odsłaniając zęby jak zardzewiałe sztachety. Ucieczka przed policją była dla niego czymś tak okropnym, że nie mógł sobie wyobrazić czegoś jeszcze gorszego. To znaczy założenia, że jest się fizycznie słabszym i przyznania się do tchórzostwa,

dla potwierdzenia autentyczności mojej opowiadki. Musiałem nieźle wyglądać. Jeżyny podrapały mi ręce do krwi i cały byłem uwalany w błocie. Alf zaczął się przyglądać marynarce od munduru starego strażnika.

- No, muszę już iść do pracy. Jestem portierem w Shell-Mex - wyjaśniłem. - Alf wybałuszył oczy. - Nocnym - dodałem biadającym tonem. - Jakoś nie mogę spać w dzień. - Alf pokiwał głową. - Zapłacę za inspekty.

Alf zamruczał:

- No tak, uważam, że powinien pan zapłacić. - Wyjął z poplamionej kamizelki olbrzymi zegarek, by dostać się do wytartej przez lata używania blaszanej tabakierki. Chciał mnie poczęstować tabaką, ale, gdybym kichnął, najprawdopodobniej odpadłaby mi głowa i potoczyła się pod gazowy piec Alfa. Wolałem nie ryzykować.

Obiecałem Alfowi bańkę oleju Shella po cenie kosztów. Pozwolił mi się umyć. Czy nie zechciałby mnie doprowadzić do szosy?

Szwagier z pewnością nie będzie mnie zaczepiał, gdy zobaczy, że jestem w towarzystwie, wyjaśniłem. Alf odparł ze swadą:

- Kolego, nic mnie nie obchodzi jego zaczepki. Zobacz pan, że nie będę uciekał przez mur. - Dostałem stosowne upomnienie. Bardzo miło się zachował, więc zapytałem, czy mógłby poczekać na pieniądze za grządki do piątku. - Przecież dziś jest piątek - przyłapał mnie.

- Tak, w następny piątek - zaproponowałem, wyjaśniając mu sprawę do końca. - Wypłatę za ten tydzień oddałem już żonie. Za nocę płacą nam w piątek rano.

- No, niech stracę. - Niechętnie wyraził zgodę.

Gdy wsiadałem do autobusu, Alf dał mi sześciopensówkę, trochę miedziaków i spojrzał, jakby chciał mnie zmiażdżyć. Żyłem już tym, co przyniosą najbliższe dni.

## 27

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego). Jeśli tkwisz jak kolek w płocie, nigdzie nie dotrzesz. Trzeba poszerzyć kręgi towarzyskie. Pójdź dokądś pogodny i odprężony).

Usłyszałem, jak dziewczyna z centrali zapytała Charliego, czy przyjmie rozmowę na swój koszt. Zgodził się.

- Mówi przyjaciel Rega - przedstawiłem się.

- Poznałem głos.

- Mister Cavendish, mam kłopoty.

- W porządku. Dostał pan to? - Mówił o telegramie, który otrzymałem na Tokwe.

- Tak, dzięki.
- Nie ma za co. Mój chłopcze, co mógłbym dla pana zrobić?
- Mógłby się pan ze mną spotkać? Teraz?
- Pewnie. Gdzie?
- Bardzo dziękuję.
- No dobrze, ale gdzie? - powtórzył Charlie.

Milczałem, przygotowując następny kawałek: "Ze sklepień wybuchają pożary straszliwe... - i Charlie za mnie dokończył:

„Srogie więzienie, ogień ustawny w nim pała!

Przecież w grubych ciemnościach ta jaskinia cała\*...”<sup>\*/</sup> [John Milton: Raj utracony, przekład Franciszka Ksawerego

Dmochowskiego.]

Wam nic to nie mówiło, ale o to właśnie zabiegał Charlie i John Milton.

- To jest to - potwierdziłem.
- W porządku. Za pół godziny tam będę. Wejdę pierwszy i zapłacę za pana. Czy chce pan coś specjalnego?
- Tak, chcę dostać pracę.

Charlie piskliwie się zaśmiał i odłożył słuchawkę.

W środku nie paliły się światła, jedynie przez przeszkloną ścianę zaglądały z zewnątrz dwie lampy, których nie powstydziałaby się bateria artylerii przeciwlotniczej. Widok przez szyby był iście impresjonistyczny: zewnętrzny świat przytłumiała bezustannie spływająca po szkle gorąca woda. Łoskot wody, rozpryskującej się na rozżarzonej kamiennej podłodze, zwiastował śmiertelne niebezpieczeństwo gorąca, które wyciskało siódme poty. Spodziewałem się zaraz dojrzeć wśród gorącej pary białe, krostowate ciało Charliego, owinięte w kraciasty ręcznik.

- To był znakomity pomysł - powiedział Charlie.

Niższy ode mnie o sześć cali, wytrzeszczał jasne oczy krótkowidza, które błyskały mocniej niż zazwyczaj.

- Znakomity pomysł. - Pochlebiał mi jego entuzjazm. - Przyniosłem panu ubranie. Biała koszula, z kompletu Rega. Pomyślałem sobie, że nosicie ten sam numer. A tu są skarpetki i stare płócienne pantofle. Dla mnie za duże.

Ktoś z pluskiem wskoczył do zimnej wody.

- Turecka łaźnia - objaśnił Charlie - i można się tu nawet zdrzemnąć.

Porami zaczęło się ulatniać zmęczenie.

- Wie pan, panie Cavendish - gdy otworzyłem usta, gorąca para zalała mi płuca - nie miałem się do kogo zwrócić.

- W porządku. Byłbym wściekły, gdyby nie przyszedł pan do wujka Charliego. - To był taki sam nasz żart, jak wtedy, gdy Charlie recytował tutaj strofy z "Raju utraconego". Popatrzył na moją podrapaną twarz i spuchnięty policzek. Para chyba sprawiła, że wszystko było jeszcze bardziej widoczne. - Wygląda pan, jakby wpadł w żniwiarkę - zauważył delikatnie.

- Tak, i teraz przysłali mi rachunek za wyrządzone szkody.

- Niemożliwe. A to ładny pasztet - powiedział serio i piskliwie się zaśmiał. Nie chciał nawet słyszeć moich wykrętów, że nie pójdę do niego. Choć turecka łaźnia oddziaływała terapeutycznie, byłem jeszcze słabiutki jak wypatroszony kociak. Zaciągnął mnie do swojego hillmana rocznik 1947 zaparkowanego tuż przed drzwiami przy Jermyn Strett.

W sobotę rano obudziłem się w łóżku Charliego, właściciel spędził noc na kanapie. W mieszkaniu pachniało świeżo mieloną kawą i smażonym bekonem, a duży kominek na węgiel osiągnął szczyt doskonałości.

Nie jestem dobry w odgadywaniu liczb, więc będzie to możliwie przybliżony szacunek, jeśli powiem, że w małym mieszkaniu Charliego było trzy tysiące książek. Wystarczy wspomnieć, że nie mogłem zerknąć na gołą ścianę. I nie myślcie, że półki wypełniały książeczki w rodzaju Odludka z Wąwozu Nieboszczyków. Nie, cudowne książki były powodem, dla którego Charlie Cavendish miał od 1947 roku ten sam samochód.

- Proszę wstać - powiedział gospodarz, wchodząc do saloniku z białym dzbankiem kawy. - Palona na kontynentalny sposób. W porządku? - Miałem nadzieję, że się nie stawałem aż takim smakoszem, żeby ludzie, zanim mi zaproponują filiżankę kawy, mieli sprawdzać jej gatunek.

- Znakomicie - odparłem.

- Nie będzie panu przeszkadzać muzyka?

- Nie, nawet dobrze mi robi.

Charlie podszedł do adapteru hi-fi. Była to masa lamp i pojedynczych elementów powiązanych do kupy pętelkami drutu i przylepcem, oraz popękany regulator napięcia dźwięku. Na ciężkim talerzu obrotowym położył błyszczącą płytę i delikatnie opuścił diamentową główkę. To dziwne, ale wybrał czterdziestą pierwszą symfonię Mozarta i w pierwszej chwili przeniosłem się myślami do tego wieczoru, gdy siedząc z Admem słuchałem jej pierwszych taktów. Kiedy to było?

Po śniadaniu Charlie zagłębił się w lekturze Encounterów, a ja słuchałem w radiu sobotniego koncertu, żalując, że jadłem, bo coś mi dolegało. Poszedłem położyć się w sypialni. Musiałem przemyśleć swoją sytuację. Powiedziałem już Charliemu wszystko, co chciał wiedzieć i mogłem sobie pójść. Niedobrze było wplątywać w to wszystko przyjaciela, ale niewybaczalnym błędem byłoby wtajemniczenie w sprawę kogoś urzędowo z nią związanego.

Doszedłem do tego wniosku przede wszystkim dlatego, że od momentu ujęcia, zapakowania i wysłania mnie, a nawet wcześniej, K. K. i spółka musieli dzielić się obawami. Ale to bynajmniej nie oznaczało, że byli amatorami, ani żeby teraz już mieli dać mi spokój. Co więc robić?

Dalby i jego ludzie nie wchodzili w rachubę. Rossa nie brałem w ogóle pod uwagę. Mogłem się zwrócić do szefa sztabu armii, ale nie podlegałem już wojskowemu sądownictwu, co zresztą się stało za sprawą Dalby'ego, znającego zawartość formularza, jaki wypełniłem podczas wywiadu ze mną. Miał ten papier w ręku, zanim wysechł na nim atrament. Gdybym podał fałszywe nazwisko, a oni sprawdzili, że nie ma go na liście, z pewnością by mnie zamknęli. A może podać cudze nazwisko? Nie, w żandarmerii i w sekretariacie Ministerstwa Obrony pracowało zbyt wiele osób, które znały mnie z widzenia. Zresztą szef sztabu by mi nie uwierzył. W końcu pomyślałem, że chyba jedynym człowiekiem, który w to uwierzy, jest Ripley.

Premier? Ten pomysł bawił mnie przez pół minuty. Co mógłby zrobić premier? Musiałby się poradzić kogoś z najwyższych władz bezpieczeństwa. Kto to mógł być? W tym przypadku Dalby. A jeśli nie on, to ktoś blisko z nim związany. Jedynym wyjściem z tego labiryntu okazał się Dalby.

Nic mi więc nie pozostało, jak dyskretnie dotrzeć do Dalby'ego i wraz z nim wszystko wyjaśnić. Przecież nie pracowałem dla obcych, tylko trzeba jakoś to udowodnić. Z drugiej strony, jeśli chodzi o udowodnienie lojalności, nie ma takiego rządu, który by miał skrupuły, każąc zabić jakiegoś telefonistę, wiedzącego tyle, co ja. Trochę mnie to pocieszało. W końcu jeszcze przecież żyłem, a nie jest tak trudno kogoś pozbawić życia.

Znów przypomniałem sobie o Barney'u w ciężarówce. Jeszcze raz się zastanowiłem, czy to prawda. Wszystko na to wskazywało, ale jeśli zabito go, by mnie ostrzec, to na co zasłużyłem? Być może Amerykanie, którzy mnie zatrzymali, nie byli autentycznymi Amerykanami. Przecież ci Węgrzy nie byli prawdziwi. W tej sprawie nie miałem wątpliwości.

Te przesłuchania były tak amerykańskie jak mamałyga i nieświeży paszтет odstrasający ptactwo. Gdzie wyszkolili tych "Węgrów"? Kim jest K. K? Naturalnie mogli go trzymać na uboczu lub też pozbyć się faceta. Ale to nie znaczyło, że nie był na brytyjskim żołdzie.

A może miały coś z tym wspólnego dokumenty "Al Gumhurii", których nie chciałem odkupić od Rossa? Zaraz potem jakby wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

Z tym problemem trzeba się przespać. Obudził mnie Charlie, wchodząc z herbatą i biszkoptami, i mówiąc, że coś krzychałem przez sen.

- Nic nie mogłem zrozumieć - dodał pospiesznie. Przez całą sobotę i niedzielę próżnowałem. Charlie nakarmił mnie bulionem i stekiem, po czym zacząłem się snuć po mieszkaniu, głęboko sobie współczując. W niedzielę rano słuchałem radia, zerkając na kartkę papieru, na której miałem spisać plan działania.

Po obiedzie i wypoczynku poczułem się lepiej. Jeszcze nie jak Steve Reeves, ale coś koło tego. Nie dawał mi spokoju papier z moimi gryzmołami. Podkreśliłem nazwisko Dalby'ego, przeciągając od niego kilka linii, jedną w stronę Alice, drugą do Rossa, bo gdyby Dalby chciał mnie ukrzyżować, najchętniej by mu w tym pomógł Ross i chłopcy z wojska. Murray'a i Carswella połączyłem jako dwójkę niewiadomych. Możliwe, że Dalby już ich odkomenderował do jakiegoś zapomnianego, pokrytego kurzem biura w Ministerstwie Obrony. Potem Chico. Miał umysł czterolatka, ostatnio go słyszałem, gdy dzwonił z Grantham. Jean? To następny wielki znak zapytania. Co prawda, wiele ryzykowała, żeby mi pomóc na Tokwe, ale jak długo można ryzykować w tym biznesie? Prawdopodobnie znajdowałem się w bardzo dogodnej sytuacji, żeby się o tym przekonać. Z jakiegokolwiek strony podchodzić do całej sprawy, odpowiedź była jedna: zobaczyć się z Dałbym. I postanowiłem to zrobić. Ale najpierw musiałem załatwić coś innego.

Przed pół do dziesiątej wieczorem postanowiłem poprosić Charliego o jeszcze jedną przysługę. Wyszedł z domu przed dziesiątą. A więc wszystko zależało od Charliego, w każdym razie tak mi się wówczas wydawało. Spojrzałem na sepiową fotografię Rega Cavendisha\*(Patrz Dodatek, str. 220), syna Charliego.

Patrzył z góry na gabinet, w olbrzymiej śmiesznej furazerce, jakie wtedy wszyscy nosiliśmy. Przypomniałem sobie, jak przyszedłem powiedzieć ojcu o jego śmierci, kiedy po czterech latach udziału w walkach Reg zginął w Brukseli pod ciężarówką na cztery dni przed zwycięstwem w Europie.

Opowiedziałem Charliemu o śmierci syna w wypadku drogowym tak, jakbym po prostu usłyszał o tym przez telefon. Wyszedł do kuchni zrobić kawę. Siedziałem w mokrym

od wiosennego deszczu mundurze wyjściowym, przyglądając się półkom z książkami i płytom. Balzakowi i Byronowi, Ben Johnsonowi i Proustowi, Beethovenowi, Bachowi oraz Sidneyowi i Beatrice Webbm.\*

[/ Sidney i Beatrice Webbowie - małżeństwo angielskich ekonomistów, współtwórcy Labour Party, autorzy dzieł o historii i teorii socjalizmu (przyp. tłumacza)]

Pamiętam, jak Charlie Cavendish wrócił z kawą i zaczęliśmy rozmawiać o pogodzie, o wojennych finałach ligi piłkarskiej i o tym wszystkim, o czym się mówi, by nie myśleć o najważniejszym.

Przypominam sobie, jak pomyślałem, że kawa jest jakaś dziwna: czarna i gęsta jak węgiel. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że tamtego wieczoru Charlie stał w kuchni i całkiem bezwiednie sypał do porcelanowego dzbanka łyżkę po łyżce kawy; przestał funkcjonować jego umysł.

Dziś znów samotnie siedziałem wśród książek Charliego i znów czekałem na jego powrót.

Przed jedenastą dwadzieścia pięć usłyszałem skrzypienie kroków Charliego na klatce schodowej. Przyniosłem mu kawę w tym samym porcelanowym dzbanku, który miał w 1945 roku i przyciszyłem "Muzykę nocną".

- Kompletne zero - powiedział. - Nigdzie nic, żadnego śladu, nigdy.

- Chyba pan żartuje. Musi pan mieć wojskową dokumentację z Indii.

- Nie. Nawet dwa razy prosiłem o hasło "Biuro Statystyczne w Kalkucie". Nie było tam Carswella z inicjałami J.F., jedyna pozycja to P.J.Carswell, lat 26.

- Nie, to daleko od niego.

- Jest pan pewien, że tak brzmi to nazwisko? A może sprawdzić Carwella?

- Nie, co do nazwiska mam absolutną pewność. Zresztą już wykorzystał pan możliwości.

- Z przyjemnością. - Szczerze powiedział Charlie. Zajął się kawą. - Zaparzona po francusku. Kiedyś robiłem w ekspresie. Piłem też te parzone po neapolitańsku. Po francusku jest najlepsza.

- Jeśli pan chce, Charlie, opowiem tę całą historię - zaproponowałem. Będąc przyjacielem jego syna, nim poznałem Charliego, krępowałem się używać jego imienia.

- Chyba nie. I tak już znam za dużo tajemnic - wymówił się. To było genialne niedomówienie. - Pójdę się położyć. Jeśli coś wpadnie panu do głowy, proszę mi powiedzieć. Nie będzie dla mnie czymś nadzwyczajnym skoczyć w środku nocy do archiwum.

- Dobrej nocy, Charlie. Coś wymyślę. - Ale już nie byłem pewny, czy mi się to uda.

(Wodnik (20 stycznia - 19 lutego). Niech pogodnego usposobienia nie psują ci irytujące drobiazgi. Czasem sukces wywołuje zazdrość. Od ciebie zależy, czy wzniesiesz się ponad to uczucie).

W pobliżu Leicester Square osiadło kilku kioskarzy, którzy sprzedają magazyny sztuki mocno cielesnej. Zmysłowość osłania różne pozy, które mrowią się na szybach wystaw jak różowe pająki. Za niewielką opłatą kioski spełniają funkcje skrzynek adresowych dla osób otrzymujących przesyłki, które raczej nie powinny przychodzić do domu.

Z zaplecza, skąd dolatywał zapach gotowanych skarpet, wyszło wąsate babsko z grubą kopertą zaadresowaną do osoby, którą rzekomo miałem być ja.

Ponieważ osoby pracujące w tego rodzaju kioskach dziwiły się niewielu rzeczom, natychmiast otworzyłem kopertę. Wiedziałem, że w środku ma być nowy kluczyk banku Chubba, paszport Zjednoczonego Królestwa, paszport amerykański (z kartą ubezpieczeniową na to samo nazwisko) i paszport sekretariatu ONZ. Wetknięto też międzynarodowe prawo jazdy i zniszczoną kopertę z tym samym nazwiskiem, które widniało w tym ostatnim paszporcie. Były tam także książeczki czekowe wydane przez Royal Bank of Canada, Chase Manhattan, Westminster i Dai-ichi Bank of Tokyo, brązowy kwit zastawczy, dwadzieścia banknotów dziesięcioszylingowych, złożona nowa koperta i kiepsko podrobiona legitymacja Policji Metropolitalnej.

Kluczyk, kwit zastawczy, legitymację i pieniądze włożyłem do kieszeni, a pozostałe przedmioty do nowej koperty. Wszedłem na ulicę i znalazłszy pocztę, wysłałem kopertę pod adres nadawcy. Taksówka zawiozła mnie do banku w centrum. Do jego podziemi zaprowadził mnie naczelnik wydziału, który też pomógł mi włożyć kluczyk do zamka pancерnej skrytki na depozyty. Gdy przekładałem w skrytce pięciofuntowe banknoty, dyskretny urzędnik zostawił mnie samego. Wyciągnąłem spod banknotów ciężkie tekturowe pudełko i podważyłem paznokciem woskową pieczęć. W sekundę wsunąłem do jednej kieszeni colta 32, a do drugiej zapasowe magazynki.

- Do widzenia panu - pożegnał mnie urzędnik.

- Do widzenia, wreszcie się dziś trochę przejaśniło.

Lombard był tuż za rogiem. Zapłaciłem jedenaście funtów z kawałkiem i wymieniłem kwit zastawczy na brezentową torbę podróżną. Był w niej ciemnozielony garnitur, bawełniane spodnie, dwie ciemne i sześć białych koszul, jasna marynarka z madrasu, krawaty, skarpetki, bielizna oraz czarne półbuty i płócienne pantofle. W bocznej kieszeni torby znajdowała się maszynka z żyłkami, krem do golenia, suszone figi, grzebień, płaszcz przeciwdeszczowy



oraz składany nóż, kompas i paczka kleenexów. W podszewce garnituru zaszyto jeden banknot stufrankowy, jeden pięciofuntowy i jeden stumarkowy, a pod wyściółkę dna torby schowano kluczyk do innej skrzynki. To także była szpiegowska asekuracja.

Idąc na spotkanie z Charliem w Tottenham Court Road Forest, zarezerwowałem sobie hotel obok Bedford Square. Charlie, jak zwykle, przyszedł punktualnie o dwunastej siedem (umawianie się o pełnej godzinie czy w połowie jest kuszeniem licha). Zdjąłem płaszcz przeciwdeszczowy i dałem mu, wyciągając z kieszeni drugi. - Klucze do pańskiego mieszkania zostawiłem w hotelu - przypomniałem Charliemu.

- Słucham panów? - zapytała dziewczyna zza lady. Zamówiliśmy kawę z kanapkami i Charlie założył płaszcz. - Zaczyna kropić - usprawiedliwił się.

- Ale wstyd. A zapowiadał się taki ładny dzień - zauważyłem. Jedliśmy kanapki.

- Klucze może pan zostawić na półce, bo muszę przed drugą wrócić - powiedział Charlie. Zapłaciłem kelnerce, on mi podziękował i dodał:

- Niech pan na siebie uważa. - Zanim odszedł, powtórzył trzy razy, żeby w razie potrzeby się z nim skontaktował. Naturalnie, kuśilo mnie, by skorzystać z ofiarowanej mi pomocy. Był za stary, by postępować lekkomyślnie, za dobrze poinformowany, by być gadułą i zbyt usatysfakcjonowany tym, co już wiedział, by być ciekawy, ale jednocześnie zbyt chętnie deklarował się z pomocą.

Pożegnałem Charliego i poszedłem w stronę zakopconego budynku przy Shaftesbury Avenue. Czarne litery na drzwiach obwieszczały: "Światowa Agencja Detektywistyczna - Waterman". Chudy detektyw w czarnym, wyświechtanym garniturze wyglądał jak fotografia uszkodzonego z rozwodowej sprawy. Zapalką wydłubywał sobie z uszu wosk. Myślał, że powinienem zapukać, i jeśli nie jestem nieprzychylnie nastawiony do jego pieniężnych przychodów, jest gotów o nich powiedzieć. Jednak zamiast tego zdjął melonik i zapytał:

- Czy mogę być w czymś pomocny? - Nie podobało mu się także, że usiadłem bez pytania. Powiedziałem, że mam trudną sytuację domową.

- Naprawdę? Przykro mi - wyznał, jak gdyby nigdy nie spotkał człowieka w trudnej sytuacji domowej.

Opowiedziałem mu sporo bzdur o mojej żonie i innym facecie, a on w tym czasie wzdychał i bardzo mi współczuł. Wyznałem, że nie myślę, by miało dojść do zerwania przyjaźni, ale byłoby dobrze, gdyby zajął się tą sprawą. Ustaliliśmy wynagrodzenie w wysokości ośmiu gwinei, co było całkiem pokaźną kwotą. Ten typek był gotów za pięć funtów zaatakować pancerną dywizję SS. Pomyślałem sobie, że dobrze zrobiłem, nie wciągając w całą sprawę Charliego, i przed piątą wracałem do jego mieszkania w

Bloomsbury. Chciałem z nim pogadać i oddać mu klucze, zanim miał wyjść do "Tin-Tack Club", gdzie dorabiał sobie jako barman.

Byłem pod domem o piątej dziesiątej. Wszedłem przez frontowe drzwi. Sącące się przez zielonkawę szyby światło dnia zabarwiało na szmaragdowo pogryziony przez myszy dywan na klatce schodowej. Pachniało mrocznymi zakamarkami, stojącymi na korytarzu rowerami i wczorajszym jedzeniem dla kota. Zapach unosił się aż do najwyższego, jasnego piętra, gdzie było mieszkanie Charliego. Gdy doszedłem do przedostatniego schodka pierwszej kondygnacji, usłyszałem jakiś dźwięk. Stałem jak wryty i wstrzymując oddech, zacząłem nasłuchiwać. Czułem, że powinienem zawrócić i wyjść z budynku. Ale poszedłem dalej schodami w górę, skąd dochodził kobiecy szloch.

Całe mieszkanie było przewrócone do góry nogami. Bitewny plac pokrywały porozrzucane książki, potłuczone talerze i leżące w nieładzie ubrania. Na półpiętrze leżała staroświecka lodówka wielkości przenośnego radia, piecyk gazowy, zlew i ciało Charliego. Było bezwładne jak martwy przedmiot. Kiedy się nad nim pochylilem, dostrzegłem rozbity na kawałki porcelanowy dzbanek i chrzęszczące mi pod podszewkami butów ziarenka kawy. W saloniku przewracano na podłogę półki z książkami, które leżały w nieładzie, zdziwione jak ich właściciel.

W gabinecie walały się błyszczące płyty, listy, kwiatki, mosiężne ozdoby i przenośny zegar w skórzanym futerale; przetrwała jedynie fotografia Rega na ścianie. Ostrożnie usunąłem portfel Charliego, by dostarczyć policji dowód rzeczowy, i gdy się prostowałem, mój wzrok spotkał się ze wzrokiem trzydziestoletniej, wyglądającej na schorowaną kobiety. W jej zielonkawą jak szyby na klatce schodowej twarz zapadły się ciemne, szeroko otwarte oczy. Nerwowo przygryzała kostki palców filigranowej ręki. Chyba z minutę wpatrywaliśmy się w siebie. Chciałem jej powiedzieć, że chociaż to nie ja zabiłem Charliego, nie musi... o nie, jak w ogóle mogłem tak zaczynać. Błyskawicznie zbiegłem schodami na dół.

Ktokolwiek zamordował Charliego, musiał być na dole za mną, tak jak musiała się za mną rzucić policja po uzyskaniu rysopisu od szlochającej kobiety. Mogła mi pomóc tylko komórka Dalby'ego.

Na Cambridge Circus wskoczyłem do ruszającego już autobusu. Wsiadłem przy Piccadilly, wziąłem taksówkę do Ritza, a potem zacząłem iść we wschodnim kierunku, na powrót do Piccadilly. Na tym odcinku żaden samochód nie mógł skręcić w prawo bez wywołania zatoru. Żeby się trzymać bezpiecznej strony, naprzeciwko Whitesa zatrzymałem taksówkę jadącą drugą stroną ulicy (na wypadek, gdyby ktoś jednak skręcił w prawo) i pojechałem w kierunku przeciwnym do tego, w którym by musiał jechać ktoś, kto mógł mnie

śledzić. Podałem taksówkarzowi adres wypożyczalni samochodów w Knightbridge. Była dopiero piąta dwadzieścia pięć.

Wynająłem, nie bez pewnych kłopotów, austina 7, jedyny wóz z radiem, jaki mieli. Posłużyłem się prawem jazdy Charliego i jakimiś karteluszkami znalezionymi w jego portfelu, które "poświadczały" moją tożsamość. Jednak się wygłupiłem, nie zabierając ze skrytki własnego prawa jazdy. Mogłem korzystać ze sposobności, że rozmaite wydziały Wywiadu nie przekazały jeszcze nazwiska Charliego prasie, ale mimo wszystko połączyłem się radiotelefonem z dziennikiem nadającym wiadomości o szóstej. Algieria, jeszcze jeden strajk w porcie. Znow coś się nie podoba dokerom. Prawdopodobnie nie podobają się sami sobie. Żadnych zabójstw. Przedemną staroświecki austin 7 zasygnalizował skręt w prawo.

Kierowca wygolił sobie włosy pod pachami. Wjechałem na zatłoczoną jezdnię Putney. Wokół rozpościerała się świeża zieleń, nagły przebłysk słońca roziskrzył mokre liście drzew i zamienił w deszcz pereł rozpryskującą się pod kołami wodę. Bogaci maklerzy w białych jaguarach i ciemnozielonych bentleyach bawili się w berka, zdziwieni, że się włączyłem w ich prywatną zabawę.

Gdy dojeżdżałem do Wimbledon Hills, miejsca radosnych przepychanek morderców, policjantów i żołnierzy, w samochodowym radiu ktoś zawodził "ba ba ba ba, doprowadzasz mnie do szaleństwa". Przyglądałem się koszmarnym zarośłom z bezpiecznego w moich urojeniach wnętrza wozu. W każdej chwili ktoś z tłumu na Wimbledon High Street mógł się nagle zainteresować Charliem Cavendishem, a tym bardziej mną. Przypomniałem sobie, że jeszcze nie oddałem trzydziestu szylingów pianaście z "Tin-Tack-Club". Czy przekazał mój rysopis policji? Jak się wyplatać z tych wszystkich kłopotów? Spojrzałem na ponure rzędy domów z prawej strony i wyobraziłem sobie, że od parteru do najwyższego piętra zamieszkują je zwykli państwo Keatingowie. Bardzo chciałbym tam zamieszkać i wieść spokojne, nudne życie, bez obawy o jutro.

Zawróciłem na objazd przy Bushey Road. Przy barze "Pikowy as" droga zakręcała i wóz wjechał prosto w słońce, skwapliwie przyspieszając pod łagodnym dotknięciem pedału gazu.

Przedemną jechały, zderzak przy zderzaku, dwie ciężarówki. Posuwały się z szybkością dwudziestu ośmiu mil na godzinę, ale każda starała się rozpaczliwie udowodnić, że stacją na dwadzieścia dziewięć. W końcu je wyprzedziłem i znalazłem się za facetem w rdzawym pulowerze i kapeluszu Robin Hooda. Gość jechał do BRIGHTON, BOGNOR REGIS, HARLECH, SOUTHEND, RYDE, SOUTHAMPTON, YEOVILL i ROCHESTER, i właśnie z tego powodu nic nie mógł zobaczyć przez tylną szybę.

W Esher musiałem włączyć światła, przed Guildford na przedniej szybie zamlaskały krople deszczu. Włączyłem radio na wiadomości o osiemnastej trzydzięci. Wjazd do Godalming był zamknięty dla wszystkich z wyjątkiem właścicieli kiosków z tytoniem. W Milford zwolniłem, by się upewnić, czy jadę właściwą szosą. Nie na Hindhed i Haslemere, tylko drogą 283 do Chiddingfold. Sto jardów przed zajazdem z niskim, murowanym frontem włączyłem długie światła, otrzymując w odpowiedzi sygnał, którym było włączenie czerwonych świateł hamulcowych przez kierowcę zaparkowanego tam wozu. W przelocie mignął mi czarny ford-anglia z przymocowanym do dachu reflektorem. W tylnym lusterku dostrzegłem, jak mister Waterman wjeżdżał tuż za mną na jezdnię.

W domu u Dalby'ego byłem tylko raz, ale w jasny dzień, teraz natomiast panowały egipskie ciemności. Mieszkał w kamiennym budynku w sporym oddaleniu od szosy. Zawróciłem na wąską drogę dojazdową. Po drugiej stronie szosy zatrzymał się Waterman. Ciągle padało. Waterman został w samochodzie i nie miałem o to do niego pretensji. W dzienniku o dziewiętnastej nie wspomniano o Charliem, więc podszedłem ścieżką do domu.

Przerobiony wiejski dom miał wystrój, jaki kobiece magazyny uważają za współczesny. Przed frontowymi drzwiami w kolorze bladego fioletu stała taczka z rosnącymi w niej kwiatami. Na ścianie wisiała jeszcze nie zapalona furmańska lampa podłączona do elektryczności. Zastukałem do drzwi - muszę to powiedzieć - mosiężną kołatką w kształcie lwiej głowy. Obejrzałem się na szosę, Waterman wygasił światła i nie dawał znaku życia. Był chyba sprytniejszy, niż mi się wydawało. Dalby otworzył drzwi z wyrazem udawanego zdziwienia na dobrotliwej jajowatej twarzy.

- Jeszcze pada? Proszę wchodzić.

Utonąłem w miękkiej kanapie, zarzuconej stertą czasopism z Plotkarzem na wierzchu. W pokoju dominował zapach dymu z palących się w kominku dwóch pniaków owocowego drzewa. Nieco podejrzliwie obserwowałem Dalby'ego. Podszedł do olbrzymiej szafy z książkami, w ogniu kominka połyskiwały stare grzbiety luksusowych wydań dzieł Balzaka, Irvinga i Hugo.

- Drinka? - zapytał. Skinąłem głową i Dalby otworzył "bibliotekę", która okazała się być artystycznie zamaskowanymi drzwiami szafy na alkohole. W jej wewnętrznym lustrze odbijało się niezliczone mnóstwo nalepek, od charrington do likieru chartreuse; to właśnie było wytworne życie, o którym czytywałem w gazetach.

- Tio pepe czy teachers? - zapytał Dalby i dając mi kieliszek sherry powiedział:

- Poproszę, żeby zrobiono panu kanapkę. Wiem, wybór sherry oznacza, że jest pan głodny. - Zaprotestowałem, ale szybko się ulotnił. Nie szło mi tak, jak sobie zaplanowałem.

Nie chciałem mu dawać czasu na zastanawianie się i nie zależało mi na tym, żeby wychodził z pokoju. Mógł przecież zadzwonić albo wziąć pistolet... Gdy o tym rozmyślałem, wrócił z talerzem zimnej szynki. To mi przypomniało, że jestem głodny. Jedząc szynkę i popijając sherry, byłem wściekły, że tak łatwo dałem się Dalby'emu zaskoczyć.

- Trzymali mnie w cholernym więzieniu - odezwałem się w końcu.

- Właśnie słyszę - odpowiedział pogodnie.

- Wiedział pan o tym?

- To Sójka. Chciał nam pana odsprzedać.

- No to dlaczego go nie przymknęliście?

- No cóż, zna pan Sójkę, nie tak łatwo go przyłapać, a zresztą nie chcieliśmy ryzykować, bo mogli pana zakatrupić, prawda? - Wyrażeń w rodzaju "zakatrupić" Dalby używał jedynie w rozmowach ze mną. Sądził, że to mi pomaga rozumieć jego wywody.

Milczałem.

- Chciał za pana czterdzieści tysięcy funtów. Podejrzewamy, że może mieć w swoich rękach także Chico. Dla Sójki pracuje ktoś z Departamentu Medycznego w Stanach. Dzięki temu mogł pana wywieźć z Tokwe. To poważna sprawa, przynajmniej taka mogła być.

- Mogła? Niewiele brakowało, żeby mnie wykończyli.

- Och, czyż się o pana nie martwiłem? Nie zabiliby krowy, która daje mleko.

- Och, czy się pan nie martwił? Nie siedział pan tam, żeby się zacząć martwić naprawdę.

- A nie widział pan tam Chico?

- Nie. I jedynie to przynosiło mi ulgę w cierpieniach.

- Jeszcze drinka? - Dalby był gościnnym gospodarzem.

- Nie. Muszę jeszcze coś załatwić. Potrzebny mi jest klucz do biura. - Nie drgnęła mu twarz. Angielskie szkoły publiczne rzeczywiście są warte każdej sumy.

- Nalegam, żeby został pan z nami na kolację. Odmówiłem, więc nasyciliśmy się po uszy kulturalną rozmową.

Wciąż nie mogłem się uporać z kłopotami. Charlie nie żył, a Dalby albo o tym nie wiedział, albo nie chciał mówić. Już miałem go o tym poinformować, gdy sięgnął za abstrakcyjny obraz zasłaniający sejf i wyciągnął dwa dokumenty o płacach agentów w krajach Ameryki Południowej.\*

[\* Te skomplikowane sprawy przed objęciem władzy przez Castro załatwiali małe prywatne banki, należące w mniejszym czy większym stopniu do nas. Castro je upaństwowił, ale na szczęście miejscowa policja zdążyła wcześniej zabrać dokumentację, która leżała teraz nie tknięta w Saratoga Springs. Dalby polecił mi przedstawić raport na ten temat. Zawsze wzywano mnie do pomocy w podobnych sytuacjach. Wcale nie dlatego, że bym był jakimś księgowym, bo od czasów, kiedy składałem do kupy tamte niepewne cyfry, nie mogłem już niczego skapować. Ale prowadziłem sporo spraw z pewnym szwajcarskim bankiem dla Rossa. Właśnie wtedy przeszedłem do wydziału Dalby'ego i, mając solidne kontakty, mogłem wytropić każdy tajny rachunek. Ponadto nauczyłem się przekazywać w legalny i nielegalny sposób pieniądze po całej kuli ziemskiej. Dla wywiadu pieniądze są tym, czym dla samochodów benzyna, i ponieważ swoje kontakty utrzymywałem w sekrecie, byłem tak niesubordynowany dla tak wielu od tak dawna.]

Wręczył mi je wraz z kluczem do biura, a ja obiecałem wykonać jakieś obliczenia i przynieść je przed dziesiątą rano na Charlotte Street. Spojrzałem na zegarek. Była za dziesięć ósma. Chciałem już wychodzić, ponieważ poinstruowałem Watermana, żeby przybiegł tutaj dokładnie po upływie godziny. Wnosząc z tego, jak się dotychczas wywiązywał z obowiązków, niemądrze byłoby liczyć na to, że tym razem się spóźni. Pożegnałem się z postanowieniem, że powiem o Charliem Cavendishu, kiedy spotkamy się w biurze.

W połowie drogi dojazdowej uświadomiłem sobie, że do rana zostało jeszcze sporo czasu na to, by mogli mnie zaarrestować pod zarzutem morderstwa. Być może powinienem wrócić i wyznać:

- Aha, byłbym zapomniiał, poszukują mnie pod zarzutem zabicia Cavendisha.

Uruchomiłem silnik i pojechałem szosą w stronę zajazdu. Po kilku minutach dostrzegłem, że Waterman dopiero teraz włączył światła. Gdy dojechaliliśmy do "Groźnej sowy", podszedłem na parkingu do Watermana, by mu zapłacić.

- A więc udało się. Miło mi. - W uśmiechu poruszał poźółkłymi od nikotyny węsami. Podziękowałem, a on, włączając bieg powiedział: - Już myślałem, że będzie niezła afera, kiedy wynurzył się skądś wysoki Chińczyk i zaczął pana podglądać przez okno.

Czarna chmura przysłoniła księżyc, z baru wyszła, zawzięcie się kłóćąc, para artystów. Minęli parking.

- Chwileczkę. Chińczyk? Prawdziwy Chińczyk? Jest pan pewny?

- zapytałem, kładąc rękę na krawędzi szyby samochodu.

- Czy jestem pewny? Słuchaj, przyjacielu, spędziłem pięć lat w koloniach i powinienem chyba wiedzieć, jak wygląda Chińczyk.

Usiadłem obok niego w wozie i poprosiłem, żeby wszystko od początku opowiedział na wolnych obrotach. Zrobił to, chociaż nie musiał uzupełniać swej opowieści dodatkowymi informacjami.

- Natychmiast tam wracamy - postanowiłem.

- Beze mnie, przyjacielu, już zrobiłem, co do mnie należało.

- W porządku. Zapłacę jeszcze raz.

- Słuchaj, przyjacielu, był pan tam, powiedział swoje i to wystarczy.

- Nie, muszę wrócić, z panem czy sam. Tylko zerknę przez okno

- przymilałem się.

- Przyjacielu, to nie ma nic wspólnego z pańską żoną. To jakaś podejrzana sprawa.

Zresztą od początku czułem, że tu nie chodzi o rozwód.

- W porządku. Ale pieniądze pan wziął? - ciągnąłem swoje, jako że akurat w tej sprawie nie mógł się ze mną nie zgodzić. - Jestem z Wydziału Specjalnego w Brighton - zaimprovizowałem, pokazując mu podrobioną legitymację. Przystawił ją do mikroskopijnej lampki pod sufitem, ale nie chciałem liczyć na ten świstek w dziennym świetle.

- Pan jest gliną! Nigdy nim nie byłeś, przyjacielu! Upierałem się, że jednak jestem, i częściowo mi uwierzył.

Stwierdził:

- Wiem, że w dzisiejszych czasach o niektórych nowych trudno w ogóle powiedzieć, że są glinami. To mieszanina.

Bił się z myślami przy akompaniamencie jednostajnego brzęczenia wycieraczek przedniej szyby. Dlaczego był mi potrzebny?

Zastanawiając się nad tym, doszedłem do nie całkiem pewnego przekonania, że jego towarzystwo jest warte osiem gwinei. Nagle zapytał:

- Dlaczego nie wziął pan ze sobą policjanta?

- To było niemożliwe. Sprawa jest spoza naszego terenu - wyjaśniłem niepewnie. - Mam specjalne upoważnienie.

- Przyjacielu, a nie jest to nielegalne, co? Nie chciałem się wdawać w coś podejrzanego.

Nareszcie. Nareszcie do niego dotarło, że jestem policjantem rozpracowującym dużą aferę łapówkową. Kiedy tylko przywykł do tej myśli, zaczął rozpatrywać całkiem realne wyobrażenie wpływowego przyjaciela, ale przytomnie dodał: - To będzie jeszcze dwanaście gwinei.

Zgodziliśmy się co do honorarium i wyjechaliśmy na szosę, tym razem tylko jego wozem. Lepiej, żeby Dalby nie widział wracającego niebieskiego austina 7. Był tylko problem z dokumentami od Dalby'ego. Nie miałem pojęcia, co miałby z nimi zrobić Waterman, gdyby coś mi się przydarzyło, więc rzuciłem je na tylne siedzenie w nadziei, że nic takiego się nie stanie.

## 29

Dojazd z wyłączonymi światłami, zaparkowanie i dojście pod dom poszło całkiem gładko. Na kwietne klomby padało światło sączące się przez szczeliny między zasłonami. Pomyślałem, że to właśnie byli ci Chińczycy Watermana. Miałem sporą wprawę w forsowaniu nocną porą grządek z roślinami. Cicho podszedłem zwirową ścieżką do okna pokoju, w którym niedawno rozmawiałem z Dalbym. Gdy go zobaczyłem pod oknem po drugiej stronie pokoju, trochę mnie zmroziło; był to obraz na dwudziestojednocalowym

telewizorze. Nalewając drinka z tej cholernej biblioteki, nie zwrócił uwagi na krzątanicę w ogródku. Siedzący na kanapie Murray z uwagą przysłuchiwał się Dalby'emu. Rozmawiali z kimś trzecim, kto był poza zasięgiem mojego wzroku, i gospodarz chyba zapytał, czego się napiją, bo ten trzeci podszedł do szafy z alkoholami.

Obserwowałem ich z odległości trzech stóp. Przez podwójne okna dochodziły mnie pojedyncze słowa rozmowy. Nie zawiodły mnie przeczucia: to była twarz K. K., ciągle miałem w oczach każdy jego rys. To on był tym "Chińczykiem" Watermana. A więc K. K. z Dalbym. Napatrzywszy się do syta, chciałem już odejść, ale Dalby i K. K., rozmawiając ze sobą, ciągle rozglądali się po całym salonie. W pewnym momencie zauważyłem, że Murray wyszedł do kuchni. W zasięgu mojego wzroku - jak zły czarnoksiężnik na chrzcinach księżniczki - pojawił się Sójka.

Omam nie wywróciłem się w konwalie. Po tylu godzinach oglądania go na ekranie nie mogłem się mylić. Nieuchwytny Sójka. Widziało go niewielu pracowników wydziału, ja wciąż się o niego ocierałem - u Lederera, na ulicy, w kabaretach - a teraz w końcu książę zła gawędzi sobie w najlepsze z naszym szefem. Jak mam wyrazić to, co wówczas odczuwałem? To jakby zobaczyć premiera Macmillana wyjmującego z portfela legitymację partii komunistycznej, jak przekonać się, że Edgar Hoover jest zamaskowanym Lucky Luciano. Wybałuszałem oczy jak dziecko w fabryce lizaków. I Bóg wie, jak długo tam stałem w osłupieniu. Wstrząsnęła mną obecność K. K., ale na widok Sójki, zupełnie o nim zapomniałem. - Z przeciwstawnych punktów dochodzimy do identycznych wniosków - powiedział mi kiedyś Dalby. Jak bardzo można się mylić. Przypomniałem sobie, jak przez okno restauracji Terazza dostrzegłem dwóch mężczyzn. To niewątpliwie byli Sójka i Dalby.

Wyciągnąłem rękę, by idący za mną ścieżką Waterman nie podeptał konwalii. Z nieprzeniknionych ciemności wyłoniła się pachnąca mydłem toaletowym dłoń i zatkała mi usta. Jednocześnie jakiś ostry przedmiot wbił się w plecy mojej marynarki. Zamarłem bez ruchu.

- To ja, Murray, sir - usłyszałem szept, myśląc - "Sir? Właściwy moment na grzeczności".

Przyszedł mi na myśl Kruk złapany przy syryjskiej granicy, i to, jak byłem zaskoczony, gdy Dalby robiąc mu zastrzyk, powiedział: - "Przykro mi, sir". Prawdopodobnie "sir" było zwrotem, którego używali, gdy mieli cię - jak to ujmował Dalby - "zakatrupić".

- Teraz zdejmuję rękę, sir. Proszę nie krzyżeć, bo będę musiał użyć obu. - Skinąłem głową, ale Murray, biorąc to za próbę ucieczki, wykręcił mi rękę i jeszcze mocniej zakneblował usta. "Gdzie, do diabła, jest Waterman? Zarobił dwanaście gwinei - przemknęło



mi po głowie - i zmył się bez śladu”. Pod domem Murray zwolnił uścisk i w końcu puścił mnie wolno. Pierwszy się odezwał.

- Przeszedł pan przez system alarmowy na podczerwień.

- Powinienem się domyślić, że nie było to tak szeroko otwarte, jak wyglądało.

- Muszę już wracać do domu, jednak... - zawahał się. Miałem mnóstwo pytań. Co prawda, nie byłem w sytuacji skłaniającej do wyznań, ale pochyliłem się do niego, mówiąc:

- Słuchaj, Murray, niezależnie od tego, co się tutaj knuje, dobrze pan wie, że tych ludzi można oskarżyć o zdradę, Od tej chwili będzie pan działał tylko na moje polecenie albo stanie się wrogiem rządu Jej Królewskiej Mości. - Murray milczał. - Nie rozumiesz, człowieku? Dalby się sprzedał albo od lat był podwójnym agentem. Moim zadaniem jest potwierdzenie tej informacji. Mam w Hasle-mere pięć plutonów żandarmerii i, niezależnie od wszystkiego, gra się skończyła. Daję panu ostatnią szansę, bo wiem, że nie jest pan tak w to zababrany, jak pozostali. Proszę ze mną iść i pomóc mi w opracowaniu danych, którymi dysponuję. A sporo się tego zebrało. - Zabrakło mi pomysłowości i o mały włos nie wyznałem, że to tylko zagrywka.

- Nazywam się Harriman - powiedział Murray. - Jestem podpułkownikiem do specjalnych operacji w sztabie Wywiadu i to pan musi się czasowo podporządkować moim rozkazom. - Ten głos wyraźnie się różnił od głosu sierżanta Murraya. - Przykro mi, że wybrał się pan nie w porę, a teraz proszę się stąd wynosić. Jeszcze jesteśmy w przysłowiowym lesie. Przymknąć Dalby’ego to betka... - W tym momencie Waterman uderzył go płaskim kluczem.

Spojrzałem na leżącego Murray’a alias Harrimana, czy ktokolwiek to był, i już było dla mnie najzupełniej jasne, co mam robić. Mam się stąd wynosić. Co uczyni Dalby i spółka, gdy znajdą swego nieprzytomnego towarzysza z głową, jak się łatwo domyślić, w petuniach? Waterman, nieskomplikowana dusza, był teraz ze mną związany poprzez udział w moim przedsięwzięciu. - Dobrze zrobiłem, ale super, co? - Powtórzył ze trzy razy. Odpowiedziałem, że wprost nadzwyczajnie, ale trudno było dosłuchać się w moim głosie entuzjazmu. Było wszakże coś, co chętnie wykonał na moje polecenie. Mianowicie pomógł mi powlec ciało Murray’a w wyższe kwiaty.

Już od dwóch godzin szykowałem się, żeby usiąść w wozie Watermana, ale nie minęło nawet dziesięć minut, kiedy zobaczyliśmy, jak się otwierają frontowe drzwi i zapalają reflektory jakiegoś samochodu. Gdy wóz wolno jechał drogą do szosy, reflektory prześlizgnęły się po nieprzytomnym Murray’u. Zaparło mi dech, ale prawdopodobnie widzieliśmy go jedynie dlatego, że wiedzieliśmy, gdzie leży. Dalby wrócił do środka, a długi rolls skręcił na szosę i skierował się w stronę Londynu.

- Dogońmy go - poprosiłem Watermana. - Chciałbym zobaczyć kierowcę.

Latarnie w Milford dały mi szansę przyjrzenia się wozowi. Był to czarny rolls phantom IV długości ośmiu stóp. Państwo Rolls-Royce sprzedają je tylko członkom rodzin królewskich i głowom państwa. To bardzo charakterystyczne, że miał go Sójka. Waterman otworzył skrytkę przy tablicy rozdzielczej i wyjął lornetkę. Przez nią zobaczyłem, jak rozparty na eleganckiej tapicerce Sójka sęczył małymi łykami drinka z szafy Dalby'ego. W zielonkawym lusterku mignęła mi twarz kierowcy. Jechaliśmy spokojnie z szybkością czterdziestu mil na godzinę. Waterman był jednym kierowcą na milion. Prowadził wóz z osobliwym wyczuciem całkowitej obcości człowieka wobec maszyny, będąc poza samochodem niezdarnym, kłocowa tym facetem z ciężkimi łapami. Rolls nie wiedział, że siedzimy mu na oponie. Waterman próbował go kilka razy dochodzić, ale za każdym rezygnował z wyprzedzania. Kierowca nie wykorzystywał przewagi, żeby nam uciec, jak się początkowo obawiałem. To by nas załamało. Dumą i radością Watermana był lekko przerobiony podwójny gaźnik. Miał ponadto w wozie tuzin przyrządów, wskaźników temperatury, jakieś liczniki i zegary oraz podświetlany pulpit. Ale jechaliśmy spokojnie czterdzieści mil na godzinę. Wyglądało na to, że Sójce wcale się nie śpieszyło.

### 30

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego). Dobry tydzień na romanse i oddawanie się swoim pasjom, ale możesz mieć pewne kłopoty z załatwieniem spraw. Atmosferę oczyści szczerą rozmowa).

Rolls Sójki jechał Cromwell Road aż do zakrętu przy Brompton Oratory. Patrzyły na nas z góry ponure wiktoriańskie domy, budowane w czasie wystawy w 1851 roku. Wzdłuż chodników stały jeden koło drugiego snobistyczne, sportowe wozy, zapakowane w srebrzyste pokrowce. Gdy Sójka zatrzymał się na postoju z tyłu domu, zjechaliśmy z głównej ulicy. Cicho zamykając drzwi, obserwowaliśmy dostojną sylwetkę pasażera rollsa wchodzącą głównym wejściem. Był to "gustowny" kawałek nowoczesności z drewnianymi drzwiami, okiennymi ramami z nierdzewnej stali i żaluzjami. Przyglądaliśmy się z Watermanem liście lokatorów i przyciskom domofonów.

- Panowie także mogą wejść - zaprosił wysoki dżentelmen w okularach, otwierając kluczem drzwi. Weszliśmy do środka, częściowo dlatego, że to nam odpowiadało, częściowo - że za nami było jeszcze dwóch dżentelmenów, i częściowo dlatego, że obaj trzymali w pogotowiu dziesięciomilimetrowe pistolety automatyczne beretta model 34.

Człowiek, który nas zaprosił, nacisnął najwyżej umieszczony przycisk i powiedział do metalowego mikrofonu:

- Tak. Są obaj. Jeden z nich może być policjantem. - Otoczyli nas, i żeby do naszej krzywdy dodać zniewagę, zaczęli o nas debatować za pośrednictwem samochodowego radiotelefonu.

Po chwili usłyszałem głos Sójki:

- Maurice, daj tego dżentelmena do detektora i wprowadź na górę. - Zerknąłem na Watermana, któremu opadły końce poplamionych wąsów. Stanowiliśmy dobraną parę prawdziwych ciamajd. I pomyśleć, że przez cały czas byliśmy śledzeni! Powinienem się domyślać, że na spotkanie z Dałbym Sójka musiał wziąć obstawę. Zastanawiałem się, czy Dalby zadzwonił do niego z wiadomością o leżącym w kwiatkach Murray'u.

Hol wejściowy był cały w czarnych lustrach, świeżych kwiatkach i żyrandolach z rzuńniętego szkła. Ustawiono nas przed lustrem mojej wysokości. Odezwał się brzęczyk i stojący poza linią strzału swych kolegów Maurice odebrał mi pistolet. Maurice był zawodowcem. Jeśli kogoś stać na phantoma IV, to stać go również na wynajęcie najgorszego oprycha. Zabrano nas na górę.

W średniej wielkości pokoju leżały kremowe chodniki z sięgającym aż do kostek wełnianym runem. Na białych ścianach zawieszono ogromne abstrakcyjne obrazy: Rothko, Motherwell i Hitchens. W głębi pokoju stał niski owalny stolik z czarnego marmuru, który wraz z otaczającymi go fotelami pokrytymi czarną skórą, tworzył przytulny zakątek. W nim znajdował się adapter hi-fi i telewizor, pouczający nas nieustannie, że "Piękny trel to zdrowie i papugi cel".

Przez otwarte drzwi dotarł głos Sójki, a raczej głos reklamujący środki czyszczące:

- Czy zechcą panowie usiąść?

Trzej dżentelmeni wycofali się jak Beverly Sisters za kurtynę, ale wiedzieliśmy, że oddziela ich od nas jedynie grubość drzwi.

- To jest pan Waterman - powiedziałem głośno do niewidocznego Sójki - z Agencji Detektywistycznej Waterman. Zatrudniłem go dziś po południu.

- Panowała cisza, więc powtórzyłem to samo nieco głośniejszym, wyraźniej wymawiając każde słowo, jak ktoś mówiący do bogatego głuchego, wujka. - Nic już od niego nie potrzebuję. Sądzę, że może wracać do domu.

Po chwili odezwał się głos Sójki:

- Czy jest pan winien panu Watermanowi jakieś pieniądze?

- Piętnaście gwinei, ale myślę, że pan to załatwi.

Sójka musiał przycisnąć jakiś guzik, bo usłyszałem cichy brzęczyk. Drzwi otworzyły się tak błyskawicznie, że Maurice najpewniej trzymał rękę na klamce.

- Co pana zatrzymało, Maurice? - zapytałem. Był tak uprzejmy i opanowany, że zacząłem go nie znosić. Stał w milczeniu. Miał wypolerowane, wykwintne okulary, uwydatniające maleńkie oczka beznamiętnie patrzące na świat, którego częścią byłem w tej chwili ja. Znow nadeszło polecenie Sójki. - Maurice, bądź uprzejmy wręczyć panu Watermanowi czek na piętnaście gwinei. Rachunek numer trzy, Maurice. A potem odprowadź pana Watermana do drzwi. - Maurice skinął głową, chociaż Sójka tego nie widział.

Pan Waterman ujął w dwa palce kawałek poplamionych wąsów i wykręcał je do bólu. Pan Waterman również skinął głową. Pan Waterman musi iść. Pan Waterman czuł, że jest tu niepotrzebny. Pieniądz jest pieniądzem, ale mimo piętnastu gwinei, cały czas czuł, że chce wyjść.

- Do widzenia panu, panie Waterman - pożegnałem go i pan Waterman nas opuścił.

Koniecznym chciałem zobaczyć, co robi Sójka w małym pomieszczeniu za drzwiami. Słyszałem, jak się tam krząta. Dobrze znałem te kensingtonskie domy, w których goście nigdy nie byli dopuszczani do tajemnic. Podszedłem bliżej wejścia, nie mając pojęcia, co zobaczę w środku. Sójkę puszczającego z tubki bańki, jak w filmie Beli Lugosiego? Albo oglądającego program "To jest twoje życie", a może pielęgnującego cieplarniane orchidee?

- Interesuje się pan gotowaniem? - Sójka wyglądał o wiele starszej niż go pamiętałem. Na tle przewiązanego przez jedno ramię białego fartucha jego twarz była tak różowa, jakby lubił sobie dobrze wypić. W ręku trzymał trzyfuntowego homara. W oświetlonej neonówką jasnej kuchni z troskliwą dbałością sali operacyjnej były porozkładane miedź, nierdzewna stal i ostre noże. Przy kuchni z takim bogactwem pomocy naukowych, Cape Canaveral wyglądał jak prostokątne koło. Sójka położył na białej ladzie grynszpanowego homara w czarne cętki i z wiaderka z lodem wyjął butelkę moët et chandon. Napełnił dwa kieliszki.

- Mógłbym się tym zainteresować - zaproponowałem.

- Dobrze - odparł Sójka i wypił łyk chłodnego, musującego napoju.

- Czy to nie Lao-Tze powiedział: "Rządź cesarstwem tak, jakbyś chciał usmażyć małą rybkę"?

Sójka poczuł do mnie sympatię. Uśmiechnął się spod olbrzymich wąsów.

- Montaigne mawiał, że "wielcy ludzie szczytują się tym, że potrafią przygotować rybę na stół".

- Ale chyba nie uważał tego za komplement? - zapytałem. Sójka, nabijając homara na metalowy pręt, milczał. Napilem się szampana.- Zupełnie martwy - skomentował. - To trudna

robota. Nie znoszę zabijania - zwrócił się do mnie. Skończył nadziewać homara na szpikulec.

- Wie pan, zawsze muszę prosić handlarza ryb, żeby je dla mnie zabijał.

- No tak. Niektórzy tak robią.

- Jeszcze troszeczkę szampana? - zaproponował. - Do tego wystarczy pół butelki, a ja nie lubię za dużo pić.

- Bardzo dziękuję - odparłem, i właśnie to miałem na myśli. W kuchni było gorąco.

To, co zostało w butelce, wylał na metalową tackę i dosypał szczyptę soli.

- Jest pan opanowanym młodzieńcem. Nie obawia się pan o swego przyjaciela, Cavendisha? - Do szampana dodał spory kawałek masła. Nie wiedzieć dlaczego, nie miałem pojęcia, że masło może w ogóle pływać. Pamiętam, jak widząc to, pomyślałem, iż pływa tylko dlatego, że wrzucił je Sójka. Znow upiłem łyk szampana.

Sójka podniósł kieliszek, wypił i patrząc małymi oczkami wyznał:

- Prowadzę duży interes.

- Tak, wiem - potaknąłem, ale on tylko machnął czerwoną łapą.

- Większy. Większy niż się pan spodziewa. - Milczałem. Sójka zdjął z półki słoiczek i wrzucił do szampana kilka ziarenek pieprzu. Utykając, przeniósł ostrożnie tackę przez małą kuchnię i wstawił do piekarnika na ultrakrótkie promienie. Podniósł homara, którego sam nie mógł zabić, i zamachał nim.

- Właściciel rybnego sklepu sprzedaje ryby. Prawda? - powiedział i wsadził homara do piekarnika. - Handlarz winem sprzedaje szampana. Francuzi wcale nie protestują, kiedy ich szampan opuszcza Francję. Prawda?

- Prawda - potwierdziłem. Zacząłem rozumieć reprimendę.

- A pan. - Zastanawiałem się, co ja sprzedaję. Sójka włączył piekarnik i homar zaczął się wolno obracać. - A pan - powtórzył Sójka - sprzedaje lojalność. - Spojrzał mi w oczy. - Ja tego nie robię. Po prostu nie mógłbym. - Przez moment wydawało mi się nawet, że Sójka myśli, iż zmieniłem stronę, ale zrozumiałem, że to był jego sposób myślenia. Dokończył myśl: - Ja sprzedaję ludzi.

- Takich jak Eichmann?

- Nie lubię takich żartów - powiedział niby nauczyciel szkółki niedzielnej, który się znalazł w Folies Bergères. W uśmiechu wyszczerzył zęby. - Już bardziej jak Eichelhauer, powiedzmy. - To po niemiecku sójka. "Sójka - pomyślałem. - Garrulus glandarius rufitergum. Złodziejka podbierająca jajka, tyranka ptaków i niszczycielka plonów, przyczajona, ostrożna sójka, poruszająca się falistym, zygzakowatym lotem". - Handluję utalentowanymi ludźmi, którzy z własnej woli chcą zmienić pracę.

- Czy pan jest utalentowanym wywiadowcą z Kremla? - zapytałem.

Homara, którego nie lubił zabijać, Sójka zaczął polewać szampanem, którego nie lubił pić. Zastanawiał się nad tym, co powiedziałem. Teraz już rozumiałem, dlaczego był takim niesamowitym szczęściarzem. Zawdzięczał to twarzy. Do dziś nie mam pewności, czy Sójka uważał się za utalentowanego wywiadowcę z Kremla na skutek tego, że zadzwonił w kuchni ścienny telefon. Przesłał polewać i wytarł ręce, by podnieść słuchawkę.

- Wpuść go. - Cisza. - Więc powiedz mu, że jestem w domu. - Odwrócił się i zmierzył mnie wzrokiem bazyliuszka, jak zazwyczaj patrzają ludzie odbierający telefon. Nagle powiedział do mnie:

- W kuchni nie palimy - i nie odrywając słuchawki od ucha - tu Maksymilian. Mój drogi Henry. - W uśmiechu rozjaśniła mu się twarz. - Ani słowa, drogi przyjacielu, mów dalej. Tak, świetnie. - Dostrzegłem, jak przyciska guzik obok telefonu. Sójka wciąż słuchał, jego twarz przypominała Giełguda w "Siedmiu wiekach człowieka". W końcu powiedział: - Dziękuję - i odwiesił słuchawkę, wracając do polewania homara.

Zaciągnąłem się papierosem. Widział to, ale się nie odezwał. Postanowiłem przejąć inicjatywę.

- Czas chyba pomówić o dekatyzatorni głów w Wood Green? - zapytałem.

- Dekatyzowanie głów?

- Towarzystwo Prania Mózgów, miejsce, skąd ledwo się wyrwałem. To nie jest to, do czego zmierzamy w naszej pogawędce?

- Pan sądzi, że mam coś z tym wspólnego. - Zrobił zdziwioną minę.

Rozległo się pukanie i Maurice wręczył Sójce jakąś kartkę. Próbowałem przeczytać, co było tam napisane, ale się nie udało. Maurice zniknął. Za Sójką przeszedłem do dużego salonu. Obok radia i telewizora stało tam niewielkie urządzenie podobne do maszyny do pisania, niszczące papier. Sójka włożył do środka kartkę i przycisnął przycisk. Kartka zniknęła. Siadając, Sójka zapytał:

- Czy źle pana traktowali w Wood Green?

- Nawet to polubiłem, tylko że nie otrzymywałem wynagrodzenia.

- Sądzi pan, że to okropne. - Nie było to ani pytanie, ani stwierdzenie.

- Nic o tym nie sądzę. Płacą mi za to, żebym się zajmował bardzo różnymi sprawami.

Przypuszczam, że niektóre z nich są rzeczywiście okropne.

- W średniowieczu - ciągnął Sójka, jakby nie słysząc tego, co powiedziałem - uważano, że najgroźniejszą bronią jest kusza.

- To nie z powodu samej tej broni, ale dlatego, że zagrażała ówczesnemu systemowi.

- To prawda - przyznał Sójka. - Niechby więc jej używali, ale tylko przeciw muzułmanom. Prawda?

- Naturalnie - potwierdziłem.

- Co można by nazwać polityką ograniczonej wojny z elementami wywrotowymi. Obecnie dysponujemy inną straszliwą bronią, groźniejszą niż nuklearne eksplozje, gaz paraliżujący czy bomba z antimaterią. ALE ta broń nikogo nie rani. Czy to takie straszne?

- Broń nie jest straszna. Nie są straszne wypełnione pasażerami samoloty do Paryża, bomby ze środkami owadobójczymi ani cyrkowe armaty z człowiekiem w środku. Ale wazon pełen róż w rękach człowieka ze złymi zamiarami jest morderczą bronią.

- Mój chłopcze - powiedział Sójka - jeśli pranie mózgow pojawiło się na świecie przed procesem Joanny d'Arc, ta kobieta powinna dożyć późnej starości.

- Oczywiście, i we Francji do dzisiaj powinno być pełno najemnych żołnierzy.

- Myślę, że nawet by się to panu podobało. Jest pan angielskim patriotą.

Siedziałem w milczeniu. Sójka pochylił się ku mnie z ogromnego fotela pokrytego czarną skórą.

- Nie może pan sądzić, że kraje komunistyczne zdążają do upadku, a ten dziwny kapitalizm będzie się wspaniale rozwijał. - Poklepał mnie po kolanach. - Jesteśmy rozsądnymi i obiektywnymi ludźmi ze, chyba mogę tak powiedzieć, sporym doświadczeniem politycznym. Żaden z nas nie może kwestionować dobrobytu związanego z systemem kapitalistycznym - pogłaskał drogą skórę na fotelu - ale co ma on do zaofiarowania? Kolonie, które były kiedyś kurami znoszącymi złote jaja, znikają. Kura zorientowała się, gdzie je sprzedawać. W nielicznych krajach, gdzie - zresztą nie wiadomo dlaczego - władze likwidują ruchy socjalistyczne, owe władze mają oparcie w siłach faszystowskich i są opłacane przez Zachód.

Ciche tło dla mówiącego Sójki stanowiła muzyka z radia. Jakiś angielski wokalista jazzowy świślał, zawodził i coś wyrzaskiwał w idiotycznym zapamiętaniu. Spostrzegłszy, że słucham, Sójka przypuścił atak. - Czego można się spodziewać po kapitalizmie? Czego można się spodziewać po systemie nękanym strajkami, chorobami psychicznymi i nie wykazującym troski o obywateli? Systemie na skraju anarchii, ze skorumpowaną policją i wałęsającymi się zgrajami wypasionych tchórzów, wyżywających się w tak charakterystycznym dla kapitalizmu sadyzmie, który jest koncesjonowanym samolubstwem. Kogo oni wyróżniają i nagradzają? Muzyków, poetów, matematyków czy lotników? Nie. Zdegradowanych młodzieńców, zdobywających sławę dzięki temu, że nie rozumieją muzyki i mają talent do śpiewania. - Albo dobrze wymierzył swoją tyradą albo miał szczęście, bo

przełączył radio na stację, która nadawała wiadomości z kraju. Chociaż nie przestał mówić, już go nie słuchałem. Akurat spiker czytał: - Policji zależy na przesłuchaniu osoby widzianej w pobliżu miejsca popełnienia przestępstwa. - Dalej podał dość wierny mój rysopis.

- Dość tego - przerwałem Sójce. - Kto zabił Charliego Cavendisha?

Sójka podniósł się z fotela i podszedł do okna. Przywołał mnie skinieniem, żebym spojrzał na zewnątrz. W poprzek ulicy stały dwie taksówki. Dalej, przy końcu ulicy, zobaczyłem piętrowy autobus. Sójka włączył krótkofalówkę i nastawił na długość fal policji. Akcję koordynowało policyjne walkie-talkie przed Victoria Palace i Albert Museum.

Po drugiej stronie ulicy jeden z trzech mężczyzn pochylił się do taksówki i usłyszeliśmy jego głos:

- Przebiegnę na drugą stronę, uważajcie na tył domu i dachy. Przecznice ulic! Nie opuszczać stanowisk do odwołania.

Rozpoznałem głos Rossa. Trzech ludzi przeszło na drugą stronę ulicy.

Sójka odwrócił się do mnie.- Już wkrótce pranie mózgow zostanie uznane za skuteczną metodę zwalczania elementów społecznych, takich na przykład kryminalistów. Wypróbowałem to na blisko trzystu osobach. Jest to największy krok naprzód w naszym stuleciu. - Podniósł słuchawkę: - Maurice, mamy gości. - Sójka uśmiechnął się do mnie szerokim uśmiechem. - Niech pan im powie, że już jestem w areszcie. - Przypomniałem sobie wszystko pozostałe o sójce - garrulus glandarius rufitergum: jest czujna, niezmordowana, wrzaskliwa, łączy się w pary, towarzyska wiosną, ale samotniczka w innych porach roku.

Maurice wprowadził Rossa z dwoma policjantami i wszyscy uścisnęliśmy sobie ręce. Nigdy nie sprawiały mi przyjemności spotkania z Rossem. Woleli nie ryzykować i ulica była obstawiona jeszcze przez godzinę. Ross chłodno traktował Sójkę, którego zrewidowano i odwieziono do Carshalton, zakupionego dla niewiadomych celów domu wydziału Rossa. Kiedy Sójka przyszedł się pożegnać, miał na sobie wspaniały ciemnozielony moher. Nieco mnie zdziwiło, że wpiął sobie w klapę znaczek ruchu zwolenników rozbrojenia nuklearnego. Gdy spostrzegł, że się wpatruję w plakietkę, odpiął ją i bez słowa wetknął mi do ręki. Biorąc pod uwagę miejsce, do którego się udawał, mógł mi podarować telewizor.

Wreszcie się trochę uspokoiło i Ross nieco protekcyjnym tonem powiedział:

- Przypuszczam, że ma pan coś, z czym nie należy zwlekać.

- Mam, jeśli pan lubi, homard a la broche. - Zaprowadziłem go do kuchni, żeby pokazać.

Ross zażartował.

- Często pan tu przychodzi?



- Dość często. Znam szefa kuchni.

### 31

(Wodnik (20 stycznia -19 lutego). Radosne odnowienie starych znajomości. Oddaj się całkowicie pracy).

Gdy dotarłem do Charlotte Street, dochodziła północ. Całe biuro było na nogach. Alice, tym razem w zielonych fildekosowych pończochach, zapytała mnie, czy może skorzystać z IBM. Jean miała na sobie nowy kostium pod szyję, ale bez rękawów, a w uchu połyskiwał jej jeden złoty kolczyk, ten, którego nie zgubiła, i była uczesana z przedziałkiem na środku głowy. Wręczyłem Alice listę nazwisk, a kiedy wyszła z pokoju, powalałem się szminką Jean.

Wszystkich aresztowanych zabrano do Carshalton i o trzeciej trzydziści nad ranem rozdzielono, ponieważ Ross - zgodnie z tym, co mu przekazała Alice - wyznaczył dodatkowy areszt, by zatrzymanych trzymać oddzielnie.\* [\* /Patrz Dodatek: Ośrodki zatrzymań, str. 222]

Brzęcząc i klekocząc zaczął pracować IBM. O szóstej rano miała się odbyć odprawa w Scotland Yardzie. Policja bardzo się niepokoiła, a ponieważ Ross skontaktował się z jednym z czterech sekretarzy ministerstwa Spraw Wewnętrznych, tam zaczęli się niepokoić jeszcze bardziej. Przed ósmą było już po najgorszym. O ósmej dziesięć, Murray (który krótko po tym, jak dostał kluczem w głowę, zatrzymał Dalby'ego) zadzwonił z Liphook, by powiedzieć, że złapał faceta o nazwisku Swainson, i żeby przysłał tam wóz. Wyglądało na to, że Swainson było prawdziwym nazwiskiem K. K. Wysłałem Murray'owi wóz i wyskoczyłem z Jean na śniadanie.

- Ten zamiar poddawania całych narodów praniu mózgow jest wprost niewiarygodny - powiedziała Jean znad kawy.

- Całkiem wiarygodny. Nie wykorzeniliśmy tego do końca - odpowiedziałem. - Już nie wiem, co jest większym zaskoczeniem: Dalby pracujący dla drugiej strony, czy Ross kierujący operacją, która doprowadziła do złowienia go w sieć.

- Czy Ross wiedział, co się działo, gdy cię przekazywał do owej WOOC(P)? - zapytała Jean.

- Częściowo się domyślał. I dlatego polecił Murray'owi zbadać grunt. Kiedy się dowiedział o zamiarze aresztowania mnie w klubie striptizowym, dał Dalby'emu do zrozumienia, że go podejrzewa o nieczyste sprawy. Ross postąpił niesłychanie ryzykownie. Jednak w tym wypadku ryzyko się opłacało, ponieważ Dalby chcąc się wykazać lojalnością, zrobił kawał dobrej roboty w Libanie. Widziałem Rossa na lotnisku, kiedy wrócił z Bejrutu

po spotkaniu z Dałbym. Nigdy się nie dowiemy, czy akcja Dalby'ego w Libanie była podjęta wbrew życzeniom Sójki, ponieważ Dalby zrobił sobie cel ze wszystkich ludzi w samochodzie Kruka.

- A więc Carswell nie był aż taki głupi? - zapytała Jean.

- Nie. Nawet jeśli chodzi o bohaterów jego statystyk, którzy mieli gorączkę, prawicowe poglądy i sprzyjali komunistycznemu myśleniu o reformach. To, że statystyki Carswella zaczęły ujawniać spisek, było początkowo czystym zbiegiem okoliczności. Ale Ross natychmiast usunął Carswella w cień. I dlatego nie mogłem trafić na znany Rossowi trop, prowadzący przez Charliego do Służb Kontroli Wywiadu. Ross bardzo się niepokoił o bezpieczeństwo Carswella.

Jean dodała:

- By nie wspomnieć o tym, że jeśli teraz Sójka nic nie mówi, jedynie Carswell może dostarczyć informacji o zasięgu operacji IPCRESS. A tak na marginesie, czy IPCRESS jest postacią z greckiej mitologii, aluzją, którą powinnam od razu zrozumieć?

- Nie. To skrót, który utworzył jeden z ludzi Rossa od słów "Induction of Psychoneuroses by Conditioned Reflex with Stress"<sup>\*\*</sup>, [Wywoływanie nerwicy poprzez odruch warunkowy w stresującej sytuacji (przyp. tłumacza).] które są klinicznym opisem tego, co robili w "domu, w którym straszy".

- I co w Wood Green zaczęli robić tobie - zauważyła Jean.

- No właśnie. Mieli trzy podstawowe metody. Metody "domu, w którym straszy", z braku lepszego określenia, polegającą na psychicznej izolacji. Posługiwali się fałszywymi ambasadorami, którzy przekonywali ofiarę, że jest absolutnie osamotniona albo fałszywymi policjantami. Ale kiedy przypadkowo złapaliśmy tego faceta w Shoreditch, zarzucili ten pomysł z policjantem, bezpieczniejsze były ubrania cywilne. W Wood Green mieli nawet specjalny system podnoszenia i obniżania temperatury pomieszczeń. Włączali i wyłączali światło, by "wywoływać" trwający godzinę dzień czy trzydziestosześciodzinną noc. Robiono to, by wytrącić z równowagi umysł, już Pawłów odkrył, że w ten sposób łatwiej się osłabia człowieka fizycznie.

- Co by ci zrobili, gdybyś im nie uciekł? - zapytała Jean. Miło wiedzieć, że ktoś się tym martwił.

- "Uciekł" to za mocne słowo. Na szczęście, dość sporo wiedziałem o ich metodach, by się tego domyślać. Większość poprzednich pensjonariuszy nie wiedziała, że są jeszcze w Anglii. Nie było więc sensu w ich odczuciu, uciekać z domu tylko po to, by się znaleźć tysiące mil za żelazną kurtyną. Co do następnych etapów: zaczyna się od zerwania kontaktów ze światem zewnętrznym, poczucia izolacji, fizycznego i psychicznego zmęczenia,

niepewności - tak zaczęli ze mną. Żyjąc w napięciu i niepewności, przestajesz się orientować, co ci sprawia przyjemność, a co nie. Przy tego rodzaju technikach niebezpieczne jest jakiegokolwiek poczucie humoru. Zauważ, jak bardzo podobny do tych metod jest sposób, w jaki traktowali mnie Amerykanie po aresztowaniu na Tokwe. No cóż, gdybym przeszedł w Wood Green następny etap, pewnie nauczyłbym się na pamięć tego długiego dokumentu związanego z moim procesem.

Jean dołała sobie kawy. Wyjaśnianie, jak niewiele brakowało, by zmienili mi osobowość, tak mnie zmęczyło, że zaschło mi w gardle.

- A co potem? - zapytała Jean. Zapaliła i podała mi gauloisa.

- Terapia grupowa. Wiemy, że w tym samym czasie trzymali oprócz mnie pięć osób. Może nawet więcej. Taśma z nagraniem lamentami i jękami oraz mówieniem przez sen w obcym języku każdego musiała doprowadzić do wysokiej gorączki. Ale podnosił mnie na duchu fakt, że była to taka sama taśma, jak ta, którą znalazł Keightley. Już wkrótce miano organizować grupowe spotkania, podczas których mieliśmy dochodzić do wniosku, że jeden z nas jest donosicielem, co by wzmagало napięcie. Później jest etap wyznań i autobiograficznej spowiedzi. Niezwykle drobiazgowej, podczas której spowiadasz się z takich rzeczy, jak: dlaczego palisz, czy masz romanse, a raczej miałeś, czy piłeś, spotykałeś się z ludźmi. - Miałeś romanse? - zapytała Jean.

- Przed tym etapem udało mi się uciec.

- Teraz już wiem, dlaczego. To niezwykle miło z twojej strony - wyznała.

Wypiłem łyk kawy. Słońce zalewało ulicę i do rynsztoku spływała woda z leżących przed restauracją brył lodu. W budce ze słomianym dachem sprzedawca położył na wilgotnym kawałku marmuru łososia złowionego w Severn. Wokół ryby zaczął układać sole, skarpy, płaskie ostrygi, śledzie i makrele. Odwróciłem się do Jean, by poświęcić całą uwagę temu, co mówi.

- A co się miało dzieć po etapie wzajemnych wyznań?

- Nie kryje się w twoim pytaniu jakaś zasadzka?

- Och, każda kobieta dobrze wie, na czym polega pranie mózgu. To wprawianie we wściekłość męża zakupem nowego kapelusza i prośbą, żeby za ten zakup zapłacił. Gdy mija mu wściekłość, ma poczucie winy.

- Nawet nie wiesz, jakie to trafne. Wszystko polega na wyszukiwaniu słabości, najlepiej jeśli ofiara sama odkryje swój słaby punkt. Samokrytycyzm i tak dalej. Wreszcie trzecia faza, wykorzystanie już uzyskanych informacji do wywołania tego, co nosi techniczną nazwę: "abreakcja". Wywołuje się ją poprzez intensywne oddziaływanie na świadomość,

indoktrynację podczas zebrań. A faktycznie poprzez zmęczenie i stres. To jest punkt kulminacyjny procesu prania mózgow. Od "abreakcji" nie ma już odwrotu.

- W jaki sposób można się zorientować, kiedy się osiąga taki stan? - zapytała Jean.

- Czujesz, że nic ci nie jest. To całkowite załamanie nerwowe. Rozszerzone źrenice, sztywne mięśnie, skóra pokrywa się zimnym potem. Czujesz, że nie możesz złapać oddechu, który ulega przyśpieszeniu. Ale to dopiero początek. Potem ciągły, histeryczny szloch i całkowity zanik samokontroli. W czasie pierwszej wojny światowej nazywało się to "szokiem osłonowym", w czasie drugiej "zmęczeniem walką". Gdy "abreakcja" pojawi się w jednym oddziale, wkrótce ujawnia się także w innych i opanowuje jedną po drugiej wszystkie jednostki.

- Wspomniałeś o trzech podstawowych metodach. Ale opowiedziałeś tylko o jednej - przerwała mi Jean.

- Naprawdę? Nie miałem na myśli tego, że są to odrębne systemy, ale że są stosowane na rozmaite sposoby. Pierwszy - to "dom, w którym straszy". Sójka później myślał o wykorzystywaniu małych prywatnych lecznic, są mniej podejrzane, i gdy powracają do normalnych funkcji, nie trzeba ich adaptować ani na powrót przebudowywać. Właśnie z tymi lecznicami Carswell wiązał odkrycie swych "gromadzących siew jednym miejscu". Przypominasz sobie opis, który nam przedstawił? Wskaźnik gorączkowania był tak wysoki, ponieważ gorączka powoduje fizyczne osłabienie, przygotowujące ofiarę do prania mózgu.

- Chcesz powiedzieć, że umyślnie podnoszono im gorączkę i potem zapędzano do tych lecznic?

- Na odwrót. Najpierw tam umieszczano, później podnoszono temperaturę.

- Zastrzykami?

- Medycyna posługuje się jeszcze moskitami. Do skóry przystawia się szklanekę i moskity zaczynają kłuć. Wtedy człowiek dostaje gorączki, ale dzisiaj ten sposób stosuje się rzadko. - Nie mogłem nie docenić, że w tym momencie Jean nie zmarszczyła nosa ani nie powiedziała "jakie to okropne".

- Gorączka przyśpiesza wszystkie procesy - zauważyła. Zgodziłem się z jej uwagą.

- Z pewnością, i prowadzi to do trzeciej metody. To znaczy do psychicznego załamania.

- Abreakcji?

- No właśnie. Do wywołania jej lekami; lekarze nazywają to szokiem farmakologicznym. Szok wywołuje się wstrzykując dożylnie insulinę, która obniża poziom cukru we krwi, czemu towarzyszą takie same skurcze i konwulsje jak w abreakcji. Człowiek

zaczyna krzyczeć, szlochać i w końcu popada w głęboką śpiączkę. Potem wstrzykują dożylnie cukier.

- Dlaczego ci tego nie zrobili? Dlaczego nie wysłali do takiej lecznicy?

- Chyba ciągle mnie o coś podejrzewasz - przerwałem jej pytania. Jean nerwowo się zaśmiała. - Bardzo się tym martwiłem, mogę ci to powiedzieć, ale to zawiła sprawa; potrzebowali człowieka z doświadczeniem, lecz on się zaszył w pewnym miejscu w Szkocji. Na szczęście, nie mógł być w dwóch miejscach jednocześnie. Oraz fakt, że ta starsza metoda jest dokładniejsza, a ja byłem uważany za trudnego pacjenta...- Znow mówisz o trudnościach. A ja stale nie jestem pewna, czy już to zrozumiałam. Chcesz powiedzieć, że ci ludzie, ci "zgromadzeni", po przejściu prania mózgu wracają do swojej pracy, ale już jako rosyjscy agenci z totalnie przenieconymi poglądami?

- Nie, to jest o wiele bardziej skomplikowane. W rzeczywistości wszystko obraca się wokół Sójki, i żeby zrozumieć IPCRESS, musisz zrozumieć Sójkę. Ten facet całe życie spędził wśród zmieniających się układów politycznych. Nam w Anglii łatwo zachować lojalność wobec rządu, który niemal niezmiennie trwa od czasu powrotu Stuartów na tron. Sójka widział rządy, które zbyt często przychodziły i odchodziły, by im ufać. Ma w pamięci carat i jego ignorancję, rząd subtelny pianisty, Paderewskiego, a także Naczelnego Wodza Piłsudskiego, który genialnie wygrał bitwę o Warszawę w 1920 roku i rozgromił sowieckie armie dowodzone przez Tuchaczewskiego. Pamięta dyktatora, który przejął władzę, krzycząc "to jest dom publiczny" w sejmie. Pamięta rząd, który naśladując Hitlera zagrabił w 1938 roku część Czechosłowacji. Pamięta nazistów, a także powojenną walkę o władzę między protegowanymi Londynu i Moskwy. Sójka przechodził przez te wszystkie zmiany jak kaczka w plastiku płynącym z prądem rwącej rzeki. Sprzedawał informacje. Informacje od Klause Fuchsa w Anglii, Allana Nuna May'a w Kanadzie i od Rosenbergów w Stanach Zjednoczonych. Później zajął się porywaniem, organizując uprowadzenie Otto Johna z Zachodnich Niemiec, włoskiego fizyka Bruna Pontecorvo, musieli także podróżować we wschodnim kierunku Burgess i Maclean. Wszystko to robił za pieniądze. Wysyłałby ich na zamówienie każdego, kto by zaproponował odpowiednią sumę. Aż pewnego dnia, prawdopodobnie przy goleniu, przyszła mu do głowy myśl, że mógłby wpływowym ludzi poddawać praniu mózgu, a oni za jego pośrednictwem przekazywaliby cenne informacje. Sójka wystarczająco znał się na psychiatrii, by wiedzieć, że jest to możliwe, i nie zapominajmy, że od roku dobrze się sprawdza. Zdawał sobie sprawę, że to nas sprowokuje do położenia palca na spuście oraz wzbudzi wzajemne podejrzania.

Zamówiłem nową kawę i zadzwoniłem do biura, żeby sprawdzić, czy nie ma do mnie depeesz, ale nie było nic nowego. Wróciłem do Jean.

- Co to za zbiornik z wodą, o którym była mowa w raporcie ze "straszego domu"? - zapytała.

- Tak, zbiornik z wodą. Powinienem raczej mówić o czterech metodach, bo ten zbiornik miał zastosowanie przy jeszcze innej. Zasłaniano ofierze oczy, zakładano jej aparat do oddychania pod wodą i zanurzano głowę w dół w zbiorniku z lodowatą wodą. Początkowo zanurzony śpi, a kiedy się budzi, jest kompletnie zdezorientowany, nękają go lęki i halucynacje. W odpowiednim momencie dostarcza mu się informacji...

- I stąd ten magnetofon.

- Właśnie...

- Więc jest to raczej szybka metoda prania mózgu.

- Tak, ale ją zarzucili, więc chyba nie była taka rewelacyjna.

- Nie stosują również TAP\*<sup>[Patrz Dodatek: TAP, str. 223]</sup> - zauważyła Jean.

- Nie. Wiem, że nie czytałaś tego raportu.

- Czytałam, Alice dała mi go wczoraj wieczorem. Tłumaczyłam jej jakieś wzmianki z norweskiego czasopisma medycznego.

- Aha, to w porządku.

- Alice powiedziała, że jej pozwoliłeś dać mi ten raport. - Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Jean ciągnęła dalej: - Takie pranie mózgu...

- Raczej powiadamy "reforma świadomości". Dziś już nikt nie mówi "pranie mózgu".

- Czy ta "reforma świadomości" jest...?

- Dajmy sobie z tym spokój - przerwałem jej. - Co robisz dziś wieczorem?

Dotykając palcem złotego kolczyka, Jean spojrzała na mnie spod przymrużonych powiek.

- Myślę, że chyba powinnam dać ci szansę skompletowania kolczyków. - Odetchnąłem, a Jean, dostrzegając, że dostaję gęsiej skórki, sięgnęła po Guardian.

Morderstwa w Londynie zawsze wzbudzały duże zainteresowanie czytelników, choćby dlatego, że gazety wybijały je na pierwsze strony. Tytuł brzmiał "Morderstwo w londyńskim klubie", a niżej pisano o tym, że policja przeglądała listy członków "Tin-Tack Clubu", gdzie Charlie dorywczo był kelnerem.

- Murray wspominał, że Cavendish był twoim przyjacielem - powiedziała Jean.

Wyjaśniłem jej, że ostrzegłem o grożącym mi niebezpieczeństwie, nie wspominając, że każdy by to uczynił.

- Ale dlaczego miałby ktoś chcieć go zabić? Żeby pomóc tobie?
- Och, nie. To było bardziej tragiczne. Pożyczył mi trochę ubrania, między innymi jasnoniebieski płaszcz przeciwdeszczowy. W Fortes oddałem Charliemu ten płaszcz, a on poszedł w nim do domu. Po prostu wzięto go za kogoś innego.
- Kto to zorganizował?
- Jakiś oprych z siatki Sójki. Złapiemy go.
- A nie sam Sójka?
- Z pewnością nie. Wprost przeciwnie, jak tylko wyniuchał, że Charlie ma powiązania ze służbami Kontroli Wywiadu, pognął porozumieć się z Dalbym.
- Miał nadzieję, że Dalby będzie mógł to wyciszyć?
- Tak, ale Dalby nie miał szans z Kontrolą Wywiadu. Ma ona zbyt wiele powiązań z rządem przez przemysł, a także wspólne z nim służby.
- Twój przyjazd musiał ich nieźle zaskoczyć - zauważyła Jean.
- Otóż Sójki jeszcze tam nie było, choć Dalby spodziewał się jego wizyty. Urządzenie alarmowe na podczerwień uprzedziło go o moim przybyciu, więc miał czas się przygotować. Gdyby mój detektyw nie wspomniał o Chińczyku, nie wróciłbym do Dalby'ego. Nie miałem większych szans, mimo to zaryzykowałem i to się opłaciło. Murray, wychodząc z gabinetu Dalby'ego, usłyszał brzęczenie alarmu i wyłączył go przed wyjściem na dwór. Kiedy mnie dopadł w ogrodzie, mocno się zaniepokoił, że, pośpiesznie działając, wszystko zepsuję.
- Jak w ogóle mógł tak pomyśleć?
- No właśnie. Ale wiedząc, że nie mam wiele do stracenia, zadzwonił do Rossa.
- Kiedy już odzyskał przytomność?
- Kiedy już odzyskał przytomność - potwierdziłem.
- Murray jest człowiekiem Rossa, i tylko jego?
- W normalnej sytuacji nie, ale był do jego dyspozycji przy sprawie IPCRESS. Po rozmowie z Rossem obszedł cały dom i wrócił do salonu zatrzymać Dalby'ego. Ten Chińczyk...
- Który, mój drogi, jest Litwinem - wtrąciła Jean.
- Słyszałem o tym. Murray dzwoniąc coś o tym wspominał. Złapał go pod Liphook. Ale szczegółów nie znam.
- Ross po rozmowie z Murray'em musiał błyskawicznie działać.
- Pewnie tak, ale nie zapominaj, że od dawna przygotowywał na to ministra Spraw Wewnętrznych. Wiedzieli, że to może się stać w każdej chwili.

- Dlaczego Sójka tak łatwo dał za wygraną, gdy zobaczył Rossa? - zapytała Jean. - To jakoś do niego niepodobne.

- Tego nie byłbym taki pewny. Albo liczył na to, że Dalby wyciągnie go z opałów, chociaż rywalizowali ze sobą...

- Albo...

- Albo miało to coś wspólnego z telefonem jakiegoś Henry'ego. Na to pytanie odpowie czas.

- Jeszcze kilka pytań - nalegała Jean.

- Świetnie.

- Dlaczego Sójka pozwolił Krukowi spotkać się z tobą z klubie, gdy już miałeś być zatrzymany?

- To proste. Dalby i Sójka już wtedy niezłe rozkręcili te swoje "reformy świadomości", ale potrzebny im był gustowny znak przestankowy, wyjaśniający całą serię uprowadzeń. Gdyby znaleźli kozła ofiarnego, sprawa by się zakończyła, a oni mogliby się zająć nowymi planami.

- Dopóki by się nie pokłócili.

- Możliwe, ale nie musieliby się kłócić. W każdym razie Dalby i Sójka chcieli mnie urządzić w ten sposób, żeby podczas policyjnej obławy zatrzymano mnie w towarzystwie Kruka, a na dodatek ze strzykawką w kieszeni.

- Jednak?

- Jednak zamiast zwlekać jeszcze kilka minut, w czasie których byłbym jakoś "doprowadzony" do pokoju gier, zniecierpliwiłem się...

- Coś niesłychanego - wtrąciła Jean. - To do ciebie niepodobne. A więc jedynym człowiekiem, który chciał ci pomóc, był ten facet z wywiadu Amerykańskiej Marynarki?

- Obawiam się, że tak.

- Musimy już wracać do biura, bo Alice będzie zrzędzić.

- Do diabła z nią. Chyba ja jestem szefem, co?

- Nie wtedy, gdy rozkazy wydaje Alice - zaproponowała Jean.

- Wiesz, ostatnio to biuro jest jakieś odmienione - powiedziałem i wróciliśmy do pracy, chociaż ciągle myślałem o kolczyku.

## 32

(Wodnik (20 stycznia - 19 lutego). Pod koniec tygodnia znajdziesz czas, żeby zająć się czymś nowym. Wszystkich ucieszy niespodziewany wyczyn).



Kiedy wróciliśmy do biura, zaczęły napływać depeche z Waszyngtonu, Kalkuty i Hong Kongu. Alice świetnie dawała sobie radę i tylko kilka telegramów wymagało moich decyzji. Murray poleciał do miasteczka w pobliżu Grantham i wojskowym helikopterem przywiózł Chica. Gdy go zobaczyłem w wojskowym szpitalu w Millbank, wyglądał nieszczęśliwie. Ross postawił przy łóżku dwóch ludzi, by go obserwowali przez całą dobę, ale niczego się nie dowiedzieli poza tym, że na filmie wyświetlanym w Ministerstwie Obrony zauważył przyjaciela swego kuzyna. Zamiast powiedzieć o tym Rossowi, poszedł z wizytą do tego człowieka. Nie muszę mówić, że facet należał do siatki IPCRESS, Chico znalazł się w szpitalu, a jego przyjaciel w worku Rossa.

Tyczkowaty Painter o bladej twarzy, który pracował z nami w Libanie, okazał się renomowanym psychiatrą. Przywiózł jeńca, czyli Kruka, który przeszedł częściowe pranie mózgu i powoli powracał do normalnego stanu. Usadawiłem go w jednym pokoju z Carswellem na najwyższym piętrze przy Charlotte Street. Gdyby nie udało się nam złamać Sójki, wszystko by zależało od tych dwóch ludzi.

W środę mogłem nareszcie się wypaść. Do tego czasu żyłem kawą, papierosami i kanapkami z aspiryną, ale we środę połknąłem nasenne pigułki i obudziłem się następnego dnia przed południem. Dwa dni wcześniej przyrzekłem sobie, że nie wezmę do ust kawy, więc wziąłem zimny prysznic. Założyłem garnitur z irlandzkiego tweedu, bawełnianą koszulę i wełniany krawat. Na trzecią byłem wezwany przed oblicze wysokiej rangi dygnitarza w Ministerstwie Obrony.

Spóźniłem się ponad minutę. Byli już tam Ross i Alice. Ross miał na sobie nowy mundur z koroną i gwiazdką na naramiennikach. Odznaka Sama Browna błyszczała jak głowa lysego portiera, przypiął też sobie czerwony Order Imperium Brytyjskiego z wojskowymi naszywkami, odznakę za służbę w Indiach, krzyż Koronacji Jerzego VI, by nie wspomnieć o gwiazdce "39-43" i wstążce odznaczenia za walki na pustyni. Zacząłem żałować, że nie założyłem pulovera z przyszytym Medalem za Obronę.

Dygnitarz Wysokiej Rangi uściśnął nam po ojcowsku ręce i zwrócił się do mnie jako do "bohatera chwili". Uczciłem to sięgając po cygaro i udając, że nie mam zapalek tylko po to, by gospodarz podał mi ogień. Podziękował mi, a także Rossowi i Alice, i już wiedziałem, że niczego ponad to nie należy się spodziewać. Kiedy rozpoczął od: - Panu Rossowi bardzo zależało, żeby usłyszał pan to ode mnie... - już wiedziałem, o co chodzi. Ross przejmował w końcu Charlotte Street. Co za synchronizacja wydarzeń! Po fiasku IPCRESS nikt nie mógł kwestionować jego fachowości. Słyszałem, jak mówił o awansie Rossa na podpułkownika i wspominał o "starszeństwie", Na ścianach były porozwieszane fotografie DWR stojącego z

Churchillem, z Eisenhowerem, otrzymującego jakiś medal, siedzącego na koniu i w dziuple podczas przeglądu pancерnej brygady. Nie było jednak jego fotografii jako nieopierzonego młodszego oficera zatykającego zlew zupą. Prawdopodobnie tacy ludzie rodzą się od razu generałami brygady.

Rozmowa przyjęła inny obrót. Wyglądało na to, że jednak Ross nie przejmuje Charlotte Street. Celem mojej wizyty było wyjaśnienie pewnej sprawy.

Teraz wyszło na jaw, że wszystko zaczęło się od tego, że Ross chciał się upewnić, czy nie byłem związany z układem Dalby-Sójki. I właśnie dlatego oferował mi zakup dokumentów "Al Gumhurii"! Wyobrażali sobie, że jeśli przesyłam materiały za pośrednictwem Sójki, dam się na to nabrać. Ale odrzuciłem ofertę, odpowiadając Rossowi, żeby to sobie zatrzymał. Od tego momentu, jak to ujął stary wojak, "miałem zapewnioną przyszłość". Teraz Ross chciał mi udowodnić, że miał czyste ręce i poprosił DWR, żeby mi to osobiście powiedział.

DWR z zachwytem słuchał, w jaki sposób wydostałem się z Wood Green i w pewnym momencie powtórzył kilka razy: - A to świetne! - i coś jeszcze, co uznałem za zbyt głupie jak na jego wiek i doświadczenie. Wreszcie zapytał jakby samego siebie: - Cóż jeszcze mógłbym panu powiedzieć?

Odparłem, że od prawie ośmiu miesięcy zalegają mi ze zwrotem kosztów zagranicznego wyjazdu i służbowej delegacji. Nieco to nim wstrząsnęło, a zakłopotany Ross nie wiedział, gdzie schować twarz. Ale DWR zajął stanowisko "trzymajcie się razem" i obiecał to załatwić, jeśli zostawię adiutantowi szczegółową notatkę. W momencie, gdy Ross otworzył już drzwi i Alice miała w nie wejść, pochyliłem się nad wypolerowanym do połysku biurkiem, zadając pytanie: - Kiedy aresztujecie Henry'ego? - Ross zamknął drzwi i wrócił do biurka, zza którego wyszedł DWR. Obaj patrzyli na mnie, jakbym nie używał dezodorantu rexona.

Wreszcie przemówił DWR, przysuwając swoją pomarszczoną twarz do mojej.

- Powiniennem się na pana wściec. Pan mi insynuuje niechęć do ścigania wrogów Królowej.

- Niczego nie insynuuję, ale miło mi słyszeć, że zirytowała pana taka myśl - odpowiedziałem.

Odsunął szufladę biurka i pokazał cienką zieloną kartotekę, na której nagrobkowymi literami wypisano HENRY. To było niemal wszystko, co wiedzieliśmy o człowieku, który tamtego wieczoru dzwonił do Sójki. Wewnątrz znajdowała się odręczna notatka premiera, mój raport i długa epistoła Rossa.

- Bardzo nam zależy na wyjaśnieniu tej sprawy, ale musimy mieć więcej danych - powiedział.

- A więc jeśli o to chodzi, byłoby najlepiej, gdyby przekazał je pan odpowiedniej komórce - zaproponowałem.

- Szczerze mówiąc... wtrącił Ross, ale nie pozwoliłem sobie przerwać. Patrząc prosto w oczy DWR ciągnąłem dalej:

- Mój raport był przeznaczony dla Rady Ministrów. Ani pan, ani pułkownik Ross nie miał prawa otwierać dokumentu, posługiwać się nim, czy też go komentować. Rząd jasno określił zakresy działań. Zabiorę te dokumenty ze sobą i proszę, żeby zechciał pan traktować ich zawartość jako ściśle tajną do czasu, gdy przedstawię rządowi dalsze dane. - Nie było powodu podejrzewać DWR o chęć ochraniać nieuchwytnego Henry'ego, ale chciałem zapobiec zapodzianiu się papierów. W tym momencie postanowiłem wytropić pewnego dnia wysoko postawionych przyjaciół Sójki. Musiał to jakoś odczytać z wyrazu mojej twarzy.

- Drogi przyjacielu - zwrócił się do mnie DWR. - Nie miałem zamiaru pana lekceważyć. - A więc odniosłem zwycięstwo, i to w takim stylu, że DWR wyjął butelkę brandy. Dałem się udobruchać, ale nie od razu. Henessy XO to jednak znakomity trunk.

Na Charlotte Street wracałem samochodem z Alice. Jechaliśmy jakiś czas w milczeniu, aż przed Goodge Street Alice powiedziała:

- Na to nie odważyłby się nawet Dalby. - Niemal się mną zachwyciła.

Wręczyłem jej zieloną kartotekę, dodając beztrąsko:

- Alice, proszę na tym wypisać nasze numery rejestracyjne. - Jednak mój triumf był krótkotrwały, bo późnym popołudniem wniosła dwa dokumenty, które przez zapomnienie zostawiłem w samochodzie. Alice była nie do pobicia.

Wieczorem zadzwonił Ross, że się chce ze mną zobaczyć w związku ze sprawą Sójki. W naradzie uczestniczyli także Carswell i Painter. Ostateczne zakończenie sprawy przypadło na sobotę.

Sójka dostał 160 tysięcy funtów za podzielenie się swoją wiedzą z Rossem i ze mną. Tego samego dnia sportowy wóz Jensen 541S przy absurdalnej szybkości wypadł z jezdni objazdu Maidston. W wozie był jeden pasażer, pan Dalby. Mówiono, że zginął na miejscu.

W biurze przy Charlotte Street ciągle nie brakowało roboty. K K ostatnio z Wood Green, chciał się powoływać na immunitet dyplomatyczny, ale to mu nie wyszło. Zamieściłem w France Soir ogłoszenie z podziękowaniami dla Berta za ofiarowaną pomoc i informację, że odwołuję swoje tournée.

Alice kupiła do biura elektryczny młynek, tak że teraz piliśmy wreszcie prawdziwą kawę, a mnie wypłacono zaległe płace i dodatki. Zwróciłem trzydzieści szylingów pianicie w "Tin-Tac" i wysłałem Alfowi Keatingowi grzejnik na olej. Ofiarowałem też pięć szylingów na orkiestrę dętą przy Munn and Felton (Obuwie). Chico przysłał mi bilecik z podziękowaniem za spełnienie jego prośby tego wieczoru, kiedy wyjechał do Grantham, a Jean naszyła łąkę na moje samodziałowe spodnie.

W poniedziałek miałem gościa, którym był amerykański brygadier z Tokwe. Przytaszczył ze sobą dwa tekturowe pudła i po zjedzeniu lunchu w "Ivy" wróciliśmy do biura obserwować pokaz.

Wyjął z pudeł jakieś drewniane konstrukcje, z których łuszczyła się wyblakła farba. Gdy je złożył, całość miała ze sześć stóp długości, a na obu elementach jej zakończenia były przymocowane czerwone światła samochodowe. Dopiero kiedy mi pokazał fotografie rozbitego motocykla, który wyciągnęli z dna oceanu, zrozumiałem niewinny pomysł Dalby'ego. Za tymi deskami, przyśrubowanymi do tyłu motocykla, jechałem na Tokwe tej nocy, kiedy mnie aresztowano. Motocykl był za mały, by go mógł zarejestrować ekran radaru. By się pozbyć jedyne go świadka, Dalby zatarasował drogę pnem i połączył druty linii wysokiego napięcia. Posługiwał się kamerą telewizyjną z szybkimi impulsami, którą potem wyrzucił do morza w pobliżu mojego samochodu, wiedząc, że wykryje ją echosonda, i że śledztwo wszystkim obciąży mnie. Dzięki dobremu tłumikowi i szumowi wiatru zniknął w ogólnym zamieszaniu z szosy. W innej części wyspy wrzucił motocykl do morza i dalej szedł pieszo. Dwóch ludzi z siatki Sójki, którzy pracowali dla amerykańskiego Wydziału Zdrowia, powiedziało brytyjskim władzom, że zatrzymali mnie Amerykanie, wobec czego Brytyjczycy poprosili, by mnie zwolniono. Wtedy przejął sprawę Sójka i pod pretekstem konieczności umieszczenia mnie w szpitalu, przetransportował do Anglii.

Podziękowałem Amerykaninowi za trud, jaki sobie zadał. Czuł, że jest mi dłużny. Powiedziałem mu o śmierci Dalby'ego, nie był tym zaskoczony, nie okazywał też specjalnej satysfakcji.

Zapytał:

- Ten facet, jak mu tam, Dalby. Czerwoni zrobili mu pranie mózgu, co?

Odpowiedziałem, że nie jesteśmy tego pewni, ale chyba poszukiwaliśmy motywacji nie tam, gdzie trzeba. Zapomnieliśmy, że są ludzie, którzy, mając na widoku pieniądze i władzę, głupiejają i pozbywają się psychicznych oporów. Sądzę, dodałem, że właśnie takimi typami byli Dalby i Sójka, i że z ich twarzy było widać, iż szykuje się między nimi wojna.

- Forsa i władza, co? - mruknął Amerykanin. - Po prostu para sporo wiedzących skurwysynów.

- Chyba coś w tym rodzaju - przyznałem mu rację.

- Prosiłem Dalby'ego, żeby wziął pana na Tokwe - powiedział.

- Wiem.

- Miałem pewne podejrzenia, wie pan, co mam na myśli. Wiedziałem, co miał na myśli.

Zapytał:

- Czy mogę jeszcze o coś pana prosić?

- Naturalnie.

- Proszę mi wyjaśnić, dlaczego wasi ludzie byli tacy pewni, że pułkownik Ross i pani Bloom (to nazwisko Alice), pan rozumie, nie chciałbym nikogo urazić...

Powiedziałem, że rozumiem.

- Ale dlaczego byli tacy pewni, że nie można było się... dostać do Rossa i pani Bloom?

Wyjaśniłem mu, że są ludzie, których nie tak łatwo poddać praniu mózgu.

- Naprawdę?

- Tak - powiedziałem. - Neurotycy z różnymi obsesjami, osoby wracające ze schodów, żeby sprawdzić, czy zamknęły drzwi, osoby, które idąc ulicą unikają tłumu i nagle sobie przypominają, że nastawiły wodę na herbatę. Tego typu ludzie nie poddają się hipnozie i praniu mózgu.

- Niech pan nie żartuje. Wobec tego dziwne, że mamy w Stanach tyle kłopotów.

- Tak. Ale proszę nie powtarzać Alice i Rossowi, co o nich mówiłem.

- Oczywiście - przyrzekł. Ale z paru uwag Alice nazajutrz wywnioskowałem, że musiał jej to powtórzyć.

Co z "kartoteką" Henry'ego? Wciąż była tak chuda jak w dniu, kiedy ją wyniosłem z Ministerstwa Obrony. Każdy w wydziale miał własną teorię na temat dalszego biegu sprawy, ale jeśli się kogoś spytało o szczegóły, chował głęboko głowę w ramiona. Przypominacie sobie, jak tego dnia, kiedy ustalaliśmy tożsamość Henry'ego, Jean powiedziała, że to musi mieć jakiś związek z Chico.

Kolejną zagadką, której nie rozwiązaliśmy do końca, było to, w jaki sposób Dalby zdobył i umieścił odciski moich palców na kamerze telewizyjnej. Wydaje mi się, że musiał odkręcić jakieś klamki (może od drzwi) w biurze przy Charlotte Street, zabrać ze sobą na Tokwe i potem przenieść odciski na kamerę, zanim ją wyrzucił.

Następnego dnia po moim aresztowaniu Jean wróciła do japońskich fortyfikacji, ale nie znalazła już tam ani lampy katodowej, ani kartki z informacjami, ani pistoletu. Usiadła z planem terenu i sama odkryła, na czym polegała sztuczka Dalby'ego z motocyklem. Gdy opowieść Jean usłyszał brygadier, połączył linią trzy punkty, które zaznaczyła na planie. Bez rezultatu. Zwierzyła mi się, że był to straszny moment, ale się nie poddali. W końcu odnaleziono motocykl dość daleko od brzegu\*.

.[Według mnie Dalby pchnął w stronę wody rozpedzony motor, żeby zajechał jak najdalej, ale Jean twierdzi, że to odpływ.]

Na szczęście drewniana konstrukcja była przyśrubowana do motoru (Dalby obawiał się, że unosiłaby się na wodzie), i od tej chwili Amerykanie nie mieli już wątpliwości. "Skipa" Handersona ponownie wezwano na Tokwe (wygląda na to, że Barney zginął w najlepszej wierze), a Ross poleciał do Waszyngtonu. Od tej pory Dalby poruszał się po niepewnym gruncie, ale nic mi to nie dawało.

To wszystko, jeśli chodzi o IPCRESS. Po zamknięciu tej sprawy mieliśmy na Charlotte Street mnóstwo roboty, czasem ciekawej, ale zazwyczaj nudnej. Painter prowadził ze swoim zespołem badania medyczne, ale, jak do tej pory, nie udało im się znaleźć metody przywracania do normalnego stanu osób poddanych praniu mózgu. Wielu facetom z siatki Sójki grozi oskarżenie o zdradę, inni dalej wysyłają raporty w przekonaniu, że za pośrednictwem Sójki materiały docierają do obcych mocarstw. Oczywiście Sójce nie pozwalałam ich dotykać, bo a nuż mógłby wpaść na jakiś nowy pomysł. Spotykam się z nim na comiesięcznych konferencjach, kiedy przygotowujemy z Rossem materiały dla wojskowego wywiadu. Wygląda na całkiem szczęśliwego i jest bardzo przydatny. Przypomniałem sobie coś innego o sójkach: na zimę gromadzą żywność.

- Dochodzenie z przeciwstawnych pozycji do tych samych wniosków. - To powiedzenie Dalby'ego zawsze mi się przypomina podczas spotkań z Sójką. Ale wątpię, czy Dalby'emu akurat o to chodziło.

Sójkę zawsze można spotkać w "Mirabelle", ale w zeszłą sobotę wpadłem na niego u "Lederera". Chciał nas z Jean zaprosić na obiad i przyrzekł, że sam wszystko przygotowuje. Miałem nawet ochotę skorzystać z zaproszenia, ale nie sądzę, że powinienem. W tym biznesie nie jest mądrze mieć zbyt wielu bliskich przyjaciół.

## **EPILOG**

Najpewniejszym sposobem narobienia sobie kłopotów jest przelewanie na papier zbyt wielu informacji, ale kiedy już się tak zapędziłem, opowiem, jak naprawdę się zakończyła sprawa IPC-RESS.

Minister chciał się właśnie dowiedzieć, jak uniknąć pytań, co zresztą interesuje wszystkich ministrów. Sam zadał mi kilka bardzo przenikliwych w rodzaju: - Jest gdzie pójść w Libanie na ryby? - Jeszcze kawy? - i - Zna pan młodego Chillcotta Oakesa? - Opuściwszy ministra pojechałem do pewnego domu w pobliżu Staines. Zapukałem do drzwi w umówiony sposób i otworzyła mi kobieta z wąsami. W pokoju w głębi mieszkania pośród trzech jeszcze otwartych walizek stał starszy człowiek. Wręczyłem mu sześćdziesiąt wymiętych pięcioletnich banknotów, które były absolutnie prawdziwe, i dwa nie najlepiej podrobione brytyjskie paszporty.

Człowiek powiedział: - Dziękuję. - To samo powtórzyła dwa razy kobieta. Gdy się odwróciłem, żeby wyjść, usłyszałem jego głos: - Jeśli będzie mnie pan kiedy potrzebował, jestem pod numerem 19.\*  
[Ulica Stanisławska 19 w Moskwie (naprzeciwko ambasady NRD). W budynku mieści się SMERSH, kontrwywiad KGB.]

Podziękowałem i ruszyłem wozem w stronę Londynu. Mały staruszek, który był moim dozorcą w Wood Green, miał lecieć do Pragi. To też było szpiegowskie ubezpieczenie.

## **DODATEK**

Patrz str. 35 MEDWAYII

W mrocznych dniach wojny na Morzu Śródziemnym, gdy się już wydawało, że Wehrmacht dokończył dzieła Dariusza, Bejrut był bazą łodzi podwodnych, zwaną Medway II, i miejscem działania tajnych misji. W pobliżu bazy łodzi U.307 zanurzały się na głębokość około 70 metrów. Kabina kontrolna zanurzonej U.307 była wyposażona w nowy peryskop na podczerwień, który umożliwiał nocną obserwację nad powierzchnią morza. Był jeszcze mokry, kiedy wzięliśmy go na pokład samolotu do Londynu i podczas lotu woda ściekała mi na kolana. W samolocie spotkałem po raz pierwszy Rossa.

Patrz str. 37

Wyciąg z instrukcji "Obsługa nieznanymi pistoletów (rozdział 5). Dokument 237.HGF. 1960

Posługując się rewolwerami Smith and Wesson należy przestrzegać następujących zasad. Bębenek ma sześć komór i obraca się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. (Zwróć uwagę, że bębenek colta obraca się zgodnie ze wskazówkami). Są cztery kategorie:

1. 0.445 cali. Tylko brytyjska lub amerykańska amunicja. 0.455 cali.

2. 0.45 cali. Uwaga! Nie używać amunicji automatycznej. 0.45.

3. 0.45 cali DA. Można używać amunicji automatycznej. 0.45, ale nie wyjmować bez użycia dwóch specjalnych uchwytów. Można również posłużyć się np. ołówkiem. Uwaga! Amunicja bez krawędzi.

4.0.38. W każdym pistolecie z komorą dłuższą niż 1.5 cala mieści się amunicja brytyjska i amerykańska, z wyjątkiem amunicji automatycznej.

Wymienione zasady są jedynie ogólnymi wskazówkami, od których istnieją WYJĄTKI.

Patrz str. 43

INDYJSKIE KONOPIE (MARIHUANA) Ceny w czasie pisania książki: Rangun: 10 - za pakunek wagi 1 funta. Wielka Brytania (w porcie): 30 funtów szterlingów za jeden funt.

Hurt: 50 funtów szterlingów za jeden funt.

W klubach itp.: 6 funtów za uncję lub 10/6 za papierosa.

(Z jednego funta marihuany robi się około 500 papierosów)

Patrz str. 81

W roku 1939 brytyjski Wywiad Wojskowy miał główną kwaterę w więzieniu w Wormwood Scrubs. Ewakuowano wszystkich więźniów i cele były używane jako biura. Kiedy bomby zniszczyły część budynku, biura postanowiono przenieść na St. James's Street, gdzie pozostały do zakończenia wojny.

Patrz str. 106 ZADANIE PIERWSZE

W pobliżu archipelagu Holo, gdzie wody morza Sulu rozpuszczają się w wodach Celebes i palce wysp filipińskich sięgają w stronę północnego Borneo, sierpniowym popołudniem 1949 roku leciał B29 Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Maszyna rzucała szybko przesuający się cień.

Przymocowane do kadłuba płyty fotograficzne wchłaniały kosmiczne promieniowanie. W trakcie starannie wytyczonych lotów nad Pacyfikiem od kilku miesięcy sporządzano w ten sposób mapę. Była to nudna dłubanina i załogi były szczęśliwe, gdy kończyły długie codzienne loty. Lotnicy brali dla odświeżenia zimny prysznic, a kino na otwartym powietrzu pozwalało im zapomnieć o pracy. Ale tego dnia, zanim załoga zdążyła zdjąć gumiaki, wezwał ją do sali odpraw alarm.

Technicy w laboratorium fotograficznym wywoływali te płytki od ręki. Przedstawiwały na ogół glistowate jasne pasma i często wymagały dodatkowego wywoływania, by otrzymać dobrze skonstrastowany obraz, który ułatwiał sporządzanie mapy. Ale dzisiaj płytki były



zdecydowanie inne, jakby przymglone. Nie przez dzienne światło jednak, tylko na skutek nasiąknięcia czernią, którą wywoływało intensywne promieniowanie kosmiczne, nazywane także "gorącym obszarem". Wtedy generał powiedział: - Jeśli w atmosferze jest tyle kosmicznego promieniowania, powinniśmy się zająć produkcją ubrań z ołowiu. - Ale świat tego nie rozumiał. Była to eksplozja atomowa.

W sali odpraw amerykańskich Sił Powietrznych na Pacyfiku ta prawda powoli dochodziła do świadomości siedzących tam lotników. W tym roku nie było ani jednej eksplozji amerykańskiej bomby.

Cała baza stanęła na nogi. Jeden po drugim olbrzymie B29 wtaczały się na pas startowy i przy jego końcu unosiły w ciemności tropikalnego wieczoru. Tym razem były to samoloty sformowanej przed rokiem jednostki do wykrywania bomb atomowych. W stan gotowości postawiono dwa laboratoria Komisji Energii Atomowej, które miały analizować próbki pyłu.

Po pięciu dniach Waszyngton otrzymał szczegółowy raport mówiący, że niemal na pewno była to eksplozja bomby atomowej. (Do 23 września mówiło się, że jest jedna szansa na dwadzieścia, iż nie była to bomba). Analiza wykazała ponadto obecność w cząsteczkach pyłu plutonu. Wybuch był sześć razy silniejszy niż w Hiroszynie i nieporównywalny z pierwszą amerykańską eksplozją w Alamogordo.

W tym czasie przyłączono do Komisji Energii Atomowej organizację pod nazwą MANHATTAN DISTRICT (zaszyfrowaną jako Post Office Box 1663), w skład której wchodziło Laboratorium Zbrojeń w Los Alamos, Zakłady Rozszczepiania Izotopów w Oak Ridge i stopy plutonowe w Hanford pod Waszyngtonem. Komisja wykonała całość prac, wydobywając rudy rozszczepialnych, ciężkich metali, uranu i toru, przekształcając je w skoncentrowane stopy, oraz nadzorując produkcję radioaktywnych izotopów napędzających statki, łodzie podwodne i generatory elektryczności.

Kiedy raport o wynikach badań próbek pyłu dotarł do Waszyngtonu, został zakwalifikowany jako "ściśle tajny" i wylądował na biurku Williama Webstera, przewodniczącego Komitetu do Spraw Broni Nuklearnej przy Departamencie Obrony. Webster przekazał raport do sekretarza Obrony, Louisa Johnsona.

Wspólnie przeanalizowali domysły swoich służb wywiadowczych. Podstawę dla amerykańskich przypuszczeń na temat sowieckiej bomby stanowiło stwierdzenie dyrektora MANHAT-

TAN DISTRICT, generała L. R. Grovesa, który powiedział w 1945 roku, że zajmie to Rosjanom piętnaście - dwadzieścia lat. Dyrektor Biura Badań Naukowych i Postępu, doktor

Vannevar Bush w książce "Współczesna broń i wolny człowiek" napisał natomiast: "dziesięć lat" (książka była już w drukarni i kiedy wstrzymano jej druk, o tej przepowiedni zupełnie zapomniano). Wywiad amerykańskiej marynarki twierdził, że można się tego spodziewać w roku 1965, natomiast wojskowe służby wywiadowcze mówiły o 1960. Raport wywiadu Sił Lotniczych, wskazujący na rok 1952, uznano za paniczny. A tu wielki huk rozległ się już we wrześniu 1949 roku, O potwierdzenie syberyjskiej eksplozji Departament Obrony zwrócił się do Londynu i właśnie wtedy Ross stał się sławny w ciągu jednej nocy. Ross nawiązywał swoje kontakty bardzo ostrożnie, ale z intuicją. Nie tylko wiedział o eksplozji (na dwa lata przed wybuchem wyposażył wszystkie samoloty Brytyjskich Linii Lotniczych w odpowiednią aparaturę), ale dzięki kilku pracownikom Komisji Energii Atomowej miał dostęp do waszyngtońskiego raportu dobiegł wcześniej, niż dotarł on szyfrem do Anglii. Żeby wytknąć pewne błędy i nieścisłości, Ross wysłał Amerykanom streszczenie wyników prac fizyków pracujących nad bombą (Piotr Kapica, Fersman, Frenkel, Joffe) i przewidział z niezwykłą precyzją, że sowieccy uczeni otrzymają nagrody, zanim oni sami się o tym dowiedzą.

Od tej pory Ross po prostu nie mógł się już mylić.

Patrz str. 115

Poniższe receptury podaje się za uprzejmą zgodą pana sierżanta Armii Stanów Zjednoczonych, J. B. Revelliego.

TOKWE TWIST: Zmieszać z lodem dwie uncje bourbona i 1/2 uncji likieru benedyktyńskiego. Wycisnąć skórkę cytryny. Podawać.

MANHATTAN PROJECT: Do manhattana (dwie uncje whisky, 1/2 uncji słodkiego wermutu, kropla angostury i wisienka) dodać 1/2 uncji wiśniówki.

GREENBACK:

1,5 uncji whisky, 1 uncja wytrawnego wermutu, kropla zielonego chartreuse i zielonego crème de menthe. Wrzucić zieloną oliwkę, ozdobić gałązką mięty.

Patrz str. 143 GRENADE

Widzę jego małe, ciemne gaiki oczne, tłuste włosy i ponurą twarz, którą mył raz do roku. Przed wojną prowadził mały warsztat naprawy odbiorników radiowych w Joigny, sto kilometrów na południe od Paryża.

Grenadę był członkiem ruchu oporu w roku 1940, kiedy walka z Niemcami była na tyle niemożliwa, że występowanie przeciwko nim oszołomieni patrioci uważali za duże ryzyko. Grenadę był gaullistą, kiedy wszyscy we Francji stawiali na marszałka Petaina. Był gaullistą nawet wówczas, gdy rządy Sprzymierzonych miały konszachty z Darlanem i Giroud, pomagając im w prześladowaniu agentów działających przeciwko państwom Osi, i gdy

Sprzymierzeni zadbali o to, by de Gaulle o inwazji w Północnej Afryce dowiedział się z gazet. Grenadę nigdy się nie wahał i nigdy nie zmieniał frontu.

Zorganizował oddział, który wykolejał pociągi, dopóki go nie rozbito. Grenadę bez przyjaciół, pracy i dokumentów przedostał się wtedy do Paryża. Tam nawiązał kontakt z grupą bezrobotnych drukarzy. Obiecując spore pieniądze, uzyskał dostęp do maszyny drukarskiej i zaczęli robić fałszywe paszporty i dokumenty.

Działanie wbrew prawu i zarządzeniom było czynem patriotycznym i wcale nie zmieniał tego fakt, że przy okazji zarobili mnóstwo forsy. Część z tego szła na organizacje antyhitlerowskie, a ponadto bez pieniędzy za drukowanie fałszywek jedna z tras ucieczkowych w Pireneje przestałaby funkcjonować o wiele wcześniej, niż to się stało w rzeczywistości. Przez zatłoczone mieszkanie Grenade'a przewinęło się ponad trzydziestu alianckich lotników. Po zakończeniu wojny, w nowych warunkach, tacy ludzie chętnie sobie pomagają. Przygotowując papiery dla "uchodźców", których na to stać, raz nawet podrobili opakowania do papierosów "camel".

W 1947 roku Grenadę wmieszał się do pracującego na lewym brzegu Sekwany gangu Perriera, który właśnie zakończył prace nad cennym zwojem studolarowych czeków podróżnych American Express. Z wyjątkiem zbyt przyciemnionych numerów serii i znaków wodnych, które były odbite, a nie wyciśnięte, чеки wyglądały zupełnie przyzwoicie. Za jedną trzecią wartości poszły na czarnym rynku jak woda. Niektóre wykryto na granicy w torbach dyplomatycznych. Grenadę znów się pojawia w opowieści, ponieważ wynajduje metodę mikrofilmowania poczty dyplomatycznej. Gdy pod naciskiem American Express francuska policja obstawia kurierskie trasy, Grenadę wpada, mając przy sobie чеки podróżne ze sfalszowanymi podpisami, wartości 50 tysięcy dolarów. Francuski wywiad, z którym Grenadę współpracował od września 1940 roku, tym razem nie mógł go wyciągnąć z powodu jakichś politycznych komplikacji. Znałem Grenade'a od dwóch lat i zdążyłem go polubić. Niewiele ryzykując, postanowiłem mu pomóc, bo mógł mi się kiedyś przydać. Wiedziałem, że jeden z moich ludzi, mających dostęp do amerykańskich dokumentów wojskowych, ma brata, który w 1944 roku korzystał w Paryżu z jakiejś kryjówki. Zasugerowałem mu, że to było mieszkanie Grenade'a. Napisał oświadczenie, że Grenadę był amerykańskim agentem, śledzącym fałszerstwa tymczasowej amerykańskiej wojskowej waluty; dołączył do tego dokumentację. Później ja wysłałem odpowiedni przeciek do jednego z detektywów American Express i drugiego sekretarza pewnego senatora. Przy najbliższej sposobności Grenade'a oczyszczono z zarzutów i zniszczono podrobione papiery. Grenadę wrócił do łask.

Patrz str. 144 JULIUSZ CEZAR

Scena trzecia. Tamże. Ulica koło Kapitolu. Wchodzi Artemidorus czytając pismo.

„Cezarze, strzeż się Brutusa, unikaj Kasjusza, nie zbliżaj się do Kaski, miej oko na Cynnę, nie ufaj Treboniuszowi, uważaj dobrze na Metellusa Cymbra, Decjusz Brutus nie lubi cię, skrzywdziłeś Kajusa Ligariusza. Wszyscy ci ludzie jednej są myśli, a ta zwraca się przeciwko Cezarowi. Jeżeli nie jesteś nieśmiertelny, miej się na baczności. Zbytek zaufania toruje drogę spiskom. Niechaj cię bronią potężni bogowie!

Twój przyjaciel "Artemidorus" (Przekład Zofii Siwickiej)

Patrz str. 154

### BOMBA NEUTRONOWA

Nawet normalna bomba wodorowa wyzwala neutrony, ale "połyka" je ognista kula, zanim zdążą się rozproszyć. W bombie neutronowej wykorzystuje się obecnie reakcję rozszczepienia. Bomba wybucha przy wewnętrznej temperaturze miliona stopni Celsjusza. Wybuch wyzwala neutrony nie posiadające ładunku elektrycznego (i dlatego nie odpychają ich atomy), które błyskawicznie rozpraszają się na dużym obszarze, zanim wchłonie je powietrze.

Neutrony przenikają do budynków, wody itd., ale niszczą jedynie substancję żywą, pozostawiając nie naruszone i gotowe do pracy maszyny. Niewielki wybuch na Tokwe miał taktyczny zasięg, ale ze względu na bezpieczeństwo towarzyszyła mu izolująca symulowana eksplozja dużej bomby H. W bombach neutronowych nie wykorzystuje się kosztownych, rzadkich składników i dlatego informacje o nich są tak poszukiwane przez większe i mniejsze mocarstwa.

Patrz str. 172 REG CAVENDISII

Spojrzałem na sepiową fotografię Rega Cavendisha, syna Charliego. Patrzył z góry na gabinet, w olbrzymiej śmiesznej furazerce, jakie wówczas wszyscy nosiliśmy. Przypomniałem sobie dzień, kiedy Reg ją dostał. Był wysokim i chudym jak tyczka chłopakiem z rudymi włosami, które mu nisko opadały w wyrazie sympatii do karłowatych przedstawicieli rodzaju ludzkiego. W szóstej klasie był najinteligentniejszym uczniem, ale nigdy nie powierzano mu obowiązku utrzymywania dyscypliny wśród kolegów, ponieważ "... "Ty, Cavendish, jesteś zbyt łagodny, a to jest po prostu ciamajdostwo". Reg tylko się nieśmiało uśmiechnął, nie był gadułą. I dlatego, jak myślę, byliśmy nierozłącznymi przyjaciółmi. Ja byłem tam najbardziej wrzaskliwym chłopakiem, i gdy Reg przebywał w moim towarzystwie, nie musiał wiele mówić.

Reg przebywał głównie w domu na wsi, więc wszystko wiedział o kłębiasto-deszczowych chmurach i izobarach, z pięćdziesięciu jardów odróżniał drozda od kwiczoła, co

mi bardzo imponowało, bo nie potrafiłem odróżnić sowy od myszołowa. Reg znał się na kretach i lisach, a także recytował łacińskie nazwy dziko rosnących kwiatów. W wojsku Reg szybko pogodził się ze swym losem i najlepiej z nas wykonywał wszystkie zadania. W wykorzystywaniu amunicji był tak samo oszczędny jak w wypowiedaniu słów. Przewodził nam, wychodząc przed szereg i podejmując się najcięższych i najniebezpieczniejszych zadań. Do idei wojny powietrznej nie musiał się przekonywać, bo innej sobie nie wyobrażał. Skok z samolotu jako wejście do walki był dla niego czymś tak naturalnym, jak dla innych żołnierzy w innych czasach wojskowa biurokracja, wypolerowane moździerz i skrzynki na ostrą amunicję.

Został jednym z najmłodszych w Brytyjskiej Armii sierżantem, pomocnikiem adiutanta pułku, a stało się to podczas kampanii w Tunezji, gdy brygada spadochronowa była użyta jako piechota. Otrzymał tam przydomek "Skoczek".

Podczas bitwy o "Longstop" Reg był w ciężarówce, która zgubiwszy konwój zjechała z drogi i wjechała na minę. Niemieckie oddziały inżynieryjne wokół dużych min rozsiewały mniejsze. Gdy żołnierze zeskakiwali z wozu, mini-miny wybuchały, rozpryskując wokół metalowe odłamki. O zmierzchu Afrika Korps ogniem moździerzy dobijał jeszcze żyjących.

W maju panuje w Tunezji niemiłosierny upał. Wzgórze "Longstop" obsadziło tysiąc Niemców czujnie obserwujących okolicę. Kotliny wypełniał huk granatów i moździerzy, w powietrzu unosił się mdlący odór spalonych ludzkich ciał. Wokół latały olbrzymie czarne muchy, które ofiary moździerzy Von Arnima zamieniały w padlinę. Przez cały dzień umierali ludzie. Jedni natychmiast, innym zajmowało to całą wieczność, jeszcze inni zawierali prywatne porozumienie ze śmiercią z prawie niedostrzegalnym skutkiem. Nim odeszli z tego świata, wili się w bólu, wykrzywiali twarze, rozluźniali odrętwiałe nogi, zaciśniętymi palcami sięgali po suchary, tamowali sobie krew i przepędzali z powiek roje much. - Padaliśmy jak według szablonu - wspominał Reg.

Powoli nadeszła noc. Jakiś człowiek poruszył się. A więc żył. Z wygrzebanych w brudnym piasku wgłębieniach zaczęły się wydobywać wysuszone ciała bez kropli śliny w ustach. Do swoich linii musieli wracać przez pola minowe. Udało się to jedynie Regowi i dwóm kapralom. Otrzymali awans i dwudniową przepustkę.

W lipcu 1943 roku Reg jakoś się zmienił. Nie patrzył ludziom w oczy, wbijając wzrok w ziemię. Za dużo się naoglądał okrucieństw wojny. Właśnie w lipcu brał udział w nalocie na Katanę. W powietrzu trafiła ich przez pomyłkę marynarka aliantów. Tej nocy niepotrzebny mu był spadochron, jego dakota roztrzaskała się na ziemi. Zarobił wtedy dwie lekkie rany, Krzyż Walecznych i nerwowy tik mięśnia lewego oka. Jesienią wysłali go na urlop do

Tunezji. Wyglądał wówczas bardziej na czterdzieści niż dwadzieścia lat, rzadko się uśmiechał i spędził urlop na pisaniu listów do najbliższych krewnych.

O pierwszej w nocy, gdy rozpoczynała się ofensywa, Reg wpadł w pełnym ekwipunku do rzeki. Tłukąc najwolniejszych, przeprowadził pięćdziesięciu żołnierzy i oficerów przez sięgające do piersi bagna i zarośla. Nie był wówczas skłonny do żartów. Chodził cały spięty i poirytowany, a każdy urlop poświęcał na odwiedzinach rodzin poległych żołnierzy. Mówiłem mu, że to nie ma sensu. Zaczął się jąkać i miał nieskoordynowane ruchy. - Pilnuj swoich spraw - odpowiedział mi i dalej odwiedzał rodziny. Tłukąc się brudnymi, zaciemnionymi pociągami, trafiał do zapadających się domów i wynędzniałych ludzi.

„Skoczek” Cavendish ciągle żył. Wciąż żołnierze ciągnęli losy o miejsce w jego samolocie i uczestniczenie w jego akcjach. ”Skoczek” zawsze wychodził cało, i, co więcej, zdarzało się, że wracał z innymi, jak wtedy, gdy przyniósł w niemal całkiem spłaszczonej klatce śpiewającego ptaka. Obaj sobie pogwizdywali.

W parę tygodni po Arnhem, kiedy Reg z czterema komandosami cało przepłynęli niemieckim pontonem Ren, Pierwsza Spadochronowa z dziesięciu tysięcy ludzi straciła siedem tysięcy sześćset pięciu. Wydawało się, że Reg jest niezniszczalny. Ale nie był. W Brukseli, wychodząc z Montgomery Club wpadł pod ciężarówkę z aprowizacją. Na cztery dni przed zwycięstwem w Europie.

Zatelefonował do mnie adiutant jednostki Rega. Co powiedzieć ojcu? Czy ma mu opisać, jak to się stało? Sam nie mógł w to uwierzyć. Wspomniiał, że Reg był przy jego pierwszym skoku na spadochronie. Powtórzył to trzy razy. Tego wieczoru jechałem do Londynu. Powiedziałem, że sam muszę przekazać to ojcu Rega.

Patrz str. 197

## OŚRODKI ZATRZYMAŃ

Po raz ostatni oglądaliśmy coś na taką skalę w czasie wojny, gdy ministerstwo Spraw Wewnętrznych wsadzało do nich wszystkich cudzoziemców. W tamtych czasach najpierw umieszczano ich w Olimpi, a potem wywożono na Isle of Man. Ale nie było potrzeby trzymania ich w separacji, a liczba ”pensjonariuszy” nie wzrastała, ponieważ część z nich przenoszono do obozów dla internowanych. To była o wiele bardziej skomplikowana robota.

Patrz str. 203 TAP

Praca doktora Holgera Hydena, profesora histologii w Göteborgu, ujawniła, że tricayandaminopropene, substancja otrzymywana podczas manipulowania strukturą molekularną pewnej grupy chemikaliów, może zmieniać komórki szarej substancji mózgowej oraz komórki okrywającej ją błony.

Ilość substancji tłuszczowej i proteiny szarej substancji wzrasta o dwadzieścia pięć procent.

W otoczeniu błon ilość cząsteczek kwasu rybonukleinowego zmniejsza się o prawie pięćdziesiąt procent.

Dzięki zmianom czynnościowym tych ważnych substancji wzrasta podatność osobnika na sugestie.

„KB”